WIKTOR GOMULICKI.

JEDEN Z NOWYCH.

Gołębie.—Dobra chwila pani Heleny.—Szósty.—Echo.—
Kryptogamy.—Niewdzięczna.—Obowiązek.—Czy kochała?
Kwintet.—Legenda o miłości.

NOWELLE, STUDIA, OBRAZKI.

WARSZAWA.
Gebethner i Wolff.
WILNO. Józef Zawadzki.
PETERSBURG. K. Grendyszyński.
1895.

Дозволено Цензурою. Варшава 23 Августа 1894 г.

Вильна. Типографія п. ф. І. Завадзкаго (Замк. пер. соб. д.)

JEDEN Z NOWYCH.

PRAWIE STUDYUM.

Дозволено Цензурою. Варшава 23 Августа 1894 г.

Вильна. Типографія п. ф. І. Завадзкаго (Замк. пер. соб. д.)

JEDEN Z NOWYCH.

PRAWIE STUDYUM.

dowcip»—powiedział mędrzec jeden. Ale ty z mędrcami mało masz do czynienia. Choć kto wie. Może teraz, osiadłszy na koszu, zrobisz się z nudów sawantką.

— Kiedy mówię wujaszkowi, że już wybrałam...

— A prawda. Nawet poniekąd sam się tego domyślałem. Więc ideałem twoim jest ten śledź holenderski, z którym dziś przy obiedzie zjadaliście się nawzajem oczami?. . .

— Tak, wujaszku. Ideałem moim jest ten śliczny brunet o twarzy księżycowej. . .

— Jak mówisz, sikoro?

— O twarzy księżycowej. Młodzieniec, w którego pełnych duszy oczach, pali się płomień wiekuistej tęsknoty za szczęśliwością przedbytu. . .

— Przedbytu powiadasz?

— Tak, wujaszku: przedbytu— tego raju utraconego, którego objawienie miewa dusza w ekstazie miłosnej—a może także i w ekstazie śmierci. . .

— Czy to ten śledź nauczył cię tak mówić?

— On tylko dał wyraz myślom, które kiełkują w każdej, do światła zbudzonej duszy. . .

— Zagłupi jestem na to— a może tylko zastary. W moim lekarskim słowniku niema słów, jakiemi się posługujesz. Są tam za to inne rzeczy, które takim jak ty wróblicom, przydać się mogą. — Chodźno tu bliżej, do okna. . .

Przyciągnął do siebie dziewczynę — niewielką, kształtnie zbudowaną blondynkę, o twarzy pełnej, bez rumieńca—i założywszy *pincenez*, począł jej się z uwagą przyglądać.

Przejrzał do światła jej uszy, odwinął dolną wargę, zrobił toż samo z powieką, wreszcie odsunął jeden z rękawów i począł trzeć mocno rękę, poniżej łokcia. Pod jego twardemi palcami, skóra nader słabo się zarumieniła.

— Otóż to! — wyrzekł, zmarszczywszy czoło. Takie pisklę o małżeństwie myśli, a krwi ma ledwie tyle, ile jej samej potrzeba. Kurczęta chcą łączyć się ze śledziami! — i światu mają przybywać zdrowe, energiczne pokolenia!

— Oo! jak też to wujaszek daleko się zagalopował!...

— Jakto daleko? A pocóż to ty, figojadko jedna, robisz słodkie oczy do tamtego drozda!

— Wujaszku!

Dziewczyna uciekła — a doktór zaśmiał się głośnym śmiechem człowieka zdrowego, w którym przebijało się zadowolenie z wygodnego i niefrasobliwego starokawalerstwa.

II.

Natalia siedziała w saloniku, czytając «Pana Tadeusza». Przez okno otwarte widać było duży ogród,

pół-owocowy, pół-warzywny — istny ogród soplicowski. Dziewczyna miała suknię barwy zwiędłego liścia, czarną bransoletkę na lewej ręce i czarną aksamitkę z krzyżykiem czarnym na szyi.

We włosach jej tkwiła świeżo zerwana róża.

Wszedł Henryk.

Przez chwilę rozmawiali oboje oczami. Szare źrenice dziewczyny i ciemno-piwne młodzieńca, przylgnęły do siebie jak żelazo i magnes...

Henryk stał w progu, Natalia nie ruszyła się z miejsca, widoczne jednak było, że siła przyciągająca nie w szarych tkwi oczach, lecz w piwnych. Pierwsze kolejno: cieszyły się, przymilały, czuły niepokój i o przebaczenie prosiły; drugie były wciąż spokojne, a w spokoju swym zimne i nieubłagane.

Wreszcie narzeczony postąpił ku narzeczonej i rękę jej podał. Była to ręka chuda, o palcach długich i cienkich. Końce palców lekko drżały.

— Znów ustępstwo na korzyść «zdrowia moralnego»!... rzekł gorzko, głosem bezdźwięcznym. Jednocześnie wskazał oczyma książkę, leżącą na kolanach dziewczyny i kwiat płoniący się w jej włosach.

— Mickiewicz... odpowiedziała lękliwie, jakby winę swą chcąc usprawiedliwić.

— Wiem.

— Czytałam w «Panu Tadeuszu» opisy przyrody... Takie piękne, takie prawdziwe!...

Młodzieniec drgnął niecierpliwie.

— Co piękne, nie może być prawdziwe—rzekł—przynajmniej w dzisiejszem znaczeniu dwojga tych pojęć. Wedle estetyki dzisiejszej, prawda taka, jak my ją pojmujemy, musi być brzydka, wstrętna nawet i odpychająca. Z drugiej znów strony, wedle naszej estetyki, dzisiejsze piękno nie jest niczem innem, jak upokarzającą omyłką, albo, co gorsza, upokarzającem kłamstwem.

— Tak... szepnęła dziewczyna, oczy trwożnie spuszczając.

Henryk ciągnął dalej, tonem wykładającego nauczyciela:

— Mickiewicz nie znał przyrody. Patrzył na nią oczami prostaka. Bawił się nią jak dziecko; podobały mu się jej barwy, dźwięki, zapachy. Z tych barw, dźwięków i zapachów tworzył sztuczne akordy, aby nimi głaskać mile najpierw swoje, a potem słuchaczów swoich nerwy. Widział on tylko maskę przyrody; do twarzy jej, a tembardziej do ducha, nigdy się nie dobrał. Baudelaire...

— Ach! panie Henryku! — przerwała dziewczyna — tak dawno już obiecałeś mi przynieść Baudelaire'a...

— Przyniosłem — rzekł, zanurzając rękę w kie-

szeni tużurka, który na chudem jego ciele wisiał workowato.

Natalia wyciągnęła rękę, on jednak, nie podając książki, ciągnął dalej:

— Baudelaire pierwszy zabrał się do leczenia tego chorobliwego sentymentu. A zadanie miał trudne. Rozigrane nerwy romantyków, pseudoklasyków, dam upajających się poezyą jak morfiną i tłumu, który wielbił bałwochwalców, a bezkrytyczne tak zwane piękno— gorącem żelazem wypalać musiał. Wiła się też ta cała wycackana publiczność pod działaniem poezyi jego, jak robak na szpilce...

Zaśmiał się, jakby mu myśl o owem przypalaniu nerwów i mękach publiczności, przyjemność sprawiała.

— Więc przyroda nie jest piękną?... — spytała lękliwie dziewczyna, kręcąc w palcach kwiatek i oczu nie podnosząc od ziemi.

— Młodzieniec zmarszczył się.

— Czyż pani nie pozbędzie się nigdy tych starych formułek?—rzekł niecierpliwie, skubiąc na wystającej brodzie rzadkie, czarne włosięta. Kto, gdzie, kiedy zaprowadził ten dualizm, w który pani dotąd wierzy? szkolarskie rozgraniczanie wszystkich zjawisk życia, na piękne i brzydkie, dobre i złe i t. p.? Z pewnością nie zrobiła tego przyroda, która jest jedna w sobie i jednolita i która żadnych nomen-

klatur, podziałek, klas, taryf i cenników nie potrzebuje!...

— Panie Henryku... — szepnęła panienka. Ja wiem, żem jeszcze bardzo przesądna... że nie zdołałam jeszcze przetworzyć się całkowicie w duchu nowej szkoły... Jednakże... czyż doprawdy... niema już żadnej, choćby pozornej tylko różnicy, pomiędzy pięknem, a... brzydotą?... Czyż naprzykład ta oto róża, nie jest piękna?...

Ciemny rumieniec wystąpił jej na twarz, jakby się śmiałości własnej zawstydziła.

Henryk wziął niechętnie podsuwaną sobie różę. Wziął ją końcami palców — rzec - by nawet można: końcami paznogci. Podniósł kwiat do oczu, potrząsnął nim i — rzucił na stolik ze wzgardą.

— Ta róża, proszę pani, jest — wstrętna. Wyraża ona prostacze zadowolenie z siebie, posiada rumieńce parobka, który, zmęczywszy się rozrzucaniem mierzwy, zdrzemnął się pod kopą siana. Jest w niej owo «zdrowie», które zachwyca panią dotąd jeszcze w Mickiewiczu, owa radość tryumfującej materyi, która rada jest temu, że ducha zgnębiła i silnie w szponach swych dzierży...

Zatrzymał się, a dojrzawszy zmieszanie w twarzy narzeczonej, mniej twardym głosem dodał:

— Zresztą, jeżeli pani w żaden już sposób bez owego «piękna» obyć się nie może, radzę trochę

poczekać. Jutro, pojutrze i ta róża pocznie stawać się piękną, a przynajmniej wyzwoli się z tego, co ją dziś wstrętną czyni...

— Jutro, pojutrze róża ta zwiędnie...—zauważyła lękliwie Natalia.

— Tak jest, zwiędnie. Zwiędnie; to znaczy: umrze.—Ale czyż pani nie wie, że właściwe życie, rozpoczyna się dopiero ze śmiercią? Chwila rozkładu materyi, to chwila narodzin ducha. Co żyje i kwitnie w pospolitym, trywialnym sensie, to w rzeczywistości martwe jest, albo uśpione. Jesień, nie wiosna, objawia nam prawdziwego ducha wegetacyi; z ruiny dopiero przeziera właściwa idea budownictwa; muzyka rzeczywista, uduchowiona, rozpoczyna się tam dopiero, gdzie kończy się melodya...

— A rzeczywista poezya?

— Rzeczywista poezya, to *delirium*.

— Obłęd?

— Nieinaczej. «Obłęd natchnienia», jak mówią niektórzy. Twórczość świadoma, obmyślona, trzeźwa, jest zabawką, albo szarlataństwem. Trzeba żeby duch poezyi przemawiał sam, swobodny, niczem nie krępowany. Trzeba, żeby przez zgorączkowane usta człowieka, wyrywały się słowa, których znaczenia on sam nie pojmuje. Bo cóż to jest poeta? Medyum; nic tylko medyum. Jak elektryczność po

drucie, tak po tym pośredniku spływa na świat poezya. A w tem objawieniu się potęgi zaświatowej, nie trzeba i nie wypada doszukiwać się pospolitego, lichego sensu, pospolitej, lichej logiki, pospolitych, lichych reguł estetycznych. Pierwszy lepszy dudek, odpowiednio wytresowany, na to wszystko zdobyć się potrafi. Ale ten dudek nie będzie nigdy rzeczywistym poetą, choćby go miliony innych dudków na Kapitolu wieńczyły. W prawdziwem, poetycznem objawieniu, mało jest rzeczy zrozumiałych, a nawet wogóle: zrozumialnych. Ale wyłaniają się z niego tu i owdzie potężne, wstrząsające lub rozmarzające *wyrazy* na kształt kryształków, wybłyskujących gdzieniegdzie z zakrzepłej lawy. Jednym takim wyrazem upoić się można na całe dnie i tygodnie, czasem nawet na lata całe.

Dziewczyna słuchała tego wykładu z zamrużonemi oczyma, z fałdą na czole, od wytężenia myśli powstałą. Widocznem było, że mówiący całkowicie nad jej duchem panuje. Może nie wszystko, czego ją uczył, rozumiała; we wszystko jednak ślepo i dogmatycznie wierzyła.

— Czy zastanawiała się pani kiedy nad poetycznością wyrazów?—ciągnął Henryk. — Są takie, w których mieści się więcej, niż w wielu długich poematach. Ja naprzykład przeczytałem z zupełnym spokojem i z uczuciem nudy jedynie całą «Iliadę»,

ale nie mogę bez głębokiego wzruszenia słyszeć, a nawet czytać pojedyńczych wyrazów: «płaczebny»... «upiorowy»... «cmentarzysko»...Wyraz «martwica» podnosi mi włosy na głowie, a zarazem przejmuje jakąś niewysłowioną rozkoszą. Czuję, że gdybym wyraz ten kilkanaście razy powtórzył, omdlałbym...

Natalia, wpatrując się w narzeczonego, jęła mówić bezwiednie:

— Martwica... martwica... martwica...

Henryk zadrżał, oczy mu się rozszerzyły, na czoło pot wystąpił.

— Przestań pani, przestań!.. — wyjąkał słabym głosem.

Ale i ją ogarnęło już wzruszenie. Pobladła, zęby jej zadzwoniły, i musiała chusteczką usta zasłonić i zębami silnie ją zagryźć, aby powstymać wybuch spazmatycznego płaczu. Dopiero, kiedy z wysiłkiem zwróciła oczy w inną stroną, spokój jej powrócił.

— Mówiliśmy o poezyach Baudelaire'a — rzekła, aby czem innem myśl zająć. — Czy nie zechcesz pan przeczytać mi z nich cokolwiek?

Młodzieniec brwi ściągnął.

— Przeczytam — rzekł — ale... opanuj pani wpierw swoje nerwy. Baudelaire to nie Mickiewicz. A ja panią, panno Natalio — dodał z kocim wyra-

zem twarzy, który miał oznaczać umizg—nie chciałbym uważać za nic innego, jak za człowieka...

— Bądź pan spokojny — odrzekło dziewczę, poruszając się. Nie jestem i nie będę niczem innem jak człowiekiem.

Henryk zaczął czytać głosem oschłym:

Rappelez-vous l'objet, que nous vîmes, mon âme
Ce beau matin d'été si doux?
Au détour d'un sentier une charogne infâme
Sur un lit semé de cailloux...

Spojrzał zpod oka na słuchającą. Siedziała prosta, mężna i wyraz twarzy miała skupiony a śmiały.

Narzeczony ciągnął dalej, przy każdem zdaniu silniejszem badając spojrzeniem dziewczynę:

Le soleil rayonnait sur cette pourriture...
. . . . . .
Le puanteur était si forte, que sur l'herbe
Vous crûtes vous évanouir...
. . . . . .
Les mouches bourdonnaient sur ce ventre putride,
D'où sortaient de noirs bataillons
De larves...

Natalia nie zmieniała pozycyi. Oczy jej patrzyły wciąż prosto i z takiem wytężeniem, że zdawały się szklanemi.

Młodzieniec zamilkł na chwilę, wpatrując się w narzeczoną. Potem z zimnym deklamacyjnym patosem, przeszedł do strof ostatnich:

...Et pourtant vous serez semblable à cette ordure
A cette horrible infection,
Etoile de mes yeux, soleil de ma nature,
Vous, mon ange et ma passion...

Nagle przerwał sobie.

— Co to? co pani jest? — syknął z niecierpliwością raczej, niż ze współczuciem.

Natalia, biała jak kreda, osunęła się z krzesła, szepcząc drżącemi ustami:

— Nic mi... nic... ale wyjdźmy ztąd... wyjdźmy...

Henryk, nie śpiesząc się zbytecznie, zamknął i schował książkę. Potem podał narzeczonej ramię, siłą prawie uniósł ją z miejsca i wyprowadził z pokoju.

Na ustach dziewczyny były krwawe ślady. Pokąsała je do krwi, aby nad wzruszeniem zapanować. Zmogło ją ono, ale mu wybuchnąć nie pozwoliła.

— Nie, nie jesteś pani jeszcze kobietą nowej ery! Nie jesteś pani jeszcze człowiekiem... — mówił z żalem, zaprawionym irytacyą.

Ona chciała upewniać go o swej odwadze i swem człowieczeństwie, ale—siły jej brakło.

W chwili, gdy za wychodzącymi drzwi się zamknęły, w sąsiednim pokoju podniósł się z sofki stary doktór, i plunął z pasyą na środek.

— Trzydzieści pięć lat praktykuję — rzekł — a jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać takiego... pacyenta!

Zaraz też z ust jego, sycząc jak rakiety, jęły wylatywać słowa:

— Głuptak! bezlotek! pieprzojad.

Na końcu zabrzmiało najgłośniej:

— Śmierdziel!

III.

Więc to już postanowione? — pytał nazajutrz doktór, siedząc przy stole założonym przeróżnymi drobiazgami i wprawiając szklane oko wypchanemu przez siebie ptakowi.

— Przed miesiącem zamienili pierścionki... — odrzekła kobieta w średnim wieku, tłusta, anemiczna, o dużych, wypukłych, sennych oczach.

Doktór zamruczał coś gniewnie pod wąsami.

— Cóż tak siostrze przypiliło — rzekł ze źle tajonym gniewem.

Kobieta znów westchnęła.

— Nie mogłam się opierać, poznawszy skłonność Naci...—odrzekła sentymentalnie.

— Jaką znów skłonność?

— Skłonność serca...

Doktór odłożył ptaka, fotel odsunął, zwrócił się twarzą do kobiety i kładąc swe wielkie ręce na kolanach, rzekł z naciskiem:

— Siostra przez całe życie byłaś pingwinem, i pingwinem zostaniesz do śmierci!

Dało się słyszeć kilka szybkich westchnień, i i zaraz potem głos płaczliwy odpowiedział:

— Brat znów przezwiska dawać mi zaczyna... A ja nawet niewiem, nieszczęśliwa, co pingwin znaczy!

Doktór odjął ręce od kolan i w górę je poniósł ruchem, oznaczającym zgrozę najwyższą...

— Nie wie co znaczy pingwin! co znaczy *aptenodytes!* — zawołał patetycznie. Niezna ptaka najbardziej typówego z rodziny pletwonogich! I chce mimo to decydować o losie córki swojej, o losie jej dzieci — o zdrowiu i szczęściu następnych pokoleń!

Kobieta obtarła łzy brzeżkiem chusteczki haftowanej.

— Wiadomo bratu — rzekła łkając — ilem wycierpiała z powodu, że mi w swoim czasie za głosem serca pójść nie dano. Nie mogłam córki na katusze podobne skazywać...

— Hę? o czem siostra mówisz — spytał doktór,

oko mrużąc i ramię jedno do góry podnosząc. Czy to jest pite do nieboszczyka Mazgajskiego?

Odpowiedzią było westchnienie tak głębokie i tak silne, że na wypchanych ptakach pierze podniosły się i skrzydła zaszeleściały.

— No, to mam honor siostrze oświadczyć, że za to, co się stało, Bogu powinnaś dziękować. Miałem Mazgajskiego w kuracyi. Chroniczny katar kiszek, kamienie żółciowe i rozedma płuc. W dodatku—alkoholik. Śliczny egzemplarz!

— Skróciła mu życie melancholia i zawód sercowy...

— Gorzałka i zimny schab z kapustą!

— Umierając, jeszcze wołał: Juljo!

— Umierając, jeszcze wołał: sznapsa!

— Skończył jak bohater!

— Skończył jak—wieprz!

— Ach! ach! ach!—zaniosła się kobieta, obiema rękami chwytając się za serce. Prawdę mówią, że wszyscy doktorzy to—rzeźniki!..

— Drobiu domowego — dokończył doktór półgłosem, nie okazując zresztą najmniejszego wzruszenia.

Przez kilka chwil rodzeństwo nic do siebie nie mówiło. Siostra tarła oczy haftowaną chusteczką, ciężko przytem wzdychając; brat poprawiał coś u

swego ptaka, spozierając raz po raz, bokiem na wzdychającą.

Wreszcie doktór, odkładając robotę, przysunął się z fotelem do siostry, i nic nie mówiąc, w rękę ją pocałował.

Kobieta lżej nieco westchnęła, i odsłoniła jedno zapłakane oko.

— Brat zawsze-ś jednakowy—rzekła napół z żalem, napół z pieszczotą. Wpierw nadokuczasz, a potem przepraszasz...

— Chciałażbyś siostra abym postępował przeciwnie?—zaśmiał się doktór.

— Powinneś pamiętać, że masz mnie tylko jedną... .

— A siostra mnie tylko jednego — rachunek zatem wyrównany. Przestańmy czupurzyć się jak dwa cietrzewie i pogadajmy spokojnie.

Odchrząknął, zamyślił się, wyjął zegarek, popatrzył nań machinalnie (przyzwyczajenie doktorskie), znów odchrząknął, i rzekł:

— Jeżeli, porzucając szpital, gabinet swój, praktykę na mieście i ulubione studya naukowe, przyjechałem do was, to nie po to tylko aby jeść razem z wami mleko kwaśne, łapać w potrzask gile i wypychać je. Cel moich odwiedzin był ważniejszy. Przybyłem głównie i przedewszystkiem: w interesie... wnuków.

— Wnuków?... — powtórzyła kobieta, odsłaniając oba oczy, i nadając im taki wyraz, jakby nie wiedziała, czy ma śmiać się, czy też tylko — dziwić...

— Tak jest—odrzekł spokojnie doktór.

— Alboż brat ma wnuków?

— Nie mam—ale mieć ich będę.

— Chcąc mieć wnuków, trzeba mieć wprzód dzieci...

— Niekoniecznie. Wystarcza mieć siostrzenicę.

Szeroko rozwarte oczy kobiety zmrużyły się w słabym i jakby tęsknym uśmiechu.

— Więc to do Naci się stosuje?—rzekła z westchnieniem.—Zawcześnie dziś jeszcze.

— Wcale nie zawcześnie. Gdy wuj kończy lat pięćdziesiąt pięć, a siostrzenica dziewiętnaście.

Kobieta ponownie westchnęła.

— W Boskiej to mocy!—rzekła. — Ale o cóż to właściwie bratu idzie?

— O to, siostro kochana, aby kiedyś taki mały trznadel, którego w pierwszym miesiącu trzeba trzymać w piecu wylęgowym, a potem zaszywać we flanelę, po Ciechocinkach wozić, paskudztwem opajać i w paskudztwach kąpać, nie potrzebował skarżyć się na mnie i wymówek gorzkich mi robić. Powiedz, siostro, jakąż ja miałbym minę i gdziebym oczy podział, gdyby takie pisklę rachi-

tyczne, z nóżkami wykrzywionemi, z całym różańcem gruczołów na szyi, wystąpiło do mnie i rzekło: «Toś ty taki doktór! toś ty taki dziadek»!... Powiedz, siostro, co jabym pisklęciu temu odpowiedział?...

Duże, zamglone oczy kobiety wpatrywały się w mówiącego z natężeniem, nie zdając się go jednak dobrze rozumieć, wreszcie przybrały wyraz domyślności, a kobieta rzekła:

— Zdaje mi się, że bratu młody Steinitz nie przypadł do gustu?

— Młody?—wykrzyknął doktór, ręce rozkładając. Siostra nazywa go młodym? Ależ ten żabi skrzek ma w sobie tyle młodości, co ja rezygnacyi cielęcej, a siostra instyktu drapieżnego!

— Jednak Nacia go kocha...

Doktór zerwał się z fotelu.

— Nacia jest sikora! — wybuchnął — a siostra jesteś...

— Tylko bez przezwisk!—bardzo brata proszę...

— Cóżbo wy tu mnie gadacie o kochaniu! Kochać tylko może człowiek zdrowy, a siostrzenica moja co? Wygląda jak uciekinierka ze szpitala! Jeszczem jej dobrze nie badał, ale ręczę, że źle trawi, że miewa bicie serca, że cierpi na bezsenność i na zawrót głowy...

— Rzeczywiście, Nacia od wiosny czuje się ciągle niezdrową...

— A widzisz siostra! — A tego śledzia wyikrzonego jak dawno poznała?

— Henryk był u nas z pierwszą wizytą przed dwoma miesiącami.

— I tak odrazu przylgnęli do siebie?

— Po miesiącu bywania oświadczył się, a że Nacia wyznała, że go kocha, nie miałam racyi dawania rekuzy. Przytem chłopiec stateczny, zamożny; ojciec jest dyrektorem fabryki, matka zostawiła synowi folwark i kapitał. Wykształcony wysoko, zagranicą bawił lat kilka — do gazet nawet pisuje...

Doktór ujął siostrę za rękę i badawczo spojrzał jej w oczy.

— Na jedno pytanie musisz mi siostra odpowiedzieć—rzekł z powagą—ale szczerze, jak przed—doktorem. Czy, będąc w wieku Naci, i niczem do tego nie przymuszona, wyszłabyś za Steinitza?..

W dużych oczach kobiety odmalowało się zakłopotanie. Przez chwilę milczała, potem rzekła nieśmiało:

— Nacia go kocha...

— To nie jest odpowiedź, lecz wykręt. Ja pytam siostrę, czy mając do wyboru: Steinitza, który ma folwark i Mazgajskiego, który nic nie miał, wybrała-byś—Steinitza?

Zmieszanie kobiety powiększyło się. Spuściwszy oczy, milczała długo, wreszcie nie mogła znaleźć stosowniejszej odpowiedzi nad powtórzenie swego:

— Ale ja mówię bratu, że Nacia go kocha...

— Nieprawda!—zawołał doktór z gniewem, rękę jej puszczając.—Dziewczynie tylko tak się zdaje, dla tego, że chora. Gdyby była zdrową, kochała-by... Kazimierza.

— Brat mówi o młodym Tańskim?

— Tak — o waszym sąsiedzie, a synie dzielnego człowieka, który był moim przyjacielem. Bażant nie chłopiec! Bo przypuszczam, że nie zmienił się od czasu, gdy go ostatni raz widziałem?

— O nie! Utył tylko cokolwiek i rumieńców nabrał mocniejszych. Ale jest tym samym ładnym i miłym chłopcem co i dawniej.

— Widzę z przyjemnością, że siostra umiałaś poznać się na jego wartości.

— I nawet, prawdę rzekłszy, wolałabym, aby ego Nacia wybrała. Cóż jednak zrobić, kiedy dziewczyna go nie lubi!...

— A dawniej lubiła?

— Bardzo. Byli prawie zaręczeni. Ale potem wszystko się rozchwiało. Zjawił się Steinitz—i Nacia ostygła dla Kazimierza.

— Dla czego?

— Bo ja wiem. Któż zbada serce kobiety?

Doktór uśmiechnął się ironicznie.

— Kto?—odrzekł z uśmiechem.—Lekarz!

I głośnym śmiechem objawił zadowolenie ze swej odpowiedzi.

Kobieta westchnęła i oczy podniosła do nieba. Zaraz też potem wstała i zabierać się jęła do odejścia.

— Idę zrobić przygotowania do dzisiejszego podwieczorku. Jak tylko skwar południowy przejdzie, jedziemy wszyscy na folwark. Muszę zawczasu wyprawić tam kosze z prowiantem.

Doktór uderzył się palcem w czoło.

— Słuchaj, siostro—rzekł, czy od was do Tańskiego daleko?

— Pięciu wiorst niema

— A czy on po fochach, jakie mu ta wróblica okazała, nie przestał w waszym domu bywać?

— Broń Boże. To człowiek tak dobrze wychowany, tak delikatny... Nawet poznać nie dał, że żywi do nas urazę...

— To dobrze. Pchnij-że więc siostra do niego posłańca z grzecznym listem, zapraszając na dzisiejszy podwieczorek. Do swojej prośby dołącz też i moją.

— I owszem, skoro to bratu sprawić ma przyjemność...

Po odejściu siostry, doktór chodził długo po pokoju, zżymając się, mruczał coś do siebie, i całym wyrazem twarzy objawiał gniew i obrzydzenie.

Potem z walizy podróżnej dobył kilka dzieł lekarskich i pilnie wertować je począł. Po długiem szukaniu, znalazłszy wreszcie co mu było potrzebne, i zagłębiwszy się cały w książce, czytał a czytał bez przerwy...

IV.

W małym, ale szerokim i wygodnym koczyku, zaprzężonym w tłustą, spokojną klaczkę, siedział obok siostry doktór i hałaśliwemi wybuchami śmiechu płoszył ptactwo z krzaków przydrożnych. Ponieważ trudno przypuszczać, aby go o tę wesołość przyprawiało milczenie sąsiadki, co chwila wzdychającej i co chwila zasypiającej, więc pewnie źródło dobrego humoru stanowiła dlań rozmowa z kłusującym obok koczyka młodzieńcem. Młodzieniec był typem urodziwego wieśniaka, o płowym opuszczonym wąsie, o twarzy różowej od słońca, poczciwej i otwartej, o czole białem, przeciętem prostopadłą zmarszczką, która powstała nietyle od rozmyślań głębokich, co od ściągania brwi przy wpatrywaniu się w przestrzeń daleką.

Wyprzedziwszy o kilkaset kroków towarzystwo, jechali szparko na dwóch chudych, pół-angielskich

koniach: Natalia i jej narzeczony. Oboje bladzi, z posępnemi twarzami i wzrokiem błyszczącym, wyglądali jak jeźdzcy z romantycznej ballady, oślepieni słońcem, które im oczy, do księżyca przywykłe, raziło.

— Szkoda, doktorze kochany — mówił młodzieniec, jadący przy koczyku — że tylko małe sztuki masz zwyczaj wypychać. Gdyby nie to, ofiarowałbym ci do zbiorów parę dużych ptaków bezskrzydłych z rodzaju *inséparables* ..

— Krajowych? podchwycił ciekawie doktór, w którym zadrgała żyłka ornitologiczna.

— Tak jest. Jeden wprawdzie wylęgał się przed wiekami w Afryce, ale to nic. Choćby go dziś do ojczyzny kto zawiózł, wróciłby tu z pewnością, bo takiego żeru, jaki ma na naszych łąkach, nigdzie na świecie nie znajdzie.

— Błotny?—wypytywał doktór.

— Nie tyle błotny, co—obłocony.

— Nie rozumiem.

— Rzecz bardzo prosta. Te dwa ptaki to szlachciż i żyd.

Zaśmiał się doktór.

— Upatrzyłem tu i ja, mój Kaziu, jedną osobliwą sztukę dwunożną — rzekł filuternie. — Dałbym dużo za to bym ją mógł spreparować na użytek jakiego gabinetu medycznego...

— Z rodzaju nietoperzów? — podjął domyślnie Kazimierz.

— Coś zbliżonego do nietoperza i do kreta. Ale to jeszcze nie to. Najbardziej przypomina małe zwierzątko zwane w zoologii *Foetorius putorius*...

Kazimierz zaśmiał się nerwowo; zaraz jednak spospępniał. Doktór zaś mówił dalej:

— Egzemplarz to nietylko brzydki, ale i szkodliwy. Zakrada się do kurników i dusi młode gąski. Dobry gospodarz tępić go powinien bez litości...

— A co zrobić, gdy ma tak mocne pazury, że przystąpić do niego niepodobna?

Doktór oko jedno przymrużył.

— Wykurzyć go, Kaziu kochanie—wykurzyć!

I znów wesołość zapanowała w koczyku i obok koczyka.

W tej chwili matka Naci, ścigająca sennym wzrokiem parę jadącą na przodzie, wydała okrzyk przestrachu.

Koń, na którym siedziała Nacia, skoczył w bok, i puścił się wyciągniętym galopem przez rżysko. Dziewczyna z całej mocy ściągała cugle, powstrzymać go jednak nie mogła. Grunt był piasczysty i przez słońce wypalony; zpod kopyt wierzchowca wzbiła się kurzawa i wszystko tumanem gęstym zakryła.

Kazimierz spiął konia i poleciał jak strzała na miejsce wypadku. Spokojna klaczka dostała także uderzenie batem i koczyk szybko potoczył się po gościńcu. Matka Naci krzyczała przeraźliwie, wyciągała ręce przed siebie; doktór milczał, ale kręcił się niespokojnie na swojem siedzeniu.

Gdy Kazimierz dopadł do miejsca, zakrytego rzedniejącym teraz tumanem, zobaczył co następuje:

W bruździe, pełnej polnych kamieni, leżała Nacia bez przytomności. Kapelusz spadł jej z głowy, włosy były rozplecione, twarz miała barwę zieloną. Na lewej skroni czerwieniła się krew...

Przed Nacią klęczał, nie ratując jej wszakże, Steinitz. Twarz jego wyrażała ogłupienie, a zarazem zachwyt. Szeroko rozwartemi oczyma wpatrywał się w zemdloną, a całą postacią chylił się ku niej, jakby pragnął w objęcia ją chwycić. Bezkrwiste jego wargi wykrzywił uśmiech obłąkania — zagadkowy, straszny...

Uśmiechając się, powtarzał głosem bezdźwięcznym:

— Martwica... martwica... martwica...

Kazimierz, osadziwszy konia w miejscu, zawołał głosem, oburzenia pełnym:

— Czemu nie ratujesz narzeczonej, panie Steinitz!

Ale tamten na wołanie to nawet głowy nie odwrócił.

Nie śmiał się jednak, wbrew zwyczajowi. Przez cały dzień pilnował siostrzenicy, badał jej puls, mierzył temperaturę, i prawił rzeczy wesołe z miną wielce poważną.

Nad wieczorem, zmierzywszy stopnie na termometrze maksymalnym, po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Wiesz siostro co ci powiem?—rzekł, zwracając się ku matce Naci, która siedziała zagłębiona w fotelu, co chwil parę cicho popłakując. — Z tej biedy może być radość.

— Oj, radość!—jęknęła kobieta, świeży strumień łez haftowaną ocierając chusteczką.

— Nieinaczej — potwierdził doktór. Czyż to siostra nie wiesz, że często z brzydkiego jaja wykluwa się bardzo piękne pisklę? Prawda, że moja siostrzenica trochę się potłukła, i trochę się przestraszyła; ale może to wyjdzie na zdrowie moim wnukom, a to grunt!

Roześmiał się i dorzucił wesoło:

— Jacyśmy to wszakże egoiści! Zająwszy się Nacią, zapomnieliśmy zupełnie o drugim bohaterze tej awantury...

— O Steinitzu?

— Nie, o koniu.

Przywołany stajenny doniósł, że klacz półkrwi angielskiej, na której jechała «jaśnie panienka» schwy-

taną została o dwie wiorsty od miejsca wypadku, ze zwichniętą nogą i pokaleczonemi piersiami. Co zaś do wierzchowca «jaśnie panicza», to stoi on już w stajni, i nic mu się nie stało, tylko zgrzał się trochę.

O Steinitza nie pytano. Dzielił on zresztą los swego konia. Po wzruszeniach dnia, wysypiał się w tej chwili — nie w stajni naturalnie, lecz w gościnnym pokoju.

Około północy odszedł i doktór do siebie. Wpierw jeszcze wyprawił na spoczynek siostrę i ustanowił nadzór nad chorą. Sam jednak, mimo późnej godziny, spać się nie położył. Z walizy dobył książkę nową, z nierozciętemi jeszcze kartami, i zapaliwszy drugą świecę, zagłębił się w czytaniu.

Biła pierwsza na dużym zegarze w jadalni, kiedy wstał wreszcie z twarzą rozjaśnioną i rzekł, zamykając książkę:

— Znalazłem...

Potem jął chodzić po pokoju krokiem wolnym, zatrzymując się, mrucząc pod nosem i pocierając czoło w zamyśleniu.

Wreszcie sięgnął raz jeszcze do walizy. Na samym spodzie, pod książkami i broszurami, leżało tam duże album fotograficzne. Doktór wydostał je ostrożnie i rozłożył na stole.

Dziwne to było album, i wcale nie takie, aby

służyć mogło do zabawiania gości w salonie. Nie było ono galeryą piękności, ale raczej gabinetem szkarady. Była zaś ta szkarada tem okropniejsza, że zbiór obejmował same kobiety...

Doktór wpatrywał się spokojnym wzrokiem uczonego w ciała wysztywnione tężcem, w członki wyłamane drgawkami, w twarze zeszpecone straszną naroślą, albo straszniejszym jeszcze od niej wyrazem duchowego zbydlęcenia.

Z fotogramów tych wybrał po namyśle jeden, wysunął go ostrożnie z albumu, umieścił w kopercie, i na stole położył.

Potem album schował napowrót do walizy i rozbierać się zaczął, uśmiechając się filuternie...

V.

Nazajutrz słońce silnie przypiekało. We dworze, od strony południowej, nie tylko pozapuszczano rolety, ale i okienice przymknięto. Po jednej z najciemniejszych ulic ogrodu chodził doktór pod rękę ze Steinitzem i żywo o czemś rozmawiali.

Stary kawaler, czerwony od upału, z rumieńcem na wygolonej twarzy, w kapeluszu zakrywającym siwą czupryne, wyglądał na młodzieńca; towarzysz jego, żółty, przygarbiony, z zapadłemi oczami i twarzą posępną, wydawał się starcem.

Doktór chłodził się kapeluszem, chustką twarz ocierał, i często w rozmowie przeciągłe «uf» z ust mu się wyrywało; Steinitz, obojętny na upał, nie rozpiął nawet tużurka, głowy nie odsłonił i zdawał się nie odczuwać zupełnie gorąca.

Zresztą, panowała między nimi najdoskonalsza harmonia...

— Jam w tobie, panie Steinitz, odgadł odrazu umysł wyższy—mówił doktór, uśmiechając się dobrodusznie i zachęcająco. — Pewny też jestem, żeś wyższy nad przesądy.

— To rzecz naturalna w młodym—odrzekł Henryk wyniośle. — Ale gdy człowiek w późnym wieku potrafi gardzić przesądami, należy to już do bardzo chwalebnych osobliwości.

— Nic w tem jednak osobliwego. Służąc nauce, staram się iść z nią razem, oto cała tajemnica mojej żywotności. A że nie obciążyłem się rodziną, więc wystarcza mi czas na wszystko. Prócz medycyny, zajmuję się naukami przyrodniczemi — poza tem zaś szukam jeszcze i nowych prądów ducha w sztuce, literaturze, naukach społecznych... Ty, panie Steinitz, zajmujesz się podobno tem wszystkiem?

— Pochlebiam sobie, że nie tylko idę w pierwszym szeregu, ale go nawet wyprzedzam.

— Jesteś zapewne dekadentem?

— Dekadentem, schyłkowcem, symbolistą, czem pan chcesz; człowiekiem w ogóle *du dernier soupir du siècle*. Nie służę jednak pod żadnym sztandarem i nie uznaję niczyjego zwierzchnictwa.

— Przypuszczam wszakże, iż nie wyparłbyś się pokrewieństwa z Baudelaire'm?

— Tak, z nim jednym tylko. Ale bo też Baudelaire to olbrzym.

Doktór przybrał minę tajemniczą i rozejrzał się podejrzliwie dokoła.

— Słuchaj, panie Steinitz — rzekł głosem przyciszonym. Nikt nas tu nie podsłuchuje, mogę więc otwarcie myśl swą wyjawić. Inniby mię potępili; ty jeden zrozumiesz. Podług mnie, Mickiewicz nie wart Baudelaire'owi rzemyka u sandałów rozwiązać.

Steinitzowi oczy zapłonęły. Chwycił doktora za rękę, i w milczeniu, silnie, nerwowo uścisnął.

— Czy wiesz, panie Steinitz — ciągnął doktór tonem coraz poufniejszym — czem jest dla mnie Mickiewicz? Genialnym prostakiem. I dlatego właśnie społeczeństwo nasze, które jest społeczeństwem prostackiem, za bożyszcze go uważa. W myślach jego nie widzę głębokości, a w obrazach prawdy. Zachwycają się jego opisami przyrody; mówią, że są cudownie piękne. Ależ właśnie dla tego, że piękne, nie mogą być prawdziwymi! Mickiewicz wszędzie widział harmonię; wszędzie dosłuchiwał

się akordów. Tymczasem czemże jest przyroda? Chaosem! Czemże jest życie? Dysonansem! Ale on nie znał naprawdę ani przyrody ani życia. Jednem i drugiem bawił on tylko siebie i innych, jak błyszczącemi cackami. Znał on jedynie, że tak powiem maskę rzeczy; do ich twarzy, a tembardziej do ich ducha nigdy się nie dobrał. .

Steinitz wpatrywał się w doktora wzrokiem rozpromienionym. Chłonął jego słowa łakomie i nasycić się niemi nie mógł—nie zgadując, że są one echem jego własnych słów, wypowiedzianych poprzedniego dnia do narzeczonej. . .

— Dziwi cię to może, panie Steinitz — rzekł doktór po małej przerwie — że człowiek, którego specyalnością jest medycyna, ośmiela się mieć swoje zdanie o poezyi. Tkwi jednak i w naukach lekarskich swego rodzaju poezya. Mało przedstawia ona podobieństwa do poezyi prostaków, safandułów i panien osiemnastoletnich. Jest to poezya rozkładu, potworności, zgnilizny — poezya smutna i nie dla wszystkich ciekawa, ale. . .

— Powiedz pan — przerwał młodzieniec z wybuchem—poezya najwznioślejsza, najbardziej ludzka, najprawdziwsza! Piękno nasze, piękno ludzi nowych tkwi wyłącznie w rozkładzie, w potworności, w zgniliźnie. Rolę dawnych gajów Apolla odgrywa dziś szpital i prosektoryum. Ach! — zawołał jakby

w upojeniu, przymykając oczy, a nozdrza rozszerzając — rozkładające się tkanki! rumieńce dłonią śmierci starte! cudowna, zielonawo-sina barwa ciał trupich! Tylko w negacyi wszystkiego, co się zwie zdrowiem, harmonią, dobrem, mieści się pierwiastek prawdziwej poetyczności.

Doktór badał z pod oka młodzieńca, który wykrzykiwał ostatnie słowa głosem zmienionym, gardłowym, rzucając się przytem całem ciałem jak epileptyk.

— Usiądźmy — rzekł, ujmując obie jego ręce po przyjacielsku.

Pociągnął go ku poblizkiej ławeczcze, i usiedli.

— Zaufałem ci, panie Steinitz — ciągnął — i nie zawiodłem się. Widzę, że moje przekonania są i twojemi także. Szpital i prosektoryum to świątynie — dla obu naszych duchów. Zgadzamy się ze sobą — nie powiem jak dwa słowiki w dąbrowie, ale jak dwa sępy, kraczące na dwóch sąsiednich urwiskach...

Zatrzymał się, i w oczy mu patrząc, dodał znacząco:

— Teraz, z kolei, ty zaufać mi musisz.

— Dusza moja, dla tych, którzy ją rozumieją, zawsze stoi otworem—odrzekł Steinitz.

— A więc wyznaj: ty siostrzenicy mojej nie kochasz...

Haczyk zarzucono niespodzianie. Młodzieniec poczuwszy jego ostrze szarpnął się, i oczy zamigotały mu jak u prawdziwego sępa. Potem wzrok spuścił w ziemię i milczał.

— Nie kochasz—powtórzył doktór z naciskiem.

Wówczas Steinitz, nie podnosząc oczu, jął mówić półgłosem jakby do siebie tylko:

— Poco zbudzili ją, poco?... Była tak pociągająca, tak pełna ducha, z rzęsami opuszczonemi na policzki, z ustami barwy fioletu, z drewnianą całej postawy sztywnością... Taką kochałbym zawsze—kochałbym całem jestestwem swojem... W podobnych barwach zjawiła mi się po raz pierwszy—na pogrzebie ojca swojego... Matka, przedstawiając mnie jej, rzekła: «Patrz pan: wygląda jak z trumny wyjęta»... Zachwyciła mię wówczas swoją bladością, prawie śmiertelną, swem znękaniem nadzwyczajnem, swą niemocą, która była tak wielka, że z martwotą prawie graniczyła... Czemuż zrobili ją znowu ziemską, pospolitą, ulegającą zmysłom — jak wszystkie?...

— Łudziłeś się, panie Steinitz — rzekł doktór, wysłuchawszy ten monolog. — Brałeś efekt chwilowy za rzeczywistość. Nacia zawsze była taką jak wszystkie. Jako blizki krewny i jako lekarz, znam dziewczynę tę dobrze. Jest to istota obdarzona błogosławioną miernością ducha, a zarazem skoń-

czony okaz tego typu, który wy nazwą «zjadaczów chleba» oznaczacie. Szkoda ciebie dla niej, panie Steinitz.

Młodzieniec podniósł głowę i słuchał mówiącego z natężoną uwagą.

— Jednakże — zauważył— dobywał się chwilami z dziewczyny tej duch lotny, a smętny,—ognikom na starych cmentarzach podobny... Przemawiała słowami, które były w sprzeczności zupełnej z tem, w co nasze dziewczęta, na «Złotym ołtarzyku» i na poezyach Mickiewicza wykarmione, najsilniej zwykle wierzą. Słowa te uderzały nawet niekiedy taką śmiałością, jakby wypłynęły nie z jej ducha, ale z mojego.

— Panie Steinitz!—rzekł doktór, kładąc rękę na jego ramieniu. Słyszałeś zapewne o prawie przystosowywania się, które reguluje tak wiele stosunków w przyrodzie. Otóż dowiedz się, że prawo to odgrywa rolę, najważniejszą może, w stosunku kobiety do mężczyzny. Umie ona przystosowywać się w cudowny niemal sposób do tego, nad którego usidleniem pracuje. Gdy już cel swój osiągnęła, komedyę udawania porzuca i staje się napowrót sobą. Wierz mi, panie Steinitz, gdyby narzeczony Naci był romantykiem, umiała-by ona oczarowywać go ultra-romantyzmem; a gdyby los podsunął jej

był... rzeźnika, wprawiła-by go w zachwyt rozprawami o soleniu i wędzeniu mięsiwa!

Steinitz sposępniał.

— Obawiam się — rzekł głucho — że wiele jest prawdy w tem, co pan mówisz...

— Czy wiesz na czem ją kiedyś przyłapałem? Obrywała listki ze stokrotki, i mówiła «kocha... nie kocha»...

— Obrzydliwa, ślimacza czułostkowość!

— Nie mogę nareszcie zataić jednego jeszcze. Dziewczyna ta, aby wydać ci się eteryczniejsza, niż jest w rzeczywistości, uciekała się do podstępu. Przy tobie ledwie dziobnęła coś jak koliber, a gdyś odszedł, pochłaniała jedzenie jak wygłodzony sęp Raz nawet uciekać się musiano do mojej pomocy, bo spałaszowała na noc całą kaczkę nadziewaną jabłkami i zapiła to syfonem wody sodowej...

Steinitz jęknął i twarz zakrył rękami. Zdawało się przez chwilę, że zapłacze. Ale on płakać nie umiał. Wzdrygnął się tylko cały i przez zaciśnięte zęby, z ironią najwyższą syknął:

— Polka!..

W tej chwili doktór wydostał z kieszeni fotografię, i nic nie mówiąc, podsunął mu ją przed oczy.

Fotografia przedstawiała młodą histeryczkę, o twarzy w najwyższym stopniu wynędzniałej i wy-

rażającej osłupienie. Oczy, nad wszelką miarę wielkie, a przytem głęboko zapadłe, wydawały się z pewnej odległości pustemi dołami trupiej czaszki. Wązkie, ledwie znaczne wargi, w kurczu dziwnym, zarazem do uśmiechu i do bolesnego wykrzywienia podobnym, odkrywały rząd dużych, ostrych zębów. Zwichrzone włosy, nakształt chmury wielkiej, leżały nad wązkim, prawie trójkątnym owalem twarzy. Całość przypominała Sarę Bernhardt—w trzy dni po śmierci.

Steinitz porwał fotografię w obie ręce, i zatopił w niej wzrok pożądliwy.

— Kto to? kto?—zapytał głosem od wzruszenia stłumionym.

— Kobieta dla ciebie! — odrzekł doktór z naciskiem.

— A ja dla niej — to prawda. Ale czy wyrok przeznaczenia spełnić się może?

— W twojej to tylko mocy. . .

— Gdzież ta kobieta? co robi? do jakiej sfery należy?

— Mieszka w Warszawie—sama. Doszedłszy do lat dwudziestu, wyłamała się z pod tyranii ojca i matki. Ciotka zapisała jej dużą sumę. Jest bogata i niezależna. Świat nazywa ją ekscentryczną, nawet waryatką — ale niema w tem słuszności. Ona je-

dynie żyje i postępuje w duchu moim i twoim. I jedna jeszcze wspólność was łączy: jest literatką.

— O!—skrzywił się Steinitz.—Zapewne filozofką w rodzaju pani Ziemęckiej, poetką w rodzaju pani Deotymy, moralistką w rodzaju pani Tańskiej? To mi się nie podoba!

— Mylisz się. Pisuje ona wyłącznie szkice fantastyczne, w rodzaju wyłącznie swoim. Czytałem je w rękopisie, gdyż dotąd nic jeszcze nie drukowała. W jednym opisuje wrażenie człowieka, który budzi się w trumnie z letargu, w innym analizuje w formie powieściowej działanie morfiny na człowieka, któremu zamiast chorej nogi amputowano zdrową. Bo zapomniałem dodać, że jest morfinistką, i przęchodziła sama kilka poważnych operacyj chirurgicznych. Ale najlepiej zaobserwowanym wydał mi się jej szkic pod tytułem:

«Trepanacya czaszki».

Na twarzy Steinitza odmalował się zachwyt niezmierny.

— Doktorze!—zawołał z zapałem.—Na wspólną naszą miłość dla Baudelaire'a zaklinam cię: zapoznaj mię z tą kobietą!

— Zgoda — rzekł doktór. — Jedź, panie Steinitz, do Warszawy — dam ci list polecający do mego kolegi, który jest jej przyjacielem i opiekunem. Jestem pewny, że wystarczy wam obojgu prze-

mówić raz jeden do siebie, abyście się nawzajem pokochali.

— Doktorze! jadę natychmiast. Jadę jutro — dziś jeszcze... Jednej chwili stracić-bym nie chciał...

— Jedź jutro. Ja wyjazd twój przed kobietami upozoruję. A o Nacię nie kłopocz się. Nic jej się złego nie stanie.

— Doktorze! jestem twój duszą i ciałem. Znalazłem w tobie pierwszego... człowieka.

Przy tych słowach wyciągnął rękę do uścisku. Doktór ją ujął w ten jednak sposób, że palec jego znalazł się na pulsie młodzieńca. Nie puszczając tej ręki, mówił:

— Wiedziałem, że cię ta kobieta zachwyci. Gdybym był młody, sam - bym w niej się rozkochał. Zawsze mię ciągnęło do ciał zwiędłych, do chorowitości, do form niezwykłych, dziwacznych, z pozoru odpychających—do wszystkiego słowem, przed czem tłum ze strachem i wstrętem ucieka...

— Mnie tak samo.

— Nie wiem jednak, czy u ciebie popęd ten był wyłączny? czy ogarniał istotę twoją tak całkowicie jak moją?

— Nigdy nie byłem w stanie zakochać się w kobiecie zdrowej, świeżej, z rumieńcami na jędrnych policzkach. Z upodobaniem odwiedzałem szpitale...

— Czy tak? — zapytał doktór z niezwykłem zajęciem. — Ciekawy wszakże jestem, czy upodobanie to zachodziło u ciebie tak daleko, jak u mnie? Czy dasz wiarę, panie Steinitz — dodał ciszej, przybierając ton tajemniczego zwierzenia—bywały chwile, gdy ponętnem wydawało mi się ciało krajane skalpelem...

Steinitzowi zaiskrzyły się oczy.

— Tak, tak...—zasyczał głucho. Pierś, w której tonie błyszczące ostrze noża... Obnażone ze skóry, ślizkie, blado-różowe mięśnie... Kość, bielejąca w otworze głębokiego cięcia... Znam to wszystko! Okropność ta sprawia zawrót głowy i kusi. Jest w tem coś z przyciągającej siły otchłani. *Abyssus abyssum vocat.*

Przysunął się do doktora i szepnął mu w samo ucho:

— Wiesz pan, kto był moim pierwszym ideałem? Umierająca na suchoty ciotka...

Doktór wzdrygnął się, ale ukrył uczucia swe i rzekł tym samym co poprzednio głosem:

— Wspominałeś, panie Steinitz, o zawrotach głowy. Czy często ich doświadczasz?

— Często. Poprzedzają one zawsze wybuch owego, rozkosznie strasznego uczucia. Mózg zdaje się wrzeć pod czaszką, a ból jest tak gwałtowny, że o szaleństwo przyprawia. Potem występuje uczucie

czczości nadzwyczajnej, jakby w czaszce i w piersiach i w jamie brzusznej nic zgoła nie było...

— To, to, to... — przytakiwał doktór, wciąż palec swój badawczy na pulsie towarzysza trzymając.—A w dzieciństwie chorowałeś pewnie ciężko?

— Miewałem konwulsye.

— Tak, tak, tak. Spodziewałem się tego. Dziś zaś pewnie miewasz sny przykre?

Steinitz wpatrywał się w jeden punkt, myśli zbierając.

— Miewam jeden sen—odrzekł powoli, — który mię stale, w przerwach niejakich, dręczy. Duszę się—słabnę—potem zimnym oblewam... O! gdybym mógł to straszydło od siebie odpędzić!...

— Straszydło czarne, wielkie, potworne?... — podchwycił doktór, oka z mówiącego nie spuszczając.

— Kruk, czy też nietoperz —szeptał Steinitz, drżąc. — Czarne, wilgotne skrzydła przyklejają się do piersi... szpony za gardło cisną... olbrzymie cielsko, aż do pękania żeber gniecie... Okropny ptak! a zarazem tak dziwnie, tak szatańsko ponętny! Pomimo wszystko, ciągnie mię coś do niego. W uścisku jego czuję, co czuć musiała Prozerpina w uściskach Plutona...

— Zgadłem — szepnął doktór, puszczając rękę

młodzieńca.—Więc jutro jedziesz, panie Steinitz? — dodał, z ławki wstawając.

Młodzieniec oprzytomniał.

— Jadę. A list?

— Przyślę ci go dziś wieczorem przez umyślnego. Tymczasem do widzenia. We dworze nie pokazuj się już. Powiem, że cię wezwano listem do chorego ojca.

Rozstali się i każdy poszedł w inną stronę.

Wieczorem tego dnia doktór pisał dwa listy: jeden do Steinitza ojca, drugi do jednego z warszawskich lekarzy-psychiatrów.

List pierwszy brzmiał jak następuje:

«Szanowny panie! Piszę do pana w charakterze podwójnym: jako wuj panny Natalii Brzezińskiej, i jako lekarz. Obydwa te stanowiska zniewalają mię do założenia stanowczej opozycyi przeciw małżeństwu syna pańskiego z moją siostrzenicą. Małżeństwo to żadną miarą przyjść do skutku nie może, dla tej ważnej przyczyny, że syn pański jest ciężko chory i choroba jego wymaga kuracyi, lata całe przeciągnąć się mogącej. W tej chwili o jednem tylko myśleć należy: o oddaniu chorego lekarzowi; wobec zaś przypadłości tak skomplikowanej, lekarz ów pierwszym lepszym być nie może. Tu trzeba specyalisty, i to takiego, który z postępem wiedzy idzie. Lekarz ten powinien znać nie

tylky ehoroby, jakie przed nim bywały, ale i takie, które się za jego czasów rodzą. Znam takiego i polecam go panu z zupełnem zaufaniem. Synowi pańskiemu wręczyłem list do tego lekarza; powiezie on go, nie domyślając się, że w tej zapieczętowanej kopercie mieści się dyagnoza jego choroby, a także wyrok, skazujący go na zamknięcie w domu zdrowia. W nieświadomości tej trzeba go utrzymywać aż do końca. Przed panem taić nie będę: stan syna, jakkolwiek nie rozpaczliwy, należy wszakże do bardzo groźnych. Może jednak, przy prędkiej a umiejętnej pomocy, złe da się zażegnać. Pod tym względem w koledze moim pokładać pan może wiarę nieograniczoną.

Proszę przyjąć zapewnienie szacunku i współczucia»

List drugi, do kolegi pisany, znacznie był obszerniejszy. Składał się on niejako z dwóch, zupełnie odrębnych części: specyalnej i ogólnej. W pierwszej pełno było terminów łacińskich i cytat z zagranicznych autorów; na drugą składały się spostrzeżenia i dla nie-lekarza zrozumiałe.

«Za dni naszych — pisał między innemi wuj Natalii—odbywa się zwyradnianie pewnej części społeczeństw europejskich. Część tę nazwałbym przecywilizowaną. Na szczęście, rak, toczący warstwę zwierzchnią, nie zagraża całemu oganizmowi. War-

stwy środkowe i dolne zdrowe są, i posiadają dużo jeszcze siły odpornej.

...«Nie wiem, co ty o tem sądzisz, dla mnie jednak całą kulturę zachodnio-europejską czuć trupem. Rozprzęga się to, traci spoistość, rozkłada... Jak wiesz, zajmuję się nietylko chorobami wewnętrznemi i ornitologią; jedno i drugie pozostawia mi dość jeszcze czasu na studya ogólne, częścią literackie, częścią społeczne. Studya te pokazują mi wiele rzeczy, których za czasu młodości naszej i wieku męzkiego aniśmy przeczuwali. Tworzą się nowe odmiany ludzi, z typem normalnym tę tylko chyba łączność mające, że są zupełnem jego zaprzeczeniem.

...«Dla ciebie *casus* Steinitza nie będzie pewnie ani zagadką ani dziwem. Podciągniesz go pod jakąś gotową rubrykę zboczeń mózgowych, wykreślisz jego figurę medyczną na tle obłędu nekrofilskiego, wyciśniesz zeń na użytek którego z pism lekarskich kilka ciekawych spostrzeżeń—i będziesz spokojny. Mnie szaleniec ten, nawet kaftanem powściągliwości skrępowany, jeszcze dręczyć będzie i niepokoić.

...«Jedno tylko w Steinitzach takich cieszy: że zwiastują początek końca. Zwyrodnieni są zawsze ostatnimi z rodu. Nazwaćby to można moralnością przyrody — która zresztą, jak to dobrze obu nam

wiadomo, nie jest wcale po naszemu moralną. Jest za to szczera. Z przyrodą zawsze wiesz czego się trzymać — nie tak jak z człowiekiem, który nawet samego siebie okłamuje.

...«Ci wrogowie zdrowia, piękna, wiary, siły, wszystkich słowem dodatnich cyfr życia, noszą w sobie zaród rychłej śmierci. Ale jak ów maur, co nim skonał na zarazę, wpierw ją innym w pocałowaniu zaszczepił, mogą i oni siać zniszczenie wśród świata, zanim z jego sceny zejdą. Mogą budzić chorobliwe uczucie sympatyi w kobietach niedoświadczonych, mogą stawać na poprzek prawidłowo układającemu się doborowi naturalnemu, mogą nawet dawać życie istotom charłackim, z góry na zagładę przeznaczonym. Do nas należy bronić społeczeństwo przed nimi, tak samo jak bronimy je przed wszelkiego rodzaju chorobotwórczymi mikrobami.

...«W Steinitzu znajdziesz *pendant* do swej typowej histerycki erotomanki, której użyłem dlań na przynętę. Ona to również grzybek pleśniowaty, na rozkładającym się organizmie cywilizacyi wyrosły. Gdyby rozmnożyć te dwa mikroby i oddać im panowanie nad światem, spustoszyły-by go w ciągu jednego stulecia — może prędzej nawet.

...«Choć wiem, że cuda czynić umiesz z chorymi, nie wierzę, abyś mógł Steinitza wyleczyć.

My, lekarze, podobni jesteśmy do korektorów fortepianu. Przynoszą nam do naprawy człowieka-instrument, w którym struny życia to przeciągnęły się, to rozluźniły. My, z kamertonem w ręku, dociągamy jedne, obluźniamy inne, i gdy już da się wygrać bez fałszu «wlazł kotek na płotek», mówimy, że pacyent ozdrowiał. Co jednak poczniemy z takim jak Steinitz instrumentem, w którym wszystkie co do jednej są popękane? Nawiązywanie strun nowych nie w naszej jest mocy; tej sztuki dokonywa raz tylko jeden,—przyroda.

«Tak jest. My, stary kolego, wiele rzeczy odczuwamy inaczej, niż nasi uczniowie i naturalni następcy. My należymy do pokolenia, które na odwrotnej stronie kursu anatomii kreśliło sonety do idealnych kochanek, i które dziś jeszcze, do trudnej operacyi przystępując, żegna się nabożnie. Żaden z nas z pewnością nie lubuje się w chorobie i zgniliźnie; dla żadnego też śmierć nie jest obojętną,—cóż dopiero pociągającą! Walka z chorobą i śmiercią to cel naszego całego istnienia. Nienawidzimy ich, jak światło nienawidzi ciemności, harmonia — fałszu, twórczość—rozkładu. Ztąd takim wstrętem przejmują nas ci nowi pacyenci, te nowe, potworne produkta zwyrodniałych nerwów i zwyrodniałej cywilizacyi. Jest to uczucie jakiego doznawać musi koń rasowy na widok żmii, lub padalca. Może być, że najmłodsi

z pomiędzy nas wstrętu tego już nie doświadczają, ale—tem gorzej dla nich!»

Zabierał się doktor do pieczętowania listów, gdy wszedł Kazimierz.

Młodzieniec wydawał się smutym i znękanym. Policzki mu pobladły, wąs bardziej niż zwykle opadł ku dołowi, zmarszczka pomiędzy brwiami zarysowała się głęboko.

— Doktorze! — zawołał porywczo — cóż chora?

— Będzie zdrową — odrzekł doktór spokojnie, chuchając na złoty sygnet z pieczęcią.

— Niebezpieczeństwo minęło?

— Odjeżdża jutro pociągiem kuryerskim do Warszawy!

— Niebezpieczeństwo?

— Tak.

— Do Warszawy?

— Właśnie.

— Nic nie rozumiem.

— Zrozumiesz, gdy będzie potrzeba. Tymczasem powiedz mi: dla czego masz minę złapanego w sidła dzięcioła?

Kazimierz westchnął.

— Czyż mogę być obojętnym na nieszczęście, jakie przyjaciół moich spotyka! — rzekł stanowczo.

Doktór, nie spiesząc się, odcisnął pieczęć na je-

dnym liście, potem na drugim, następnie sygnet starannie chustką wytarł i wsunął na palec.

— No, no—mruknął wreszcie—niema jeszcze powodu do desperacyi. Jak Bóg da, może być z nieszczęścia tego—szczęście...

— W każdym razie nie dla mnie! — westchnął młodzieniec.

Doktór spojrzał nań z pod oka i nic nie powiedział.

Po chwili milczenia, Kazimierz sięgnął po czapkę.

— Więc mówisz, doktorze, że niebezpieczeństwa już niema? — spytał, z nogi na nogę przestępując.

— Zwalczyliśmy je przy pomocy moich proszków, oraz dziewiętnastu lat pacyentki. Nacia już pojutrze będzie mogła podnieść się z łóżka. Wówczas też rozpoczniemy kampanię z głównym jej nieprzyjacielem: niedokrewnością.

— A wstrząśnienie przy upadku z konia?

— Wyborne! nieocenione! Powiadam ci, Kaziu, przypadek odegrał w tym razie rolę najdoskonalszego lekarza!..

Młodzieniec otworzył szeroko oczy i usta...

— Widzisz, mój chłopcze—objaśniał doktor—gdy ktoś śpi zbyt długo, a zwykłymi środkami dobudzić się go nie można, wówczas niezaszkodzi dać mu pod bok sójkę.

— Ha!—rzekł Kazimierz weselej—jeżeli tak, to i

pan młody ocknąć-by się powinien. Sprawiłem ja mu wcale niezłe «wstrząśnienie». Spodziewam się też, że jutro lub pojutrze, ujrzę u siebie dwóch jego upełnomocnionych, we frakach, z minami solennemi...

— Nie ujrzysz. Takie ptaki jak on, czupurzą się wówczas tylko, gdy je kto od łupu odpędza. Potem, niezdolne już są wykrzesać ze siebie ani iskry energii.

— To i lepiej. Przy spotkaniu, siły nasze byłyby nierówne. Ja miałbym pierś odkrytą na wszystkie jego pociski a on, jako narzeczony... byłby dla mnie nietykalny.

Zasępił się przy tem przypomnieniu i rękę szybkim ruchem na pożegnanie wyciągnął.

— Bądź zdrów, doktorze! Jam tu niepotrzebny.

Doktor podaną sobie rękę ujął, ale ze swojej nie puszczał.

— Teraz nie jesteś potrzebny, ale gdy czas przyjdzie, bądź gotów do natychmiastowego przyjazdu. Bez ciebie cała kuracya na nic.

— Żartujesz doktorze! Lekarz musi być dla chorego sympatyczny; tymczasem panna Natalia...

— Cóż panna Natalia?

— Cierpieć mię nie może!.. — jęknął Kazimierz, oczy zasłaniając.

Doktór zaniósł się od śmiechu.

— Ach, jakiż z ciebie jeszcze żółtodziób! — wykrzykiwał, potrząsając ręką zmieszanego młodzieńca.—Jakiż bezradny, nieopierzony żółtodziób! I cóż z tego, że cię dziewczyna niecierpi? Niecierpi ona również mięsa, mleka, ruchu na świeżem powietrzu, zimnej kąpieli — wszystkiego słowem, co jest dla niej dobre i zbawienne. A wiesz za czem natomiast przepada? Za octem, za wapnem, za drzemką poobiednią, za kołysaniem się w amerykańskim fotelu, za zapachem zgniłych jabłek, za powieściami kryminalnemi,— za Steinitzem wreszcie...

Kazimierz chciał uczynić w tem miejscu uwagę jakąś, ale doktór nie dał mu przyjść do słowa.

— I cóż to wszystko może obchodzić mnie albo ciebie?—perorował dalej.—Do nas należy: wzruszać z politowaniem ramionami—i robić swoje. Patrz— dodał, biorąc ze stołu długi, wązki, w całości zapisany pasek papieru, tu są znaki kabalistyczne, które potrafią «odczynić» urok, na to pisklę bezskrzydłe rzucony. Na pierwszem miejscu: ruch i świeże powietrze; na drugiem: befsztyki, mleko i jaja na miękko; na trzeciem: czytanie dobrych poetów i skromnych humorystów; na czwartem: gimnastyka i hydropatya; na ostatniem wreszcie—proszki i niewinna woda mineralna. Wszystko, czego potrzeba, aby z kurczęcia zrobić dzielną co się zowie kokosz.

Wyraz zdziwienia nie schodził z twarzy Kazimierza.

Zauważył go doktór.

Idealisto! — rzekł, uderzając go przyjaźnie po ramieniu — oburza cię pewnie to brutalne mieszanie się medycyny do spraw sercowych. Gniewasz się, słysząc, jak stary pedant rozprawia o proszkach, kąpielach i dyecie tam, gdzie ty przywykłeś widzieć tylko: księżyc, całujące się gołąbki i tenora, wyśpiewującego z ręką na lewem płucu: *io t'amo.* Cieszy mię to szczerze, bo tak właśnie być powinno. Wypierzone gawrony, jak ja, niech suszą mózgi nad wynajdywaniem przyczyn wszech rzeczy; młodym kogutom, jak ty, wolno tą całą mądrością pogardzać. Mają one coś innego do roboty. Coś innego i coś przyjemniejszego...

Zaśmiał się, rad własnemu dowcipowi.

— Teraz zaś słuchaj—kończył wesoło.—Po miesiącu nowego życia, Naci zaróżowieją usta i wróci apetyt do pokarmów mięsnych; po sześciu tygodniach będzie już miała swoje dawne, pensyonarskie rumieńce i swoją dawną, pensyonarską wesołość; po dwóch miesiącach nie tylko zapomni o Steinitzu, ale nawet wstręt do niego uczuje; a po kwartale... hm... po kwartale...

— Cóż będzie po kwartale?

— Po kwartale, ty, mój Kaziu, przyjdziesz, oświadczysz się i — zostaniesz przyjęty.

Kazimierz rzucił się doktorowi na szyję.

VI.

Wszystko, co założył sobie doktór, spełniło się w całości.

Nacia w najbliższym karnawale została panią Kazimierzową Tańską, a w niecały rok po ślubie obdarzyła wuja odrazu parą wnucząt: chłopcem i dziewczyną.

Stary lekarz po kilka miesięcy w roku spędza teraz u siostry, bawiąc się, to z wnukiem, to z wnuczką i nadając im przezwiska ze swego ornitologicznego słownika poczerpnięte. Najczęściej chłopcu dostaje się pieszczotliwe miano «mysiego królika», a dziewczynie «figojadki».

Dzieciaki zdrowe są jak rydze, tłuste jak kupidynki Rubensa, a wrzaskliwe jak głodne kormorany. Autorem ostatniego porównania jest naturalnie ich dziadek.

Pani Kazimierzowa posiada dziś marzoną w epoce panieństwa, «twarz księżycową» — nie jest to wszakże księżyc w kwadrze, lecz w pełni. Może komuś wdzięki jej wydały-by się teraz niedość se-

raficznymi, mąż jednak na ich nadmiar wcale się nie uskarża.

Marzycielskie i nieco flegmatyczne usposobienie Naci, z krewkim temperamentem Kazia, wytwarza doskonały pod każdym względem akord. Małżonkom dobrze ze sobą; dobrze też przy nich i dzieciom i wujowi i matce, która już coraz rzadziej koronkową chusteczkę do oczów przykłada.

O Steinitzu wieści dokładnych niema.

Być może, iż dotąd pozostaje w domu zdrowia; być może także, iż skończył już śmiercią naturalną, lub samobójczą.

Ale nastręcza się jedno jeszcze, ze wszystkich najgorsze, przypuszczenie: może udało mu się wyłamać z pod nadzoru lekarskiego i—sztukę w duchu swoim reformuje...

GOŁĘBIE.

— *C'est votre sambre, moussiou. Elle est bien zolie, n'est-ce pas?...*

Przez ramię malutkiej pani Dalti rzuciłem ciekawe spojrzenie w głąb komnaty, która przez czas dłuższy miała być cichą ducha mojego przystanią.

Dla tej cichości właśnie wybrałem ją z pomiędzy innych.

Hałaśliwy hotelik na *Riva dei Schiavoni*, gdziem dotąd mieszkał, stał mi się już nieznośnym.

Po nocach spać mi tam nie dawały serenady gondolierów i marynarzów, którzy, wziąwszy się pod ręce, do białego dnia taczali się po wybrzeżu, wyśpiewując pieśni wrzaskliwe.

Rankiem znowu budziły mię nadpływające z Tryestu parowce, które wprost okien moich zarzucały kotwicę, witając gród dożów rykiem potężnym.

Zaraz potem rozpoczynał się istny sabat przekupniów jarzyn i owoców.

Przybywali oni tłumnie, flotylą całą, na pękatych i suto ładownych barkach, z Lido, Chioggi, Mu-

rano, Torcello i innych, wysepek otaczających Wenecyą. Każdy wychwalał swój towar, przyzywał kupujących i targował się z nimi — te jednak niewinne czynności kupieckie miały wszelki pozór napaści, gwałtu, rabunku i w ogóle jakiejś sceny bitewnej...

I sąsiadów miałem tam niespokojnych.

Z prawej strony dochodziło mię nieustannie indycze gulgotanie dwojga głosów angielskich, widocznie poróżnionych z sobą i usiłujących się wzajem przekrzyczeć; z lewej słyszałem wciąż niekończący się monolog jakiegoś Włocha bezzębnego, który od rana do nocy opowiadał sam sobie bajki, naprzemiany: śmieszne i straszne...

Zdziwienie moje było niemałe, gdym dowiedział się następnie, że głosy angielskie należą do młodej pary, która w Wenecyi spędza miesiąc miodowy; monologujący zaś Włoch jest poczciwym a słabym starowiną, który zabija czas odczytywaniem głośnem Don Kichota.

I jedna jeszcze rzecz wypędziła mię z «Wybrzeża niewolników» — słońce.

Odchylenie okiennic w komnatce mojej równało się wybiciu otworu w piecu hutniczym. Potok oślepiającej jasności i żaru duszącego wrywał się od razu do pokoju, nakształt fali, która tamę skruszyła. Wyjrzeć po za okno, na laguny, było już

wówczas niepodobieństwem. Płonęły one, jak ocean lawy ognistej, miliony milionów iskier w górę wyrzucając i grożąc olśnieniem oku, któreby się przed niemi nie zamknęło...

Z uciechą zatem powitałem nową siedzibę, w samem sercu miasta położoną, a z dwóch względów grobowi podobną, bo i ciemną, i głuchą.

Pokój był dość przestronny, o dwóch oknach i małym ganeczku, z kominkiem marmurowym, takąż posadzką, portretami rodzinnymi na ścianach i wielką, kołyszącą się u powały lampą czy latarnią, o wypukłych, kolorowych szybkach.

Trzecią część pokoju zajmował—sarkofag.

We wnętrzu grobowca wydał mi się on na miejscu właściwem.

— *Voilà votre lit, moussiou...* — zapiszczała tymczasem pani Dalti. I kładąc drobną rączkę na powierzchni sarkofagu, która się pod nią elastycznie ugięła, dodała:

— *Il est bien moelleux, n'est-ce pas?*

Ale ja nie miałem już czasu sprawdzać tej pochwały.

Uwagę moję zajęła w stopniu wysokim gromadka gołębi, które przechadzały się swobodnie po posadzce, a także po kominku i stole...

Marietta, pulchna *cameriera*, towarzysząca swej pani, usiłowała spłoszyć zuchwałe ptaki wielką

omiataczką z piór, nie udawało się to jej wszakże w zupełności. Kilka gołębi uleciało przeze drzwi otwarte na balkon i obsiadło żelazną jego poręcz, reszta przeskakiwała z miejsca na miejsce, nie myśląc o odwrocie.

Wydało mi się to dziwnem — nie gołębnika bowiem poszukiwałem, lecz tego, co się zowie *camera mobigliata*.

Pani domu, na którą zwróciłem spojrzenie pytające, objaśniła z uśmiechem:

— To gołębie świętego Marka — nietykalne, więc pewne siebie...

— Cóż jednak aż tu je sprowadza?

— Szukają swej przyjaciółki, która przed panem pokój ten zajmowała.

— Zapewne Angielka? Wszystkie Angielki przepadają za gołębiami.

— Nie. Szwedka.

— I czem-że ona przywiązała do siebie te ptaki?

— Dawała im nieustannie groch, cukier, okruszyny ciastek...

— I całusy! — wtrąciła Marietta, zarumieniwszy się, jak wiśnia.

— Alboż gołębie znają smak całusów?

— O, i jak jeszcze!

Dziewczyna po tej uwadze spoważniała nagle,

i załamując tłuste a powyżej łokcia obnażone ręce, powtórzyła kilkakrotnie z westchnieniem:

— *Povera fanciulla!... povera fanciulla!...*

A w tejże chwili malutka i ruchliwa pani Dalti posłała jej znaczące spojrzenie, które mówiło:

— Milcz, paplo!...

Westchnienie służącej i sygnał pani zaciekawiły mnie.

— Więc ta cudzoziemka, lubiąca gołębie, była młodą i nieszczęśliwą?—spytałem.

— *Si! si!*—przytaknęła dziewczyna.

— *No! no!*—zaprzeczyła stara.

Zrozumiałem, że w tej chwili ciekawości swej nie zaspokoję.

Chcąc rozejrzeć się w miejscowości, wyszedłem na ganek. Gołębie przypatrywały mi się przez kilka chwil z uwagą, następnie roztoczywszy, bez zbytniego pośpiechu, skrzydła, odleciały w stronę bazyliki.

Pod stopami memi pluskała woda kanału, a plusk ten do płaczu ludzkiego dziwnie był podobny. Na zielonej fali, którą cień wysokich domów krepą popielatą nakrywał, drzemała szukająca chłodu gondola.

Po drugiej stronie, słońcem zalanej, błyszczał maurytański fronton pałacu, przerobionego na hotel.

Cofnąwszy się do pokoju, zastałem panią Dalti, dającą żywe napomnienia Mariecie.

Targu o mieszkanie dobiłem prędko, pomimo, że maleńka kobiecina postawiła mi cenę, wcale ze wzrostem jej nie licującą. A zaklinała się przytem obłudnie:

— *Ze vous zure, que c'est à bon marsé... Ze vous zure, que c'est pour rien...*

Wychodząc, szepnąłem do Marietty, która drzwi za mną zamykała:

— Cóż to było z tą cudzoziemką?

— O, to cała historya!...

— Opowiesz mi ją?

— Nie mogę; pani zabroniła...

Udałem obojętnego, i biorąc za poręcz schodów, rzekłem niedbale:

— Mniejsza o to... Wcalem historyi tej nie ciekaw...

A na to Marietta:

— Opowiem—ale później trochę...

Pani Dalti powiedziała prawdę: gołębie świętego Marka są nietykalne.

Ptaki te, srebrzysto-popielate i z pozoru dość pospolite, stanowią jakby rasę odrębną i są starą szlachtą gołębiego rodu. Jeśli wierzyć podaniu, pa-

trycyuszowska ich rodzina liczy przeszło siedem wieków istnienia. Obdarzył nimi Wenecyą pierwszy z Dandolów (było ich czterech dożami), na pamiątkę, że przy zdobywaniu Kandyi służyły mu za posły.

Gołębie weneckie są własnością miasta. Miasto je żywi i miasto opiekuje się nimi. Noszą też one w sztywnych szyjkach, w dzióbkach do góry zadartych i w miarowem kosmatych łapek dreptaniu jakieś znamię oficyalne, szanowne, dygnitarskie...

Dnia pewnego, podczas mojej bytności, Wenecya zawrzała...

Dzienniki poranne przyniosły jej wiadomość niesłychaną: Angielka jakaś pochwyciła z placu Ś-go Marka gołębia i gołębicę i uniosła je z sobą do domu.

Wprawdzie czujny (rzadko mu się to zdarza) policyant spostrzegł to świętokradztwo i przestępczynię przytrzymał, okazała mu ona jednak papier, podpisany przez syndyka miasta, który jej urzędownie na ten gwałt pozwalał.

Biedny syndyk (mówiąc nawiasem, jeden z najuprzejmiejszych ludzi, jakich mi się spotkać zdarzyło), ciężko odpokutował swą dworskość względem poetycznej *lady*. Zrobiono z niego zdrajcę, przeniewiercę, faryzeusza kupczącego rzeczami świętemi i — co oznacza najwyższy stopień wzgardy — Au-

stryaka. Połykając te wszystkie słodycze, gładził on swą siwą bródkę, misternie przystrzyżoną, ruchem niedbałym, alem widział, że białe palce jego ręki pieszczonej lekko przy tem drżały.

Co prawda, gdyby zrobiono z wyjątku powyższego regułę, plac Św. Marka niedługoby się *wygołębnił*.

Niejedna Angielka po to tylko przyjeżdza do Wenecyi, aby z torbą grochu w dłoni, przyklęknąć na środku *Piazetty* i przez chwilę długą widzieć się nakrytą szumiącym namiotem skrzydeł gołębich, niby olbrzymią chmurą srebrzystą a ruchomą...

Wprawia ją to w ekstazę.

Blada od wzruszenia, z oczyma do połowy zamkniętemi, z piersią naprzód podaną, upaja się łaskotaniem licznych łapek gołębich, które czuje na ramionach, na plecach, na łonie. Miękkie skrzydełka muskają szyjkę jej białą, chłodzą rozgrzane policzki, ocierają się o *jersey* obcisły i łagodnym swym szumem do marzeń miłych kołyszą.

Od chwili do chwili, bierze w usta ziarno bursztynowe — i zaraz do warg jej różowych pomyka różowszy jeszcze dziobek, pod którego dotknięciem dreszcz lekki przebiega panieńskie jej ciałko.

Tam,. w ojczyznie, kędy surowa *Old England* milionem towarzyskich formułek krępuje synów swych i swoje córki, byłoby to bardzo, ale to bar-

dzo niewłaściwe... Tu jest tylko: kaprysem artystycznym, dystyngowaną łobuzerką, czemś, co smakuje, jak zielone jabłko lub kredy kawałek, pomiędzy rokiem 12-ym a 15-ym, pomiędzy staniczkiem z fiszbinami a prawdziwą sznurówką...

A musi należeć owa zabawa z gołębiami do stałych rozrywek weneckich, bo wytworzyła oddzielny rodzaj przemysłu: sprzedaż lejkowatych torebek papierowych z gotowanym grochem. Zaledwieś przystanął na chwilę przed drepczącymi po placu gołębiami, już z poza kilku kolumn pałacu dożów albo Prokuracyi, wysuwają się głowy kędzierzawe i ręce z owemi torebkami, do rogu obfitości podobnemi, a głosy chrypliwe kuszą cię:

— *Cibo per piccioni, signor!... Cibo per piccioni!...*

Fotografowie tutejsi, spekulujący na naiwności ludzkiej, wymyślili dwa rodzaje pamiątek z Wenecyi, w które zaopatrują się najchętniej pospolite a opasłe pary pruskie, bawarskie i holenderskie. Pierwszy rodzaj: fotografia, przedstawiająca pana z panią siedzących w gondoli i patrzących sobie czule w oczy, z wyrazem twarzy, który mówi: «Więc my doprawdy jesteśmy w Wenecyi? Ach, co za szczęście!» Rodzaj drugi: pani karmi gołębie, pan podsuwa jej torebkę z grochem i zachęca: «Podsyp im jeszcze garstkę. Niech sobie choć raz w życiu podjedzą te włoskie głodomory!...»

Nic zabawniejszego nad te sentymentalne fotogramy, na których w dodatku, gondola jest prawie zawsze tekturowa i pływa po nakrytej płótnem podłodze, gołębie zaś sztywnością swą od razu zdradzają, że były żywemi... dopóki ich nie wypchano.

Gołąb wenecki, rzucając się łakomie na groch, sypany mu przez cudzoziemców, dowodzi, że jest obżartuchem. Municypalność wydziela mu codziennie porcyą pożywienia, aż nadto ptakowi przyzwoitemu wystarczającą. Około godziny 2-ej z południa otwiera się narożne okno w Starych Prokuracyach i pachołkowie miejscy wysypują z niego istny potop grochowy na łebki i skrzydła trzepoczących się na placu ptaków.

Mimo to, ów patrycyat gołębi, siedmiowiekową prozapią liczący, zdaje się być wieczyście głodnym.

W kawiarniach: Quadri'ego i Florian'a, uwija się zawsze pomiędzy stolikami gromada gołębi, czyhających na okruchy ciasta i cukru. Nierzadko zuch skrzydlaty siada na poręczy twego krzesła albo sfruwa z gzemsu pałacowego na stolik, przy którym siedzisz. Przypomina to koleżeńską poufałość, w jakiej żyją wróble z emerytami w naszym ogrodzie Saskim.

Gołębie świętego Marka są nietykalne... gdzie jednak podziewa się ich nadmiar?

Pytanie to zadawałem sobie często przy stoliku restauracyjnym, rozsmakowując się w wybornej potrawie, albo w delikatnym pasztecie z mięsa gołębiego, przyczem zdawało mi się, że lew, wymalowany na talerzu, a uosabiający Wenecyą, ma taką minę, jakby się oblizywał po spałaszowaniu całego gołębnika...

Cokolwiekbądź, nie można sobie wyobrazić prastarej stolicy dożów bez gołębi.

Czy chmurą perłową owioną bazylikę, czy nakształt wielkich płatów śniegu spadną na pozieleniałe kamienie pustego *campa*, czy umozaikują białemi plamami szarą fasadę kościoła *San Moize*, czy wreszcie obsiądą gzemsy obu Prokuracyj i mroczne ich podcienie jękiem napełnią słodkim—zawsze wydają się niezbędnem dopełnieniem tych wszystkich czarodziejstw budowlanych, które bez nich nie miałyby może dzisiejszej, podrywającej je ku błękitom, lotności.

Zamiast lwa, który znalazł się tu, «jak Piłat w *Credo*,» powinni byli Wenecyanie godłem miasta swego uczynić gołębia.

Jest to ptak kochliwy i lubieżny — jak oni; rozmiłowany w słońcu i starych budowlach— jak oni; zalecający się cudzoziemcom i ciągnący z nich zyski — jak oni.

W echach, dźwięczących mi ciągle w pamięci,

a uprzytomniających całą Wenecyą, dawną i dzisiejszą, obok jęczenia dzwonów i pluskania wody w kanałach, słyszę zawsze: gruchanie gołębi...

Mówi mi ono o wymyślnym zbytku tej jedynej w świecie republiki kupców i artystów; o słonecznej szkole Tycyana i o białych posągach Canovy; o pieszczotliwym wdzięku Wenecyanek, ich mowy i uczucia; o miłostkach rozpasanych Aretina i o ujętej w system rozpuście Casanovy; o słodyczy wina cypryjskiego i o koronkach marmurowych *Ca' d'oro;* o maskaradach weneckich i o weneckich kryształach; o Goldonim i o Gozzim...

Cała przeszłość Wenecyi jest gruchaniem gołębiem, którego słodką i rozmarzającą monotonność przerywa od czasu do czasu wrzask spadającego z góry—jastrzębia...

Marietta dotrzymała słowa.

Dotrzymała go po upływie dłuższego czasu, gdy już dostateczna ilość cukru, czekolady i herbaty przeszła (bez pytania: czy pozwolę?) z mojej walizki do jej kuferka.

Opowiadanie jej było bezładne, przeplatane westchnieniami, załamywaniem rąk, przyzywaniem Matki Bozkiej i wszystkich Świętych. Opowiadając, wybiegała co chwila na schody, zobaczyć, czy pani

nie wraca lub czy kto nie podsłuchuje. Historya była sama z siebie dość smutna, sądzę jednak, że gdyby Marietta powierzała mi tajemnicę węglarza, który, pocałowawszy praczkę, odcisnął na jej policzku czarny plaster, byłaby równie wzruszona i równie dramatyczna...

Powtórzyć opowiadanie to dosłownie jest zupełnem niepodobieństwem. Ja sam z tego chaosu wykrzykników, lamentów, klątw i modlitw, z trudnością zdołałem wydobyć treść właściwą. Treść tę przytaczam, nie zaręczając jednak, czy jest historycznie wierna.

W kwietniu czy maju, kiedy Wenecya zmienia się w marmurowy wazon do kwiatów, a okalające ją wysepki są kadzielnicami, zionącemi dokoła czarowne aromaty, do hotelu pani Dalti przybyły dwie cudzoziemki i wynajęły dwa, sąsiadujące z sobą, pokoje.

Jedna z cudzoziemek była bardzo młoda, bardzo piękna i bardzo blada; druga miała lat około pięćdziesięciu i odznaczała się okazałą tuszą i apetytem zdumiewającym.

Młoda mówiła do starej: «ciotko»; stara nazywała młodą dźwięcznem imieniem «Ella».

Do młodej, zaraz po przybyciu, wezwano lekarza, który odtąd odwiedzał ją regularnie dwa razy na dobę.

Stara również dwa razy na dobę czyniła wycieczki na miasto, obchodząc wszystkie *offellerie* i *pasticcerie* i zakupując w nich wielkie ilości ciast i cukrów. Szczególnymi jej względami cieszyły się małe ciasteczka makaronikowe, zwane *amaretti*, oraz cukierki, noszące obrazowe miano: *ghiája di mandorla* (żwir migdałowy).

Ella brała jakieś lekarstwo z flaszeczki, ale zresztą zachowywała się jak osoba zupełnie zdrowa. Wychodziła codziennie na miasto sama lub w towarzystwie ciotki, niekiedy także z panią Dalti lub z Mariettą. Przechadzki piesze zdawały się nudzić ją i męczyć. Przekładała nad nie leniwe kołysanie się w gondoli, cichą «siestę». w *Giardino reale* lub w *Giardini publici*, albo długie, milczące zachwyty w muzeach przed arcydziełami starych mistrzów malarstwa.

Ale rzeczą ze wszystkiego najmilszą było dla niej: ubrać się w niebieski szlafroczek jedwabny, ubierany kremowemi koronkami (Marietta nie zaniedbała opisać kroju szlafroczka i pokazać na palcach szerokości koronek), wyjść w stroju tym na ganek i zagłębiwszy się w stojącym tam wygodnym, trzcinowym fotelu, sypać groch i cukierki nadlatującym gromadnie gołębiom.

Ptaki otaczały ją chmurą gęstą, siadały jej na kolanach, na ramionach, na głowie, pozwalały się

nawet brać do ręki, głaskać i całować. Pełno ich też było zawsze w pokoju, gdzie tłukły flakony na toalecie, wywracały kałamarze pełne atramentu i rozdziobywały ziemię w wazonach...

Ella pozwalała im na wszystko.

A tak dobrze znały one swą przyjaciółkę, że ile rązy pojawiła się na *Piazzecie*, zaraz kilka ich lub kilkanaście zlatywało do niej z gzemsów pałacowych.

Trzcinowy fotel nie schodził z ganku, a blada dziewczyna siadywała w nim nietylko za dnia, ale także wieczorami, a nawet nocą późną. Lekarz surowo jej tego wzbraniał, ale ona śmiała się z lekarza, który zresztą, wedle zapewnień Marietty, był już sam przez się bardzo śmieszny.

Gołębie nie były jedynymi pieszczochami Elli i nie im tylko dostawały się pocałowania jej ust dziewiczych...

Młoda cudzoziemka miała nieustannie przy sobie owalny portrecik mężczyzny i wpatrywała się weń całemi godzinami, cisnąc go to do ust, to do piersi i szepcąc mu słowa namiętne.

Fotogramy tegoż samego mężczyzny, różnych rozmiarów i w różnych przebraniach, przystrajały jej biurko i toaletę.

Liczył on nie więcej nad lat trzydzieści, miał wyraz twarzy pewny siebie i pretensyonalny, oczy

«omdlewające», których wpływowi tak łatwo poddają się niektóre kobiety, włosy ufryzowane, duże wąsy i bródkę maleńką.

Nawet nie widząc jego wizerunków w przebraniu teatralnem, łatwo się poznawało, że to aktor. Zarost trubadurowy objaśniał, że aktor ten jest śpiewakiem, a mdłe spojrzenie mówiło, że ma głos tenorowy.

Już nazajutrz po sprowadzeniu się cudzoziemek, wiedziano, że młodzieniec o włosach trefionych jest — narzeczonym Elli. Prócz tego stara ciotka zwierzyła się przed panią Dalti (zwierzenie to nastąpiło w kuchni, gdzie otyła jejmość często przebywała, pilnując osobiście przyprawianych dla się smakołyków), że brat jej, a ojciec panny, krzywem okiem na związek ten patrzy. I nawet pewnie oparłby mu się, gdyby nie to, że jedynaczka jest chorowitą i sprzeciwiać się jej nie można.

Ślub młodej pary odbyć się miał przy końcu maja we Florencyi, dokąd właśnie podążała ciotka z Ellą i dokąd również przybyć miał narzeczony, znajdujący się podówczas w Paryżu.

Stara ciotka, wdowa bezdzietna, zastępowała siostrzenicy całą rodzinę, matka jej bowiem już nie żyła, ojca zaś więził w domu paraliż.

Florencyą wybrano z tego względu, że lekarze zalecili wątłej pannie stały pobyt we Włoszech.

Powietrze włoskie miało wzmocnić jej słabe płuca, będące smutnem dziedzictwem po matce, zmarłej na suchoty.

Pobyt w Wenecyi nie był objęty programem i wypadł zgoła niespodzianie. Ella w drodze rozchorowała się ciężko, urządzono więc nad Adryatykiem etap tymczasowy, który jednak z woli lekarzy, niespodziewanie się przedłużał....

Z początku przychodził jeden tylko medyk—młody, wypachniony, zasypujący pacyentkę swą komplementami i konceptami. Ten jednak po pewnym czasie udał bardzo zajętego i sprowadził kolegę, aby go przy chorej zastąpił. Kolega, człowiek stary już, w rudej peruce, zaczesanej w dwa niezmierne śmieszne czuby, oświadczył, że będzie odwiedzał chorą pod tym tylko warunkiem, jeżeli tamten jej nie porzuci. Bywali więc obadwaj, a zdarzyło się nawet dwa czy więcej razy, że wzywali do narady trzeciego.

Tymczasem Ella nie zmieniała trybu życia. Gondolierowie wozili ją po Wielkim kanale, i po kanale *Orfano*, i po lagunach, a czasem wyprawiali się na Lido, na *Giudecca*, do *San Giorgio Maggiore* i na dalsze wysepki. Jednego ranka, mniej słonecznego od innych, kazała się zawieźć na *San Michele*, gdzie w szeregu ściśniętym leżą umarli. Przywiozła ztamtąd pęk kwiatów i pokój nimi umaiła...

Siostrzenica nie traciła wrodzonej poetyczności, a ciotka nie traciła wrodzonego apetytu. Cukiernicy i pasztetnicy weneccy na pobycie jej nie mało zarobili. Dowiedziawszy się raz, że w dzielnicy żydowskiej wypiekają rodzaj smacznych faworków, zwanych *raffioi*, wybrała się po nie i omal nie utonęła, spadłszy do kanału z jakichś schodów brudnych a ślizkich...

Lekarz w peruce brał ją kilkakrotnie na stronę, aby zwierzyć się z czemś bardzo ważnem, ale ona złą wiadomość noskiem swym zadartym wietrząc, uciekała, zatykając uszy i wołając:

— Dajcie mi pokój... Jestem delikatna... Zła nowina zabić mnie może... Nie chcę słyszeć o niczem, o niczem, o niczem!...

A gdy uspokoiła się nieco, splatała ręce na brzuszku okrągłym i mówiła nabożnie:

— Co Bóg postanowił, człowiek nie odmieni. Niech się stanie wola Jego święta!...

Zbliżał się koniec maja, i narzeczona powinna już była znajdować się we Florencyi. Tymczasem stary lekarz ani mówić sobie nie dawał o jej wyjeździe. Dziewczyna gniewała się na niego, groziła piąstką, nóżką tupała — był jednak niewzruszonym. Aby ją uspokoić, powtarzał:

— Cierpliwości... Jeszcze tylko tydzień... dziesięć dni... najwyżej pół miesiąca...

Czekała więc, ale ogarniało ją chwilami takie zniecierpliwienie, że chciała z ganku rzucić się w kanał. Jedyną jej pociechą—choć nie uspokojeniem—była zabawa z gołębiami i całowanie maleńkiej, owalnej miniatury...

Pewnego dnia czuła się słabszą i bardziej rozdrażnioną, niż kiedykolwiek. Cały ranek przepłakała, nie wiedząc sama dlaczego. Około południa odwiedzili ją obaj lekarze: młody i stary. Przed wieczorem przyszli raz jeszcze, prowadząc z sobą trzeciego. Zmienili receptę, przepisali wcieranie i kazali chorej unikać wszelkiego wzruszenia...

Ciotka, jak zwykle, przy odwiedzinach lekarskich, obecną nie była. Temu też zapewne przypisać trzeba, że powróciwszy z miasta — z torbą turyńskich karmelków w ręku i pudłem śliwek hiszpańskich pod pachą, — w progu zaraz zawołała:

— Przysięgłabym, że to był Henryk!

— Co? kiedy? gdzie?... — wykrzyknęła Ella, podbiegając do niej, z twarzą, jak kreda białą.

— W *Merceriach*, moja duszko, zaraz za wieżą zegarową... Opowiem ci wszystko, ale pozwól, niech wprzód odpocznę, bom okropnie zmęczona...

Usiadła ciężko na fotelu, odsapnęła, i sięgnąwszy do torby, schrupała od razu całą garść słodyczy.

— Twierdzę napewno—rzekła po chwili, spokojniejszym już głosem, — że jeśli to nie narzeczony

twój, to z pewnością jego sobowtór. Wychodziłem właśnie od znajomego kupca, który otrzymał świeży transport owoców kandyzowanych. Byłam ciekawa, jaki mają smak tu, w ojczyźnie wszelakich fruktów. Otóż powiadam ci, duszko, figi nic warte — lepszych znaczenie można dostać w Chrystyanii...

— Ciociu, litości!... — szepnęła Ella, która z białej stała się purpurową.

— Wychodziłam więc od kupca, i byłam już jedną nogą na ulicy, gdy wtem ulicznik jakiś silnie mnie potrąca. Upuszczam pudełko ze śliwkami i sama omal nie padam na kamienie. Ale w tejże chwili jakiś młodzieniec podtrzymuje mnie, pudełko podnosi, i skłoniwszy się, odchodzi szybko do czekającej na niego damy. Choć to trwało parę sekund zaledwie, poznałem Henryka. «Panie!—wołam, — panie Henryku! to ja! ciotka Elli!« — ale on nie odwraca się wcale, jakby nie do niego mówiono. Towarzyszka tylko jego spogląda na mnie przez ramię pół-ciekawie, pół-drwiąco. Biegnę, chcąc parę tę dopędzić, zrównać się z nią — ale tłum zagradza mi drogę, i tracę ją z oczu na zakręcie jakiegoś zaułka...

Zaledwie ciotka skończyła mówić, już Ella, cała w płomieniach, szarpała gwałtownie za taśmę od dzwonka...

— Marietto!—wykrzyknęła gorączkowo do wcho-

dzącej dziewczyny, — dostaniesz dwadzieścia lirów, ale biegnij na miasto, obejdź wszystkie hotele i dowiedź się, gdzie stoi pan Henryk Wilsen, artysta z Paryża... Gdy go znajdziesz, powiedz mu... albo nie, nic mu nie mów... Idź tylko, idź prędzej!...

Dziewczyna wybiegła, jak wiatr — a Ella padła na puduszki sofy, łkając i szarpiąc zębami cienką, batystową chusteczkę.

Ciotkę — dobierającą się właśnie do pudła ze śliwkami, — zaniepokoiło to. Starała się uspokoić chorą, a gdy widziała, że słowa nie pomagają, dobyła proszków, na wypadek podobny przygotowanych.

Ella po zażyciu proszków, uspokoiła się.

Wtulona w sam róg sofy, siedziała przez długi czas nieruchomo, nic do ciotki nie mówiąc.

Nagle poprosiła, żeby ją okryto szalem, bo jej zimno, śmiertelnie zimno...

W kilka minut później zrzuciła szal, twierdząc, że oddychać nie może od gorąca...

Okno na ganek kazała otworzyć i nie pozwoliła zapalać lampy, aby światło nie sprowadzało *zanzarów*.

Potem uciszyła się zupełnie, i zdawało się, że drzemie...

Późno już było, gdy wróciła z miasta zadyszana Marietta.

— Nie znalazłam!—rzekła smutno, wchodząc do ciemnego pokoju.

Ella zerwała się z sofy i klasnęła w dłonie z uciechą.

— A co! — zawołała radośnie, — wiedziałam od razu, że to tylko przywidzenie!...

I zaczęła skakać po pokoju, jak dziecko.

— Ależ... — odezwała się ciotka, która, z uporem starej kobiety, chciała koniecznie postawić na swojem.

— Mówię, że przywidzenie, nic więcej! — powtórzyła z naciskiem dziewczyna. — Henryk nie mógł być w Wenecyi, bo mu droga na Medyolan wypada. Jest on przytem przekonany, że już od tygodnia bawimy we Florencyi...

Wpadła w wesołość, kazała zapalić lampę, przynieść wina, ciastek i resztę wieczoru spędziła na śmiechach i pustocie. Pani Dalti i Marietta przyjmowały czynny udział w tem szaleństwie niewinnem.

Przed samą północą, rozeszli się wszyscy do swoich pokoi, światła pogaszono i dom cały pogrążył się w sennej ciszy.

Około godziny drugiej w nocy, pani Dalti zbudziła służącą.

— Marietto! — rzekła, — zdaje mi się, że w pokoju młodej Szwedki ktoś krzyknął głośno, jakby

wzywał pomocy. Dowiedź się, czy chora czego nie potrzebuje...

Marietta wstała i pobiegła.

Drzwi od pokoju Elli były zamknięte; wewnątrz panowała cisza głucha. Na pukania i wołanie odpowiedzi nie było.

Chciano obudzić śpiącą obok ciotkę, ale ta spała tak twardo i chrapała tak silnie, że nawet wystrzał działowy nie podołałby temu.

Marietta wyszła na ganek, aby zobaczyć, czy w oknach Elli pali się światło. Wyszła i natychmiast wróciła, z wiadomością, że w oknach ciemno, a młoda cudzoziemka siedzi na swoim ganeczku, cicha i spokojna, i wsłuchuje się w serenadę, śpiewaną po przeciwnej stronie kanału.

Istotnie w ciszy nocnej rozlegał się śpiew, niezwykle piękny. Był to duet dwojga głosów świeżych, uczonych i namiętnych: tenora z sopranem.

Śpiewano w otwartem oknie pałacu, przerobionego na hotel...

Noc była czarowna i jak dzień jasna; potoki księżycowego światła zalewały wszystko; Ella, cała w bieli, skąpana w blaskach oślepiających, wyglądała, jak posąg ze srebra.

Śpiew zaś tak ją upajał, że wołań Marietty i pani Dalti zdawała się wcale nie słyszeć. Wróciły też one zaraz do łóżek, aby odespać czas stracony.

Ale nazajutrz zbudzono je o wczesnej godzinie. Ciotka Elli, najraniej ze wszystkich wstająca, przybiegła do nich z miną wylękłą. Mówiła, że z siostrzenicą coś złego stać się musiało, bo do jej pokoju dopukać się nie można.

Wszystkie kobiety pobiegły tam zaraz i pani Dalti otworzyła drzwi kluczem, z pomiędzy innych dobranym.

W pokoju nie było Elli, ale przez drzwi otwarte na ganek ujrzano ją siedzącą w fotelu, jak marmur białą i nieruchomą. Stado gołębi z głośnym szumem skrzydeł dokoła niej krążyło. Kilka ptaków siedziało jej na ramionach, zdając się w oczy zaglądać.

Kobiety, zbliżywszy się, ujrzały rzecz straszną... Ella miała cały przód kaftanika krwią zbroczony, krew na ustach, i oczy — rzecz okropna i prawie do wiary niepodobna! — przez ptactwo wydziobane.

Była trupem już od kilku godzin.

Zabił ją krwotok płucny, wywołany wzruszeniem — którego lekarze tak bardzo się obawiali...

DOBRA CHWILA PANI HELENY.

Pani Helena spała długo i dobrze. Obudziła się w usposobieniu doskonałem. — Czuła się świeżą, lekką, a ściślej mówiąc: nie czuła się wcale. Żaden członek zmęczony lub bolący nie przypominał jej swej obecności, jak to bywa w chorobie. Nawet ząb, dokuczający jej od kilku dni, uspokoił się i znać o sobie nie dawał. Nawet migrena z lewej skroni ustąpiła i jakby rozpłynęła się w powietrzu.

Pani Helena wzięła ze stolika ręczne zwierciadełko i przejrzała się w niem. W cieniu, padającym od atłasowej, ciemno-wiśniowej zasłony, wszystkie rysy jej twarzy miały miękkość portretu pastelowego, a oczy rozszerzone i pogłębione łagodnie błyszczały. Wydała się sama sobie ponętną.

Wczoraj, kładąc się do łóżka, zauważyła małą krosteczkę na czole; z krosteczki tej, posmarowanej zlekka *cold-cream'em*, nie pozostało dziś ani śladu. Usposobiło to panią Helenę bardzo dobrze, i z rozkosznym wyrazem twarzy przeciągnęła się na pościeli.

Nagle, nakształt ukłócia scyzorykiem, kolnęła ją myśl:

— A jednak mam już lat przeszło czterdzieści i syn mój jest młodzieńcem dojrzałym...

Skurczyła się jak wąż, na którego płynem palącym bryźnięto, i pozostawała przez kilka chwil nieruchoma.

Ale rozweselił ją widok pogodnego nieba, które błękitem najczystszym wglądało przez okno do sypialni. Zadzwoniła na służącą i wstała.

Woda w wielkiej, porcelanowej miednicy była zimna — jak zwykle w Październiku. Pławił się jednak w niej promień słońca, czyniąc ją złotą, błyszczącą i w barwie przynajmniej ciepłą. W tem płynnem złocie zanurzyła ręce i twarz, doświadczając przyjemnych dreszczy, które ją z resztek snu wytrzeźwiły. Każde dotknięcie lodowatej wody do rozgrzanego w pościeli ciała, zdawało się jej iskrą elektryczną.

Ubierała się z pośpiechem. Jakieś wesołe, puste myśli, których dawno już nie miewała tańczyły jej po głowie. Sama też tańczyć chciała, lecz na samą myśl o tem śmiech ją porywał.

Znalazła na toalecie papierosa, pozostawionego przez męża. Zapaliła go, krztusząc się trochę, i wydmuchnąwszy kilka kłębów dymu, cisnęła do kąta. Nacierając skronie wodą kolońską, uczuła nieprze-

zwyciężoną ochotę napicia się jej; przy pierwszej jednak kropli, gorzkiej i palącej, która jej język sparzyła, pokusa ją odbiegła.

Rozczesując włosy — a miała gęste jeszcze i długie—zasępiła się na chwilę na widok białego szronu siwizny, przyprószającego jej skronie. Zapanowała jednak prędko nad niezadowoleniem. Z uśmiechem chochlika unurzała puszek łabędzi w pudrze i białą chmurą przysypała całą głowę. Wszystkie włosy przybrały barwę jednostajną.

Słońce, które igrało na ścianach sypialni, rozpalając tęczowe blaski w kryształach, migocąc w srebrze i kładąc białe plamy na maleńkich, hebanowych sprzęcikach, budziło w niej myśli coraz puściejsze i płochsze. Nazewnątrz utrzymywała powagę czterdziestoletniej mężatki, ale czuła, że w piersiach jej trzepoce się, nakształt ptaka, serduszko podrastającego dopiero dziewczątka.

Uszczypnęła służącą w jędrny policzek; pieskowi małemu nastąpiła umyślnie na ogonek, śmiejąc się do rozpuku, gdy z piskiem żałosnym chował się pod łóżko; kanarka wypuściła z klatki i uganiała się za nim po całej komnacie....

Choć to był dzień powszedni, włożyła bardzo strojny szlafroczek i włosy utrefiła zalotnie. Nie zapomniała też umieścić w kieszonce chusteczki koronkowej, skropionej jakimś pachnącym wyciągiem.

Potem, nucąc wesołą piosneczkę, skierowała się ku jadalni.

Przy suto zastawionym stole czekał już tam na nią mąż.

Zwrócony plecami do drzwi, czytał «Kuryera» i palił cygaro.

Pani Helena, pożądająca widocznie pieszczoty mężowskiej, podeszła do niego na palcach i nadstawiła pulchny policzek do pocałowania. Pocałował, ociągając się trochę, jakby nie rad temu, że mu czytanie przerwano.

Pani Helena spostrzegła to i lekko pobladła. Niema krwawszej zniewagi dla kobiety, nad odrzucenie pieszczoty, którą sama ofiaruje. Zaraz też, skrzywiwszy usta, rzekła:

— Powinienbyś, mój kochany, zdecydować się na jedno, i albo brodę zapuścić albo też golić ją częściej i staranniej...

— Dlaczego?

— Aby nie kłuć mi twarzy przy całowaniu.

— Mogę cię nie całować...

— A i owszem! Zrobiłbyś mi tem prawdziwą przyjemność...

Po tem maleńkiem starciu małżonkowie zabrali się do śniadania. Mąż pochłaniał z apetytem zimne mięsiwo, zakrapiając je winem białem i koniakiem; żona poprzestała na filiżance kakao, które piła ma-

łymi łykami, milcząc i przyglądając się z pod oka mężowi.

Wydawał się jej dziś grubszym, starszym i pospolitszym, niż zwykle. Raziła ją zwłaszcza jego łysa głowa. Dbając przedewszystkiem o wygodę, siedział on bez krawata, a nawet z rozpiętym kołnierzem u koszuli. Broda, źle ogolona, a siwa już, wyglądała jakby ją cukrem miałkim posypano.

Pani Helena odwróciła wzrok od twarzy mężowskiej i skierowała go ku oknu, przez które widać było, skąpaną w świetle słonecznem, ulicę. Snuli się po niej strojni przechodnie, o twarzach uśmiechniętych i pogodnych. Kobiety wyglądały, jak królowe i lekkiem pochyleniem głowy odpowiadały na głębokie ukłony młodych i przystojnych mężczyzn, którzy mijali je na chodniku.

Widok ten przywrócił myślom Heli wesołość.

— Świat taki piękny!—przemknęło jej przez głowę. — Czyż można zasłaniać go sobie dobrowolnie osobą jednego, brzydkiego mężczyzny?...

W tej chwili mąż, dopiwszy czarnej kawy, rzekł, odsuwając się z fotelem od stołu:

— *Je te demande pardon, ma chère...* dziś nie będę ci mógł towarzyszyć na przechadzkę... mam interesa na mieście...

— Uprzejmy jesteś—ani słowa!— odrzekła z ironią pani Helena.

Jednocześnie pomyślała:

— Tem lepiej— wybornie obędę się bez ciebie...

— Na obiedzie będziemy mieli gościa — dorzucił pan domu już w progu jadalni.

— Radcę czy prezesa? — spytała pani Helena obojętnie.

— Nie.

— W takim razie dyrektora?

— I to nie.

— Znalazłżebyś w swym repertoarze jakiś numer nowy?

— Znalazłem.

— O, to zaczyna być interesującem... I któż to taki?

— Dowiesz się przy stole.

— Więc to tajemnica?

— Niespodzianka.

— A! wszystko mi jedno!...

Ziewnęła lekko i wyszła.

W pół godziny później stała przed wielkiem zwierciadłem, ubrana do wyjścia i przymierzała kolejno leżące przed nią kapelusze.

Jeden zwłaszcza, z jasno-niebieskiego aksamitu, z motylem wielkim na przodzie, po kilka razy kładziony był na głowę i zdejmowany. Widocznie namyślała się nad tem: czy jego barwa i kształt będą dla niej stosowne. Kapelusz ten przywiozła jej

siostra z Paryża, ale od miesiąca już wisiał on w szafie ani razu nie używany.

— Szalona jesteś, siostruniu!—rzekła w pierwszej zaraz chwili.—Chcesz, żebym się ubierała jak młoda mężatka! Cóż-by świat na to powiedział!

Dziś zadawała sobie tożsamo pytanie, szukając na nie odpowiedzi w prawdomównem i szczerem aż do bezczelności zwierciadle. Odpowiedź zwierciadła musiała być przychylną, gdyż kapelusz, po raz piąty na spudrowanych włosach umieszczony, już nie został z nich zdjęty.

Pani Helena, świeża jak róża, wonieją̨ca jak buduar aktorki i odmłodzona do niepoznania, wybiegła krokiem elastycznym na ulicę.

Zaraz przy wyjściu z bramy, owionął ją ciepły wiatr, niosący zapach świeżych jabłek, rezedy i dymu cygarowego. Wiatrowi temu nadstawiła twarz, niby pieszczotom ukochanego mężczyzny. Upajał on ją, jak słodkie a mocne wino...

Pierwsza para mężczyzn, którą spotkała na drodze, usunęła się przed nią z pełnym uszanowania pośpiechem — przyczem jeden z usuwających się, powiedział wyraźnie: «Co za oczy!» a drugi z akcentem cudzoziemskim szepnął:

— *Chaaamante!*

Pani Helenie ciepła fala krwi uderzyła do twarzy, różowiąc ją bardziej jeszcze. Przypomniała so-

bie, jak podobne uwagi dolatywały do jej ucha niegdyś — dawno już bardzo — na balach publicznych, a milsze jej były, niż najpiękniejsza muzyka. Tylko, że dawniej wzruszenie wywołane pochwałami temi uspokajał uścisk mężowski, a dziś...

Przyśpieszyła kroku, starając się myśleć o czem innem, ale jakieś echo psotne biegło w ślad za nią, szepcząc do lewego ucha:

— Co za oczy!... co za oczy!...

Przeglądała się mimowolnie we wszystkich szybach sklepowych, i widziała się wszędzie: piękną, zgrabną, młodą...

Głośniej od szyb mówiły jej o tem oczy przechodniów. Mężczyźni patrzyli na nią wzrokiem rozpłomienionym i upartym; spojrzenie kobiet było przeszywające i nieżyczliwe.

Przed bramą Saskiego Ogrodu spotkała przyjaciółkę.

Przyjaciółka ta miała zwyczaj witać ją zawsze wykrzykiem:

— Ach, *ma mie*, jak prześlicznie dziś wyglądasz!

Tym razem objęła ją całą szybkiem a podejrzliwem spojrzeniem i — nic nie wykrzyknęła.

Pani Helenie, znającej dobrze tajniki serc niewieścich, to milczenie kobiety większą sprawiło przyjemność, niż głośne pochlebstwa mężczyzn.

Uśmiechnęła się w głębi duszy, i aby do reszty zgnębić przyjaciółkę, zawołała z zachwytem przesadnym:

-- Ach, *ma mie,* jak prześlicznie dziś wyglądasz!..

— *Merci* — szepnęła tamta i uśmiechnęła się — a uśmiech jej podobny był do tego, jakim śmiał się dyabeł, gdy mu Twardowski «godzinki» zaśpiewał.

W ogrodzie pełno było przechadzających się. Kobiety, w jasnych sukniach i okryciach, snuły się pomiędzy drzewami, jak barwne motyle; mężczyzni uganiali się za niemi, nakształt wielkich czarnych pająków. Małe dziewczynki skakały przez obręcze, rzucając zalotne spojrzenia w stronę starszych panów, siedzących na ławkach; uczniowie przechadzali się z udaną powagą, wyprężając wązkie piersi i śmiejąc się suchym śmiechem, okazywać mającym zupełne rozczarowanie. Czerwone kwiaty na klombach błyszczały jak krew, a kamień nagich posągów nabierał w słońcu pozorów żywego ciała. Ponad tem wszystkiem wielkie kasztany rozpościerały złotawo-purpurowe namioty liści zwiędłych, wskróś których przedzierał się tu i owdzie, płatami niekształtnemi, przeczysty błękit nieba.

Pani Helena wchłaniała w siebie wszystkiemi porami urok cudnego dnia, pełnego blasków, barw,

zapachów i jakiejś rozkosznej, rozmarzającej świąteczności. Krew szybcej niż zwykle krążyła w jej żyłach, nerwy z nadzwyczajną wrażliwością odczuwały bodźce zewnętrzne, a każdy ze zmysłów stał się naraz czulszym, subtelniejszym, doskonalszym. Zdawało jej się, że mózg jej przez długi czas spoczywający w odrętwieniu, budzi się teraz i odsłania przed nią całe światy nowych wzruszeń i nowych rozkoszy...

I mimowoli pomyślała:

— Jeżeli młodością jest czuć żywo, pragnąć wiele, mieć serce płomienne i zmysły wrażliwe — jestem młodą, bardzo jeszcze młodą!

W tej chwili spostrzegła nadchodzącą ze strony przeciwnej panią Martę, kuzynkę męża.

Szła ona w towarzystwie nieznanego jej, a zgrabnego i wykwintnie ubranego młodzieńca.

Jedno błyskawiczne spojrzenie wystarczyło pani Helenie do stwierdzenia, że przyjaciółka ma nowy kapelusz i odświeżone okrycie, i że towarzysz jej liczy najwyżej dwadzieścia dwa lata wieku, nosi bródkę rozdzieloną widłowato, ma prześliczne niebieskie oczy i całem obejściem się ujawnia, że jest skończonym światowcem.

Oczy przesłały natychmiast obraz ten sercu, a serce przyjęło go ze wzruszeniem, które było półrozkoszne a pół-bolesne...

Tymczasem tamci nadeszli i rozpoczęły się przywitania.

Podczas gdy przyjaciółki całowały się i mówiły sobie pochlebstwa, młodzieniec stał na stronie, z ręką przyłożoną do kapelusza.

Pani Helena, nie patrząc nań, czuła, że ją pożera oczami.

— Pozwól, droga *Ellen* — rzekła wreszcie pani Marta — że ci przedstawię, spragnionego poznania ciebie, pana Adolfa...

— Adolfa *tout court?* — spytała z uśmiechem pani Helena.

— Na nazwisko przyjdzie kolej później; tymczasem niech osoba jego mówi sama za siebie...

Młodzieniec skłonił się głęboko — tak jak margrabiowie zeszłowieczni kłaniali się margrabinom. A gdy wyprostował się i podniósł na panią Helenę oczy, błyszczały one jak dwie gwiazdy.

Pani Helena pomyślała: «Choćbym miała umrzeć, nie zarumienię się» — i jednocześnie zarumieniła się jak wiśnia.

— Pan zapewne nie tutejszy — rzekła prędko, aby ukryć pomieszanie. — Nie spotykałam pana w towarzystwach...

— Wczoraj dopiero przybyłem z Paryża.

— Ach, z Paryża! To może pan...

Zacięła się, znów zarumieniła i dokończyła po dłuższym przestanku:

— ... był w Paryżu podczas ostatniej wystawy?

— Tak, pani; byłem.

Właściwie o co innego spytać go chciała. Na wzmiankę o Paryżu, obudziła się w niej przedewszystkiem — matka, i pierwsze pytanie miało brzmieć:

— To może pan znał w Paryżu syna mego, który kończy tam kursa?

Ale w tejże samej chwili szepnęło jej coś: «nie przyznawaj się, że masz syna dwudziestoletniego» — i skłamała własnej myśli i własnemu uczuciu.

— Dokąd szłaś, *Ellen?* — spytała pani Marta.

— Wyznać otwarcie?

— Naturalnie.

— Szłam bez celu.

— To tak samo, jak my!

Tu wtrącił się do rozmowy młodzieniec i pokazując w uśmiechu olśniewająco białe zęby, rzekł:

— Może złączywszy się razem, cel znajdziemy...

— W każdym razie nie zaszkodzi go poszukać dodała pani Helena ze znaczącem spojrzeniem.

Wszyscy troje weszli w główną aleję.

Pan Adolf znalazł się przy boku pani Heleny.

Zawiązała się rozmowa.

— Więc pan doprawdy pragnął mnie poznać?

— Od wczoraj o tem tylko myślę.

— Zkądże pochodzi to pragnienie?

Teraz młodzieniec zaciął się w odpowiedzi, jakby chciał ukryć powód rzeczywisty.

— Słyszałem o pani wiele dobrego — rzekł wreszcie, głos zniżając.

— Od kogo?

— Od jej przyjaciół.

— Od kogo mianowicie?

— Od... pani Marty.

Zapanowała chwila milczenia.

Pani Helena zauważyła, że mijające ich kobiety, starsze zwłaszcza, przyglądają się z niekłamanym zachwytem przystojnemu panu Adolfowi. Do kobiet tych i do ich zalotności uczuła głęboką odrazę...

— Chcę być szczerym... odezwał się młodzieniec głosem, w którym zadrgała serdeczność — szczerszym, niż na to przy pierwszem zapoznaniu się pozwala etykieta...

— Uwielbiam ludzi szczerych... szepnęła pani Helena.

— A etykieta?

— Pozbywam się jej zawsze z przyjemnością, jak... ciasnych rękawiczek.

— A więc powiem szczerze: nie od wczoraj już chciałem panią poznać...

— Chęć to zatem dawna?

— Tak prawie dawna, jak pierwsze przebudzenie się mego serca.

Tym razem wzruszenie objawiło się u pani Heleny nagłem pobladnięciem.

— Dziwnie pan tajemniczy... — szepnęła.

— Wydaję się tylko takim.

— Jakiż jest więc grunt pańskiego charakteru?

— Taki, jak kogoś, kogo darzyła pani niegdyś całem zaufaniem i całą miłością...

— Nowa zagadka.

— Której rozwiązanie zapewni i mnie może trochę zaufania i. . . przyjaźni.

Pani Helena obrzuciła towarzysza przenikliwem spojrzeniem.

— Doprawdy — rzekła głosem przyciszonym — pańska szczerość poczyna być zaraźliwą. . . Uczuwam chęć nieprzezwyciężoną powiedzieć panu, że to zaufanie i tę przyjaźń, już w tej chwili posiadasz...

Przy tych słowach udała kaszel i wydobytą pośpiesznie chusteczką zasłoniła usta, a wraz z niemi—rumieniec.

Na odpowiedź, Pan Adolf rękę jej pochwycił i do ust podniósł tak szybko, że tego żaden z przechodniów nie mógł zauważyć.

— Liczyłem na to — szepnął czule — i ufałem, że mię rachuba nie zawiedzie. . .

Rozmawiali od kilku chwil tem swobodniej, że pani Marta pozostawiła ich samych, udawszy się na poszukiwania córeczki, którą wyprawiła do ogrodu wcześniej już pod opieką bony.

W sercu pani Heleny działy się dziwne rzeczy. Chciała śmiać się i śpiewać, a jednocześnie czuła, że wielką ulgę przyniosłyby jej — łzy. Mąż, syn, dom—wszystko to wydawało jej się marą nieistniejącą; rzeczywistością był jedynie uroczy dzień jesienny, śliczne oczy towarzysza i jego wyznania serdeczne...

— Tak jest — szeptał pan Adolf głosem, wprost z serca płynącym — liczyłem na przyjaźń pani, bo mię liczyć na nią nauczono... A przyjaźń ta jest mi potrzebna, bardzo potrzebna... Spędziłem lat kilkanaście zagranicą, jestem tu obcy zupełnie — zginąłbym może, gdyby mną dłoń dobrej i rozumnej kobiety nie pokierowała...

Pani Helena z pod czarnych koronek wysunęła rękę.

— Oto ta dłoń—szepnęła. Licz pan na nią ..

Uchwycił drobną rączkę i trzymał długo w serdecznym uścisku.

— Jak mię to cieszy — mówił w zachwycie — żem potrafił zdobyć przyjaźń pani wprzód, zanim przedstawiłem *prawa*, jakie mam do niej...

Wzmianka o prawach była nową zagadką — ale

pani Helena przestała już ważyć słowa towarzysza na szali krytycznej. Od godziny pływała w lazurze i wszystko wydawało jej się lazurowem. Gdyby pan Adolf powiedział jej był: «Wszystkie moje wyznania były fałszem, a cała rozmowa nasza komedyą», nawet i wówczas odrzekłaby z uśmiechem rozkosznym:

— Cokolwiek pan mówisz, odzywa się w sercu mojem muzyką niebiańską...

Zjawiła się pani Marta w towarzystwie podlotka, rzucającego spojrzenia strzeliste na pana Adolfa oraz śniadej, jak mulatka, bony.

Podlotkowi śpieszyło się do domu; pani Marcie także. Pan Adolf kręcił się niespokojnie, nie wiedząc: której stronie zrobić dar ze swej osoby. Przecięła węzeł sporny pani Helena, nie zapominająca nigdy o obowiązkach dobrego wychowania.

— Muszę pożegnać państwa—rzekła, spoglądając na mały zegareczek, umieszczony w rączce parasolki.— O wpół do drugiej czeka na mnie krawcowa z suknią do przymierzenia, a teraz już dziesięć minut po pierwszej...

Uścisnęła rękę przyjaciółki, musnęła ustami nadstawiony policzek podlotka, skłoniła się głową bonie i wyciągnęła dłoń do pana Adolfa.

— Do widzenia — rzekła z naciskiem, patrząc mu prosto w oczy.

— Do widzenia!—powtórzył tym samym tonem i pocałował ją w rękę.

Pani Helena skierowała się ku Placowi Saskiemu, reszta towarzystwa zawróciła w główną aleję. Ale i pani Helenie błysnęła w drodze myśl nowa. Zanim jeszcze doszła do kolumnady pałacowej, opanowało ją całkowicie uczucie jakiegoś rozrzewnienia, połączone z gwałtowną potrzebą samotności. Zamiast iść na Krakowskie Przedmieście, postanowiła wrócić do siebie, na Marszałkowską. Skręciła więc w jednę z bocznych ulic, aby raz jeszcze przejść ogród.

Idąc szybko, zrównała się niebawem z pożegnanem przed chwilą towarzystwem, które szło aleją równoległą. Zakryta drzewami mogła widzieć je, nie będąc widzianą. I ujrzała pana Adolfa, opowiadającego coś z ożywieniem pani Marcie i śmiejącego się przytem do rozpuku.

Śmiech ten zadrasnął ją niemile. Zakochani nie śmieją się tak głośno. Skręciła z pośpiechem w lewo, aby jaknajprędzej od tego śmiechu uciec i zapomnieć o nim.

Ale choć była już na ulicy i ogród miała za sobą, śmiech nie przestawał dźwięczeć jej w uchu...

I zdawało się, że wraz z tym śmiechem wszystko dokoła przemienia się—szarzeje i brzydnie.

Na niebo wypełzła, niewiadomo zkąd, chmura

i zakryła słońce. Jednocześnie zadął wiatr, zasypujący oczy kurzawą uliczną. Pani Helena poczuła piasek na ustach i powiekach, i pomyślała z przerażeniem, że zanim dojdzie do domu, będzie miała twarz popielatą. Nasunęła się jej też mimowolna uwaga, że kaprysy atmosfery młodym twarzom nic prawie nie szkodzą, dla starszych natomiast są bezlitośne.

Przyśpieszyła kroku, przytrzymując ręką swój lekki, fantazyjny kapelusik, któremu wiatr groził zerwaniem. W przejściu przez Królewską wyminęły ją dwie magazynierki.

— Ładny fason!—rzekła jedna, pokazując oczami kapelusz pani Heleny.

— Ale dla osób młodszych! — dorzuciła druga, skrzywiwszy usta.

Było to drobne ukłócie — zabolało jednak panią Helenę.

Nie zdążyła jeszcze zapomnieć o niem, gdy zaszła jej drogę jakaś stara, otyła jejmość, tocząca się środkiem chodnika w towarzystwie młodej kobiety i kilkoletniego chłopczyka.

Trójkę tę czuć było zdaleka prowincyą, i to prowincyą zapadłą.

— Hela! jak dzieci kocham, Hela!—wykrzyknęła jejmość, rozczapierzając ręce o krótkich, grubych palcach.

Pani Helena cofnęła się o krok, ze zdziwieniem i wstrętem.

— Nie poznajesz mnie, Helo? Jestem Bigorajska, z domu Małdrzykówna... Frania Małdrzykówna, którą nazywałyście na pensyi «Cebulą»...

Niestety! nie było już wątpliwości: ta tłusta baba, to koleżanka pani Heleny—jej rówienniczka!

Pani Helena ucałowała ją — ugryźć bawiem nie mogła.

— Zmieniłam się—szepleniła dalej «Cebula». — Nic dziwnego... Jestem już babcią... To właśnie moja córka, od czterech lat zamężna... A to wnuczek, Biś... Ananas, nie dziecko!... Mieszkamy w Pilwikliszkach za Sejnami... Nieboszczyk mąż miał aptekę... teraz objął ją zięć...

— Jakżem szczęśliwa... jakże mi przyjemnie — jąkała pani Helena, czując, że występują na nią poty, i że jeśli przyjemność ta dłużej się przeciągnie, zemdleć gotowa.

Nareszcie pozbyła się pani Bigorajskiej i jej zstępnych, i pędem już pobiegła ku domowi.

Zaledwie znalazła się w swym buduarze, padła na fotel i przymknąwszy oczy, zaczęła marzyć... o nim.

...Nie! ten śmiech nie dowodzi niczego... To młodzieniec pełen serca, zupełnie różny od młokosów warszawskich, uganiających się za aktor-

kami i bałamucących szwaczki... Wzajemny pociąg, który tak odrazu zbliżył ich do siebie jest «powinowactwem z wyboru»... Przeznaczeni byli sobie... On widywał ją pewnie oddawna już w snach i marzeniach, a i jego twarz nie jest jej obcą... O tak! te oczy, tak ogniste a tak rzewne zarazem, zna nie od dzisiaj... Widywała je niegdyś często, wpatrywała się w nie zblizka... Na Boga! gdzie to było i w jakich okolicznościach?...

Otworzyła szeroko oczy i spojrzenie jej, przerażone prawie, padło na pobladły fotogram, wiszący na przeciwległej ścianie.

Fotogram przedstawiał młodą kobietę w stroju, który był modnym przed dwudziestu laty. Rysy twarzy rozpływały się w tle pożółkłem i z trudnością dawały się rozpoznać; wyraźne były tylko oczy—ogniste a rzewne zarazem...

— Tak! to też same oczy... tenżesam wzrok, do głębi serca sięgający! — wykrzyknęła pani Helena, i podbiegłszy ku portretowi, zdjęła go ze ściany i poczęła okrywać pocałunkami.

A zaraz potem otoczyły ją mary wspomnień...

Ta młoda kobieta, jej siostra cioteczna, już od lat dziesięciu spoczywa w grobie. Znalazła śmierć na obczyźnie, zapomniana przez swoich, prawie przez nich odepchnięta...

Jeżeli pomiędzy kobietami może istnieć przyjaźń

prawdziwa, to one były prawdziwemi przyjaciółkami. Prócz pokrewieństwa rodzinnego, łączyło je pokrewieństwo ducha. Nie miały dla siebie tajemnic, spowiadały się sobie ze wszystkich wzruszeń serdecznych, roiły wspólnie o przyszłości, która dla każdej z nich miała wypaść odmiennie...

Teosia (samo to imię napędza jej dziś łzy do oczu) wrażliwsza była od Heli, czulsza i bardziej spragniona życia, jakby w przewidywaniu, że będzie ono krótkie. Serce jej było, podobnie jak oczy: ogniste a rzewne. Pobiegła też za błędnym ognikiem—i zginęła...

Jakże smutne były jej listy, pisane z dalekiego kraju, z pomiędzy obcych, obojętnych ludzi! Płonął w nich gorączkowy zapał suchotnicy, szkliły się łzy kobiety zrozpaczonej, odzywały jęki pękającego serca. A w każdym była wzmianka o dziecku, i bolesne przeczucie jego sieroctwa...

W liście ostatnim, skreślonym przed samą śmiercią, pisała:

«Odchodząc z tej smutnej i niewartej żalu ziemi, boleję nad jednem tylko: że jedynaka swego zabrać ze sobą do lepszych światów nie mogę! Pozostanie on tu, gorzej niż sam, bo na opiece człowieka, który przed ludźmi jest moim mężem, a przed Bogiem—moim katem. Wrogo usposobiony względem was wszystkich, nie odda wam dziecka, może je

nawet przed wami skryje. Ale z czasem Juraś mój ukochany wyzwoli się z tych więzów i przyjdzie do ciebie ze słowem polecającem od martwej już przyjaciółki. Przysięgnij mi, Helo, że go wówczas przytulisz do serca i staniesz mu się matką»...

Pani Helena odpisała bez namysłu:

«Przysięgam».

Smutne a zarazem słodkie wspomnienia! Uniósł je niewstrzymany potok czasu w tę otchłań czarną a bezdenną, która wszystko pochłania. Nad grobem Teosi szumią oddawna już pinie i cyprysy, a o Jurasiu nawet echo dotąd nie nadbiegło ..

Z zadumy głębokiej wyrwała panią Helenę służąca, przypominając, że nakrywają do stołu. Trzeba było przebierać się, co jest zawsze męczące, a co w tej chwili było katuszą prawdziwą.

Pani Helena podniosła się z trudnością. Poprzedniej rzeźkości nie czuła już w sobie. Myśli smutne obciążyły jej ołowiem mózg i serce. Była złamana, posępna, chora...

Przejrzała się w zwierciadle i westchnęła.

Twarz, którą widziała tam rano i ta, która się teraz ztamtąd wychylała, były tak różne od siebie, jak twarze: córki i matki. Oczy czerwieniły się od piasku i od łez (teraz dopiero spostrzegła, że płakała); policzki zżółkły i obwisły, siatka zmarszczek,

zupełnie niewidzialnych rano, wystąpiła z przerażającą wyrazistością...

Ciemna, jedwabna suknia, w którą ubrała się do stołu, jeszcze bardziej ją postarzała. Była i teraz przystojną i okazałą kobietą—ale kobietą niemłodą, kobietą, o której się mówi:

— Musiała być kiedyś bardzo piękna...

Służący przyszedł z oznajmieniem, że obiad podają.

Wyszła, szeleszcząc powłóczystą suknią. Ubrała też przez drogę twarz w uśmiech uprzejmy, jakim kobiecie światowej i dobrej gospodyni domu wypada witać gościa, nawet wówczas, gdyby jej serce z bólu pękało.

W pokoju stołowym, ciemną dębiną wykładanym, panował półmrok. Światła jeszcze nie zapalono i pani Helena poza zwykłemi postaciami domowników, spostrzegła sylwetkę smukłego mężczyzny we fraku, w którym domyśliła się gościa. Sylwetka ta przy pojawieniu się jej zgięła się w pokłonie i pozostała na miejscu.

Do pani Heleny podszedł mąż i rzekł:

— Przyrzekłem ci niespodziankę i dotrzymuję słowa...

Cofnął się, ujął pod ramię gościa i, podprowadzając do żony, wygłosił dobitnie:

— Juraś, syn Teosi.

Krzyknęła, usłyszawszy te słowa; krzyknęła powtórnie, podniósłszy oczy na młodzieńca...

Stał przed nią nowy znajomy z ogrodu, wykwintny a serdeczny pan Adolf.

Pociemniało jej w oczach, chwyciła się ręką za serce i upadła na krzesło, zemdlona.

. . . .

Długo, długo płakała pani Helena po ocuceniu.

Razem ze łzami, spływały z serca jej wszystkie złudzenia i wszystkie gorycze.

U stóp jej klęczał i po rękach ją całował Juraś, syn siostry jej i przyjaciółki, a ona nie słyszała nawet, jak powtarzał głosem pokornym:

— Daruj mi, ciotko, żem ci się odrazu we własnej osobie nie przedstawił... Wuj temu winien, bo chciał utrzymać do końca niespodziankę... Ale ja wiem, że nie godziło się żartować, nawet tak niewinnie, z ciebie, najlepsza i najmilsza ciotuchno....

Pani Helena powstrzymała wreszcie potok łez gorących.

Odjęła chustkę od twarzy, otoczyła ramieniem szyję młodzieńca i zatapiając w jego źrenicach głębokie swych oczów wilgotnych spójrzenie, rzekła:

— Słuchaj, Jurasiu: przysięgłam, że ci zastąpię matkę...

Przygarnęła go do siebie i dodała z mocą:

— I przysięgi tej dotrzymam.

Przy tych słowach czule, serdecznie, po-macierzyńsku, pocałowała go—w czoło.

SZÓSTY.

I.

W domu pana Rawskiego, bogatego fabrykanta powozów i uprzęży dla koni, panuje ruch nadzwyczajny.

Dwaj wynajęci froterzy, wraz z domową pokojówką, ślizgają się jak szaleni po posadzce salonu, nadając jej połysk kryształowy; kucharz i pomocnica jego pracują w pocie czoła nad płataniem ogromnych ryb, tarciem maku i migdałów i wertowaniem zatłuszczonej książki kucharskiej; przy zlewie, zakasana powyżej kolan pomywaczka szoruje, klnąc i przyśpiewując, naczynia miedziane, porcelanowe i kamienne.

W komnacie jadalnej sama pani Rawska stoi przy otwartym na wszystkie strony kredensie i dobywa z szuflad serwety i obrusy holenderskie, przy których białości i delikatności gasną jej własne, dość jeszcze białe i dość delikatne policzki.

Co chwila dzwonek u drzwi wchodowych drga i brzęczy, a posłaniec za posłańcem znoszą: to ko-

sze z butelkami owiniętemi w angielską bibułkę, to pudła okrągłe, owalne i kwadratowe, to wreszcie jakieś nieforemne pękate paczki, owiązane szpagatem i lakiem opieczętowane...

O dwunastej, wpada jak bomba sam gospodarz. Jest to mężczyzna młody jeszcze, ale już dojrzewający. Dobrobyt materyalny zaokrąglił mu i zarumienił policzki; nadał też twarzy jego ten wyraz stałej pewności siebie, jaką biedacy mogą miewać jedynie przelotem. Oczy ma uśmiechnięte i błyszczące; niewielki wąs podkręcony zuchowato do góry — jednem słowem, wedle zgodnej opinii znajomych dam, jest jeszcze dzisiaj «niebezpieczny». A cóż dopiero musiało być dawniej, gdy mu na barkach nie ciążyła jeszcze żona z dwojgiem dzieci i fabryka ze stoma tysiącami rubli rocznego obrotu!

— Ryby kupione?... Wino przynieśli?... Cygara są?... Dzieciaki ubrane?... Z salonem skończyli?.. A choinka? a siano pod obrus? a świece w żyrandolu?...

Biega po całym domu jak fryga, rzucając na wszystkie strony krótkie, energiczne zapytania. Potem, pocałowawszy w przelocie żonę, siada na chwilę do otwartego fortepianu, przegrywa jedną ręką jakąś poleczkę, nie kończy jej, zrywa się, i chwyciwszy za cylinder, chce uciekać na miasto.

— Władysławie! Władeczku!—woła za nim żona

i w progu go zatrzymuje. — Chcesz wynosić się z domu, a nie powiedziałeś nawet, ile osób spodziewać się wieczorem?

— Przygotuj się, koteczko na... dwadzieścia, może nawet na dwadzieścia i kilka... Oprócz oficyalistów fabryki, mają zajść do nas: Karolowie z córkami, ciocia Wąsowska z synem, oraz kilku facetów, którym zachciało się odpieczętować dziś po dwunastej karnawał. Ale to wszystko, jak ci już mówiłem, spadnie dopiero po kolacyi.

— A na kolacyi?

— Na kolacyi, duszko, oprócz mnie, ciebie, panny Anzelmy i dzieciaków, nie będzie nikogo. A teraz, ponieważ już wiesz wszystko, coś chciała wiedzieć, do widzenia!

— Dokądże tak się spieszysz?

— Czeka na mnie jedna... to jest jeden bagaty klient z Wołynia.

— Zapewne u Stępkowskiego?

— Zgadłaś, gołąbko. Do widzenia!

Wystawił już nogę za próg i zamachnął drzwiami, żeby je zamknąć, gdy nagle, coś sobie przypomniawszy, wraca do pokoju.

— Cóż to? zapomniałeś parasola, czy portmonetki z pieniędzmi?

— Ani jedno, ani drugie. Przyszło mi tylko na

pamięć, że od zeszłorocznej «gwiazdki» powiększył się nasz dom o jednę osobę...

— A tak, o małą Zosiuchnę... Ale cóż z tego?

— To z tego, że przed rokiem byliśmy do pary, a dziś jesteśmy nie do pary.

— Czy być może?

— Policz sama: ja z tobą... jedna para; panna Anzelma ze Stefcią... druga para; a co zrobić z Zosiuchną»

— Zosiuchnę można zostawić z mamką w dziecinnym pokoju, albo też razem z mamką posadzić do stołu.

— Nie zgadzam się ani jedno, ani na drugie. W takiej uroczystości, jak kolacya wigilijna, muszą uczestniczyć wszyscy bez wyjątku członkowie rodziny—Zosiuchny zatem wyrzucać nie pozwolę...

— Więc niech siedzi z mamką...

— Co za myśl! Patrząc na tę brzydką, głupowatą, do krowy na pastwisku podobną Magdę, nie mógłbym przełknąć nawet kawałka ryby...

— Iiiii... za wielki z ciebie delikatniś!... Co wreszcie robić z tym fantem?

— Trzeba wynaleźć kogoś na szóstego.

— Zgoda... ale kogo?

— Bagatela!... pierwszego kto się nawinie...

W tej chwili w przedpokoju odzywa się dzwonek.

Służąca wychodzi i wraca z zawiadomieniem, że chłopiec z cukierni przyniósł tort i strucle.

— Zawołaj go tutaj!

Zjawia się w pokoju ładny, ale mizerny chłopczyna, dźwigający na ramieniu wielki tort, a w ręku pokryty serwetą koszyk ze struclami.

Kłania się grzecznie i, postawiwszy ciasto na stole, chce odchodzić, nie czekając, zwyczajem swych kolegów, na napiwek.

W ogóle, zachowanie się jego odmienne jest od zwykłych manier cukierniczych chłopców. Nie ma on ani takiej zuchowatej miny jak oni, ani takich oczów błyszczących przebiegłością i dowcipem, ani ręki wysuwającej się łapczywie po datek...

Jest to chłopiec lat dwunastu lub trzynastu, zmizerowany jakiś i smutny. Popielata kurtka i fartuch płócienny leżą na nim obwiśle, zdradzając chorobliwą szczupłość figury. Włosy ma ostrzyżone przy samej skórze, twarz bladą, uszy zaczerwienione od mrozu. Chwilami pokasłuje...

— Słuchaj-no, mały! — odzywa się nagle fabrykant, chwytając chłopczyka za ramiona i wykręcając na miejscu, jak drewnianego «bąka». — Chcę ci coś zaproponować...

— Co pan każe? słucham...—odpowiada dzieciak lękliwie.

— Powiedz mi najprzód: gdzie ty dzisiaj będziesz na *wilii?*

— Nigdzie, proszę pana... to jest, właściwie: u pryncypała w piekarni...

— A rodziców nie masz?

— Nie mam już... mamy... Umarła zaraz po Wielkanocy... ósmy miesiąc temu...

— No to słuchaj, co ci powiem. Jak tylko się ściemni, ubierz się przyzwoicie i przyjdź tutaj. Będziesz *wilię* jadł z nami. Zgoda?

Chłopczyna spuszcza oczy, kręci czapką i nie wie, co odpowiedzieć...

— Czego się namyślasz, głupi! — dodaje niecierpliwie fabrykant.—Nie będziesz przecie na tym interesie stratnym. Zjesz taką kolacyę, jakiej w życiu nie pokosztowałeś, a za to, że posiedzisz godzinkę lub dwie z porządnymi ludźmi, dostaniesz jeszcze odemnie rubla. Przyda ci się to na podzelowanie kamaszków...

Silny rumieniec wstydu, czy gniewu oblewa bladą twarz chłopczyny.

— Proszę pana... — mówi niewyraźnie — pan... pan mnie nie zrozumiał... Za rubla dziękuję... nie chodzi mi o żadną zapłatę... tylko .. tylko...

— Tylko co?

— Tylko ja nie wiem, czy... czy to wypada? Państwo mnie nie znają, ani ja państwa nie znam...

Rawski aż podskakuje do góry w wybuchu nagłej wesołości.

— Ha, ha, ha! niechże cię drzwi ścisną, mój ambitny kawalerze! Nie znamy się, powiadasz?. . . a prawda, jeszcze nas sobie nikt dotąd nie zaprezentował!... ha, ha, ha! Ale to się powetuje: przy kolacyi my się tobie zarekomendujemy, a ty nam — i będzie wszystko w porządku. Ha, ha, ha, ha!

Chłopczyna jeszcze gwałtowniej kręci czapką i oczy połyskują mu nadpływającemi łzami...

Na szczęście, wdaje się w to pani Rawska. Zbliża się ona do chłopca, po macierzyńsku głaszcze go po ostrzyżonej głowie i spokojnemi słowy ponawia zaproszenie męża, nic o wynagrodzeniu i doskonałości jadła nie wspominając.

Chłopiec uśmiecha się przez łzy, w rękę ją całuje, i mówi:

— Przyjdę proszę pani, przyjdę... Wolę przecie z państwem siąść dziś do kolacyi, jak z tymi łobuzami z naszej cukierni, co mi ciągle urągają. . .

— Interes zatem załatwiony! — wykrzykuje radosnie fabrykant powozów i uprzęży dla koni. — A ponieważ nic już mnie tutaj nie wstrzymuje, po raz ostatni przeto: do widzenia. Do-wi-dze-nia!

I wybiega jak wystrzelony z armaty, dudniąc głucho po schodach miękkiemi podeszwami gumowych kaloszy.

II.

Przy różowych sukniach pani Rawskiej i jej córeczki, przy blado-kawowym stroju panny Anzelmy, przy czarnym tużurku pana domu i białym... śliniaczku najmłodszej pociechy, (którą, przy zachowaniu wszelkich ostróżności, matka na kolanach trzymała), bardzo dobrze odbijał granatowy mundurek gościa.

Chłopiec bowiem z cukierni sprawił wszystkim niespodziankę i przyszedł w mundurku.

Wprawdzie u mundurka tego srebrne guziki zastąpione były czarnymi, a wypustka na kołnierzu była odpruta, mimo to jednak, nie przestał on być mundurem.

— Któż ci to, kawalerze, podarował ten uniform?—spytał chłopca Rawski.

— To mój własny mundur gimnazyalny... — objaśnił chłopiec, prostując się, jak przystało człowiekowi umundurowanemu.

— Gimnazyalny? — zadziwił się fabrykant. — A jakież to ty gimnazyum kończyłeś: Lursa czy Semadiniego?

Chłopiec zaczerwienił się.

— Nie kończyłem żadnego — wyjąkał. — Przeszedłem tylko pierwszą klasę i byłem w drugiej

dwa kwartały... Ale właśnie rozdawali nam wielkanocne cenzury, kiedy mama umarła...

Objaśnienie to usposobiło poważniej pana Rawskiego i jego rodzinę. Zaczęto z większą uwagą przyglądać się chłopcu, a panna Anzelma, przyrodnia siostra pani domu, uczuła w swem staropanieńskiem sercu iskrę sympatyi dla tego biednego sieroty.

— Co tam, kawalerze! Co się stało to się nie odstanie! — wyrzekł Rawski, widząc zapływające łzami oczy chłopca. — Łyknij trochę węgierskiego, to zaraz ci ulży na sercu.

I nalał wina chłopczynie, który wypił je duszkiem, nie śmiąc odmawiać.

Tymczasem stara panna, siedząc z drugiej strony, kładła mu przy talerzu pierniki i bakalie, zachęcając do jedzenia.

— A ojciec kawalera nie żyje? — spytała serdecznie, wsuwając mu w kieszonkę duży piernik marcepanowy.

— Dziękuję pani. Ojciec umarł, kiedy jeszcze byłem dzieckiem. Wcale go nie pamiętam.

— Ale, ale!—zawołał nagle Rawski.—Zapomnieliśmy o rekomendacyi. Ja pierwszy przedstawiam się kawalerowi. Jestem Władysław Rawski, fabrykant powozów i uprzęży dla koni. «Wybór wielki.

Ceny umiarkowane. Pośpiech i elegancya». A kawaler?

— Ja... ja także jestem Władysław.

— Władysław? A to się dobrze składa. Spodziewam się jednak, że nie Rawski?

— Nie. Władysław Bolewicz. Mam imię ojca, a nazwisko matki.

— Jakto? więc ojciec inaczej się nazywał, niż matka?

— Tego nie wiem. Powtarzam tylko, co mi mama często mówiła. Dodawała też zawsze, że ojciec był niedobry, i że dużo złego wyrządził i mnie i mamie... Ale niepotrzebnie mówię to wszystko... bo cóż to państwa może obchodzić!

Widocznem było, że chłopczynę rozgrzało wino, i że spowiada się z tajemnic rodzinnych, których w innym razie nie odkryłby nikomu.

Dalsze jego zwierzenia przerwał tryumfalny wjazd... ciastek z makiem, które pięcioletnia panna Rawska powitała okrzykiem radości. Przez kilka chwil słychać było jedynie szczękanie srebra i porcelany oraz półgłośne upomnienia, dawane przez pannę Anzelmę małej żarłoczce.

— Władziu, budzę cię! — zawołała nagle pani Rawska, rzucając w męża okruchem strucli.

— W kolorze?

— W żadnym kolorze. Budzę cię po prostu dla tego, że tak się mocno zamyśliłeś, jakbyś zasnął.

— Ja? cóż znowu!—odparł żywo Rawski.—Ani mi w głowie nie postały żadne zamyślenia. Rozmarzyło mię tylko trochę wino—nic więcej...

I zwracając się do chłopca, rzekł:

— Więc powiadasz, panie Władysławie, że ojciec twój był niedobrym?

— Ja nic nie powiadam... — odpowiedział chłopiec, przestraszony własną śmiałością — to tylko mama tak mówiła...

— A cóż on złego zrobił twojej mamie?

— Mama musiała przez niego porzucić swego ojca, a mojego dziadka, i poróżnić się z całą familią. . .

— Dla czego?

— Nie wiem... mama mi tego nie powiedziała...

— Coś w tem dwuznacznego... — wtrąciła półgłosem Rawska, przez pół do męża, przez pół do siostry przyrodniej.

— Niezawodnie—przytaknął Rawski i, rozlawszy wino w kieliszki, wzniósł toast:

«Obyśmy za rok, tak samo jak dzisiaj, w dobrem zdrowiu i powodzeniu wilię obchodzili». . .

Ruszono się z miejsc; rodzina poczęła ściskać się i całować.

Przez chwilę panowało przy stole radosne zamieszanie.

O obcym chłopcu zapomniano.

Gdy powrócił wreszcie porządek, obejrzano się za nim ..

Stał w kącie pokoju, poza olbrzymią choinką obwieszoną świecidłami—i płakał...

— Cóż to, kawalerze?—spytała troskliwie panna Anzelma, i wstawszy ujęła go za rękę i do stołu przywiodła.

— Nic... nic... — jęknął chłopiec, obcierając róż-kiem serwety zaczerwienione powieki. Przypomniałem sobie swoją zeszłoroczną wilię... i coś mnie w gardle ścisnęło...

— A gdzież kawaler był w zeszłym roku na wilii?

— U mamy... w Lublinie...

— To mama w Lublinie mieszkała? — zapytał żywo Rawski.

— Tak. Dawniej mieszkała w Warszawie, ale ja już tego nie pamiętam... Mówiła mama, że jeszcze roku nie miałem, kiedy ze mną do Lublina przybyła.

— I czemże była mama... to jest: czem się zajmowała?—rzuciła zapytanie z drugiego końca stołu pani Rawska.

— Zajmowała się szyciem. Z początku chodziła na robotę do cudzych domów, pozostawiając mnie, nieraz na cały tydzień, w pokoiku na facyatce,

gdzieśmy mieszkali. Było mi wtenczas bardzo smutno... Często także jeść mi się chciało, a w domu nic do jedzenia nie było. Zaglądała tam czasem szewcowa z przeciwka i przynosiła bułkę, albo co ciepłego w garnuszku. Ale często, jak jej wyszło z pamięci, to nie zajrzała. Za to jak mamusia wróciła z roboty, było u nas wesoło. Jedliśmy ciastka, śmieliśmy się, śpiewali. Jednej tylko piosneczki nie mogła nigdy mamusia śpiewać bez płaczu...

— Jakaż to piosneczka?—spytała ciekawie panna Anzelma, wielka zwolenniczka śpiewu.

— Zaczyna się tak:

Przepłynęły już zdroje,
Nie przepłyną łzy moje...

Nie ucichną me płacze,
Aż lubego zobaczę.

— Słyszysz, Władziu? — zauważyła Rawska — to przecie twoja ulubiona piosneczka...

— To i cóż z tego! Ja przecie nigdy nie płaczę, jak ją śpiewam. Ha! ha! ha!

Śmiejąc się, nalał sobie kieliszek likieru i wypił jednym łykiem.

Tymczasem chłopiec, którego wino czyniło coraz wymowniejszym, opowiadał dalej:

— Było u nas przez długi czas bardzo biednie. W lecie słońce paliło jak ogień, w zimie znowu mróz ściskał, że się nie chciało wyjść z pościeli. Ale mamusia póty pracowała dniami i nocami, aż

zebrała kilkadziesiąt rubli. Przenieśliśmy się wtenczas z trzeciego piętra na drugie i mama kupiła jedną maszynę za gotówkę, a drugą wzięła na kredyt. Potem przyjęła pannę do pomocy i zaczęła brać robotę do domu. Opłacało się to mamusi lepiej, i wtenczas też oddała mnie do gimnazyum...

— Musiał matce ktoś dopomagać... jaki mężczyzna zapewne...—wtrącił Rawski, ust od kieliszka nie odejmując.

— U nas żaden mężczyzna nie bywał — odparł chłopiec.—Mamusia nie pozwalała przychodzić żadnemu, choć było kilku takich, co się chcieli ożenić z mamusią...

— I dla czegoż mama nie chciała wyjść za mąż?—spytała ciekawa Anzelma.

— Nie wiem. Mówiła mamusia czasami, że to przez mego ojca i... przezemnie...

Kobiety zamieniły między sobą znaczące spojrzenie — i po ustach przemknął im uśmiech, ale smutny jakiś...

— A jakim sposobem dostał się kawaler do Warszawy? — zapytała Rawska, kładąc chłopcu na talerz dużą porcyę owoców, jakby chciała w ten sposób współczucie swe objawić.

— Mamusia, jak już była bardzo chora, powiedziała do mnie: «Jak umrę, otworzysz dolną szufladę od komody i znajdziesz tam zawinięte w sta-

rą gazetę trochę pieniędzy. Z pieniędzmi temi pojedziesz do Warszawy i odszukasz Piotra Bolewicza, lakiernika. Dawniej mieszkał na Ogrodowej, pod numerem czterdziestym szóstym. Od dziesięciu lat nie miałam od niego żadnej wiadomości, ale wiem, że żyje. Jest to mój ojciec, a twój dziadek. Powiesz mu, że mnie na świecie już nie ma, i poprosisz, żeby się tobą zaopiekował...» — Zrobiłem jak mamusia chciała i odszukałem dziadka, ale przyjął on mnie bardzo źle. Nie kazał nazywać się «dziadkiem», tylko «panem», a jak wyczytał w kuryerku, że do jednej cukierni potrzebują chłopców, zaprowadził mnie tam czemprędzej i oddał ze wszystkiem. A na odchódnem powiedział jeszcze, żebym się nie ważył nigdy do niego przychodzić, bo mię za drzwi wyrzuci...

— A to jakiś niegodziwy człowiek! — zauważyła ze szczerem oburzeniem panna Anzelma.

— O tak! — przytaknął chłopiec. — A najbardziej tem mi dokuczył, że na mego ojca wygadywał różne niegodziwości. Żebym był starszy i mocniejszy, tobym mu z pewnością nie darował... ale cóż miałem robić! rozpłakałem się i na tem koniec. A w tej cukierni to mi tak źle, że już chyba gorzej nigdzie być nie może. Inne chłopcy poszturgują mnie i wykpiwają, a pryncypał ciągnie za uszy i za włosy i psztyczki w nos daje. Ja takbym chciał

uczyć się i wyjść na porządnego człowieka, jak moi koledzy z gimnazyum, a tymczasem jak mnie który z subjektów znajdzie nad książką, to ją zaraz z rąk wyrywa i drze na kawałki... Może też Pan Bóg zlituje się nademną i do mamy mnie zabierze!

Na tem zakończył swe opowiadanie.

Ponieważ skończyła się też jednocześnie i wieczerza, wstali więc wszyscy od stołu.

Zaproszeni goście mieli nadejść lada chwila, z pośpiechem przeto wzięto się do uprzątania nieporządków i poprawiania toalet.

Pomimo pewnego zajęcia, jakie obudził chłopiec swem opowiadaniem, dano mu bez ceremonii do zrozumienia, że może już iść sobie do domu.

Pocałował więc on w rękę panią domu i jej siostrę, ukłonił się wszystkim zamaszyście, i wdziawszy swój, wiatrem podszyty, paltocik, opuścił mieszkanie fabrykanta powozów i uprzęży dla koni.

Rawski wyszedł za nim do przedpokoju i, milcząc otworzył mu zatrzask u drzwi, wiodących do sieni.

Chłopiec ukłonił mu się raz jeszcze i, stawiając nogę na pierwszym stopniu schodów, usłyszał, że się drzwi napowrót zatrzasnęły.

Ale, gdy już był na połowie schodów, zatrzymał się...

Zdawało mu się, że go ktoś woła...

Obejrzał się i ujrzał Rawskiego, z gołą głową, przegiętego przez poręcz i wołającego przyciszonym głosem:

— Władysławie... Władziu...

Pośpieszył czemprędzej na górę, przeskakując po dwa stopnie na raz i stanął przy wołającym.

Rawski był blady i zapinał tużurek pod samą szyję, drżąc,—z zimna zapewne.

— Władziu...—rzekł, biorąc chłopca za rękę,—czy twoja matka wspominała co przed śmiercią o ojcu?...

— A jakże, proszę pana Mówiła: niech mu tak Bóg przebaczy, jak ja mu przebaczyłam. . .

Zaledwie chłopczyna wyrzekł te słowa, uczuł się pochwyconym w silne objęcia, uniesionym w górę i okrytym pocałunkami, które mu spadły jak grad: na policzki, na usta, na oczy, na czoło, a nawet na włosy ostrzyżone krótko i odsłonięte, skutkiem spadnięcia czapki na ziemię.

W tej chwili dał się słyszeć głuchy turkot wjeżdżającej w bramę karety.

Rawski puścił chłopca i, własną ręką czapkę z ziemi podniósłszy, wsadził mu ją z pośpiechem na głowę. Jednocześnie, prędkim i urywanym głosem szeptał mu do samego ucha:

— Bądź zdrów. . . goście przyjechali. . . będzie wszystko dobrze. . . przyjdź jutro. . .

I zanim oszołomiony chłopiec zdołał zdać sobie

sprawę z tego niespodzianego wybuchu, otworzył własnym kluczem drzwi od mieszkania i zniknął za niemi...

III.

Wesoło i hucznie bawiono się tej nocy w gościnnym domu fabrykanta powozów i uprzęży dla koni. Sam tylko gospodarz, silną migreną trapiony, nie przyjmował udziału w ogólnej wesołości, a nawet i mniej był gościnnym niż zwykle.

Kiedy nad ranem goście się rozjechali, rzekł on nagle do żony:

— Wiesz, duszko? Tak mi się podobał ten chłopiec z cukierni, że postanowiłem zająć się jego losem. Zaraz po świętach oddam go do szkół, umieszczę na stancyi i dopomogę do ukończenia gimnazyum. A potem, obierze sobie zawód, jaki mu się najlepiej podoba. Jednem słowem, zaopiekuję się nim, jak synem...

— Jak synem...—powtórzyła Rawska, niby echo, zatapiając w twarzy mówiącego przenikliwe spojrzenie swych bystrych, ciemnych oczów...

I długo tak małżonkowie patrzyli na siebie w głębokiem milczeniu, zamyślając się coraz bardziej i smutniejąc. Aż nagle źrenice Rawskiej zwilgotniały i zabłysły, rzęsy jej opuściły się na dół—i szepnęła:

— Może to i lepiej...

ECHO.

I.

— Nuty?..

Ze zdziwieniem i ciekawością zanurzyła rękę w walizce, pełnej rupieci i wydobyła zwitek, związany wstążeczką spłowiałą i żółtą, która niegdyś mogła była być równie dobrze zieloną, jak różową lub niebieską.

— Nuty w mojem panieńskiem schowanku, przez tyle lat nieotwieranem? A to niespodzianka!

Zerwała wstążeczkę i rozłożyła zwitek.

Papier był pożółkły, i wydawał mdlącą woń stęchlizny. Wilgoć nie tylko porysowała na nim mapy fantastyczne, ale nadto zniszczyła i postrzępiła brzegi, a tu i owdzie farbę drukarską wyżarła.

Na pierwszej karcie czerniał wielki, ozdobny tytuł: *Trois morceaux de salon.*

Zmrok już zapadał i w pokoju robiło się ciemno. Aby dojrzeć resztę napisu, czytająca podeszła do wielkiego balkonowego okna, którem wpadało jeszcze trochę skąpej, jesiennej jasności.

— *Trois morceaux de salon* — czytała półgłosem — *par Joseph Stańko... dédiés à mademoiselle Julie Laskowska...* A!..

Upuściła zeszyt na posadzkę, zakryła twarz rękami i oparłszy czoło o szyby, stała tak długo, milcząca i nieruchoma jak posąg.

Za oknem szumiały ponuro drzewa ogrodowe, ogołocone z liści i poczerniałe. Wskróś nagich gałęzi przezierała zorza wieczorna, równie blada i marna, jak dzień był smutny i bezbarwny. Ścieżki zasypane były zwiędłem listowiem, o rdzawych, metalicznych tonach.

Nie tylko milczenie i nieruchomość czyniły kobietę posągowi podobną. Posągową była cała jej postać—smukła, kształtna i w harmonijne zgięcia ułożona. A i draperya jej sukni, czarnej, powłóczystej, miała również linie uroczyste, prawidłowe, jakby ją ze spiżu odlano.

Weszła służąca z lampą. Postawiła ją na stole i rzekła głosem krzykliwym, dziwnie kłócącym się z melancholią, która pokój napełniała:

— A to Maciej kazał spytać, na którą godzinę ma być jutro powóz gotowy?

Kobieta odjęła czoło od szyby i dłonią zasłoniła oczy, jakby im światło ból sprawiało. Przez chwilę milczała, myśli zbierając, wreszcie rzekła:

— Nie wiem jeszcze... później powiem...

— A to może jaśnie pani jutro nie pojedzie?

— Owszem, pojadę.

— A to może-by bieliznę do dużego tłomoka pakować?

— Pakuj.

— I suknie też?

— I suknie.

— A do tej małej walizki co pójdzie?

— Pewnie nic.

— A tom ja niepotrzebnie ze strychu ją znosiła?

Pani spojrzała na walizkę, na okno balkonowe, na porzucony zeszyt, i uśmiech gorzki przebiegł jej po ustach...

— Niepotrzebnie!.. szepnęła jak echo.

A potem zaraz rzekła do służącej:

— Zapal, Róziu, światło w salonie.

— Dużą lampę, czy małą?

— Małą — i postaw ją na fortepianie.

Służąca wyszła, a pani podjęła upuszczone nuty i ponownie zaczęła je ropatrywać.

W świetle lampy twarz jej wydawała się bardzo bladą, a ręce o długich, nadzwyczaj cienkich palcach, prawie zupełnie krwi w sobie nie miały. Sinemi obwódkami podkrążone oczy świadczyły o nocach bezsennych i o płaczu, gorzki zaś wyraz ust zapewne nie ze szczęścia i spokoju pochodził.

— Stańko... szeptała, wpatrując się w napół zbutwiały zeszyt—mój nauczyciel muzyki za dobrych, panieńskich czasów!.. Taki zawsze smutny i taki zawsze zabawny... Jakież to dawne dzieje!.. Dziesięć, dwanaście, trzynaście lat przedziela mię już od nich... Cóżbym dała, żeby wróciły!.. Ale nie wrócą...

Zamilkła i otarła łzę, na rzęsach zawisłą.

— Ach tak, pamiętam — mówiła dalej — to było w sam dzień popisu... W głowie mi się kręciło od szczęścia, od krwi młodej, od myśli, że już pensyą nudną porzucam i w świat wchodzę... Biegałam jak szalona po pokojach, wykręcałam «młynka» z pierwszoklasistkami, skakałam nawet po ławkach, jak koza... Dama klasowa, patrząc na to, załamywała ręce ze zgrozy i zdumienia... — *Vous ne vous rappellez donc pas, mademoiselle, que vous avez vos dix-sept ans déjà sonnés?!..* A ja śmiałam się, jak chochlik, i z mojej panieńskiej dojrzałości i z obużenia damy klasowej i z całego świata... Nagle, gdym przebiegała jak wicher przez pustą klasę, słyszę, że ktoś stłumionym głosem woła mnie po imieniu... oglądam się — pod ścianą stoi mój Stańko, taki drżący, taki zawstydzony, taki pocieszny, jak nigdy jeszcze... Stoi we fraku (obwisłym i pofałdowanym, jak worek), w białej krawatce (z przekrzywioną kokardą) i w dłoni, obciągniętej rękawiczką (czekoladową) trzyma zwitek

papieru... Zatrzymuję się w biegu i pytam przez ramię: «Czego chce pan Stańko?..» A on bełkocze coś, czego nie mogę zrozumieć, i wciska mi w ręce, przemocą prawie, ów papier, różową wstążeczką związany... Kręcę się jak na szpilkach, nie wiem co robić ze sobą i z prezentem, aż on nagle łap mnie za rękę — całuje ją z całej siły — i ucieka... Dopieroż ja w śmiech!

Zatrzymała się na chwilę i dodała z dziwnym uśmiechem:

— Panieńska moja rączka była mokra od łez śmiesznego kawalera...

Przesunęła dłonią po czole i po oczach i mówiła dalej do siebie:

— A potem co? Potem był bilet mamy do pana Stańki ze słowami: «Wdzięczna za pamięć o córce» i przy bilecie papierek 25-cio rublowy, a potem bilet pana Stańki do mamy bez żadnego dopisku, i przy bilecie pokwitowanie Towarzystwa dobroczynności z otrzymania 25 rubli dla biednych. Potem zaś już — nic, ale to zupełnie nic.

W tej chwili w otwartych drzwiach pokazała się Rózia:

— A to przyszłam powiedzieć, że lampa już zapalona...

— Dobrze. A kwiaty ogrodniczek odmienił?

— Odmienić odmienił, ale powiada, że za te-

pieniądze, co jaśnie pani daje, dłużej nie wydoła...

Nic na uwagę tę nie odrzekła, i w jedną rękę biorąc zwitek nut, a w drugą ujmując fałdy długiej, żałobnej sukni, przeszła wolnym krokiem do salonu.

Był to pokój wielki i prawie pusty. Wszystkie okna zasłaniały w nim ciężkie firanki, a trochę sprzętów, stanowiących widocznie resztki dawnego, zbytkownego umeblowania, chroniły od kurzu szare, posępne pokrowce. Posadzki oddawna już nie woskowano, a po wielkim świeczniku, który niegdyś zwieszał się u powały, pozostał tylko wielki, w samym jej środku sterczący, hak z bronzu złoconego.

Powietrze zatęchłe i zimne świadczyło, że pokój nie był ani opalany, ani przewietrzany dostatecznie.

I na tym cmentarzu zagasłej wspaniałości, trzy tylko rzeczy wielkopańskie, zbytkowne, o minionym blasku mówiły: przepiękny fortepian, bogatą inkrustacyą zdobny, oraz dwa obrazy znakomitego pędzla, w kosztownych, artystycznie odrobionych ramach.

Oba obrazy były portretami. Jeden wisiał na ścianie wprost wejścia, drugi spoczywał na stalugach, pluszem jedwabnym okładanych i opiętych draperyą z bardzo starej i bardzo kosztownej tka-

niny. Pierwszy przewiązany był w połowie czarną krepą; drugi ozdobiony równianką ze świeżych kwiatów.

Kobieta ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, zasunęła portjerę i przedewszystkiem skierowała kroki ku portretowi z krepą czarną.

Przedstawiał on mężczyznę młodego, ale zwiędłego, o twarzy żółtawej i rysach delikatnych a wyrazistych, które nazywają «arystokratycznymi». Uśmiech jego wązkich, bezkrwistych warg był zarazem słodki i szyderczy, a spojrzenie mieściło w sobie tyle dumy wyniosłej, że niepodobna było wytrzymać go bez onieśmielenia i — nienawiści.

Kobieta uklękła przed portretem, ręce złożyła i jęła odmawiać cichą modlitwę. Zakończyła ją nieco głośniej wyszeptanemi słowami:

— Wieczne odpocznienie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków — amen...

A potem jeszcze powtórzyła kilkakrotnie:

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Wstała i podeszła do portretu drugiego. Uśmiechał się na tym portrecie śliczny, sześcioletni może, chłopczyk, w stroju hiszpańskim z czarnego aksamitu, w olbrzymiej, śnieżnej krézie, jedwabnych pończoszkach, i ciżemkach z błyszczącemi klamra-

mi. Od tego stroju, surowego nieco, tem świetniej odbijała jego twarzyczka olśniewająco biała, oraz jasne włosy, gęstą falą spływające na czoło i szyję. Chłopczyk miał rysy delikatne, a wyraziste, jak mężczyzna na tamtym portrecie, oczy zaś czarne, wilgotne i błyszczące, jak ta, która się doń teraz zbliżyła.

Pod tym portretem kobieta nie klękła. Opasała go miłośnie rękoma, twarz swą do jego twarzy przycisnęła i pokryła płótno malowane tysiącem pocałunków, zmieszanych ze łzami...

Ale po chwili, była znów jak posąg spokojna. Blada i wyniosła, stanęła na środku obszernej komnaty i wzrokiem potoczyła w około. Bezkrwiste jej wargi zadrgały i wybiegł z nich jęk głuchy:

— Żadnych złudzeń, żadnej nadziei!.. Gdy się dojdzie do tych krańców boleści, już się cierpieć przestaje!..

Wzrok jej padł na nuty, które przy wejściu rzuciła na fortepian.

— Ach, ten Stańko—szepnęła— ten tragikomiczny «metr», marzący o romansach z pensyonarkami!.. Poco on mi swym podarunkiem niedorzecznym przeszłość przypomniał!.. Przez te trzynaście lat nie wiem, czym choć raz myślała o nim, o jego figurze pociesznej i o jego kompozycyach, but-

wiejących na strychu... Muszą to być rzeczy równie niewyraźne i niedołężne, jak ich autor...

Machinalnie otworzyła fortepian, pożółkły zeszyt umieściła na pulpicie, usiadła, lampę rozjaśniła, i smukłymi, bezkrwistymi palcami, w szybkim jak wicher pasażu, przebiegła klawisze.

Widocznem było, że muzyka jest dziś jej namiętnością, że uważa ją za język duszy, służący do wypowiadania najtajniejszych myśli i uczuć, a zarazem za narkotyk, który upaja, ogłusza i o bólu zapominać daje.

Odjęła ręce od klawiszy i rzekła, bez szyderstwa, ale z tą lekką wzgardą, jaką ludzie, co dużo cierpieli, okazują światowym błahostkom:

— A teraz dajmy posłuchanie panu Stańce... Biedak czekał na nie trzynaście lat—to chyba dosyć... Jakże się nazywa pierwszy z jego *morceaux?..* «Wyznanie!..» Dobrze. Niechże pan Stańko wyznaje, co mu leży na sercu...

Biegła w czytaniu nut, nie miała trudności z odcyfrowaniem utworu swego nauczyciela. Ale od pierwszych zaraz akordów poznała, że ma do czynienia z czemś niezwykłem. Jakoś nie wiązało się to tak łatwo i składnie, jak zwykłe «sztuczki salonowe».

Odczytała cały numer pierwszy od początku do końca i nie wiele z niego pojęła. Odczytała po raz

drugi i z trudnością udało się jej pochwycić myśl zasadniczą. Ale dopiero przy trzeciem odczytaniu rzecz ta zarysowała się przed nią we właściwych kształtach i w świetle właściwem...

«Wyznanie» było wyznaniem miłosnem. Żadna wątpliwość co do tego istnieć nie mogła. Język serca różnym jest od wszystkich innych i zrozumie go odrazu każdy, kto ma serce.

Kochanek zbliżał się do ukochanej z nieśmiałością, prawie z trwogą, zaledwie oczy śmiąc na nią podnosić. W słowach niejasnych, przerywanych, spowiadał się z tego, że ją czci jak bóstwo. Spowiedź ta była tak niemal uroczystą jak spowiedź kościelna...

Powoli, ściśnione od wzruszenia serce jego poczynało rozszerzać się i falą krwi gorącej bić do głowy. Krew ta rumieniła mu twarz i zabarwiała jego słowa. Melodia «Wyznania» rozgrzewała się w tem miejscu, nabierając stopniowo głębokości i wyrazistości. Jednocześnie stawała się tak rzewną, że trudno jej było słuchać bez wzruszenia. Kochanek mówił, że ta miłość jest treścią jego życia, że w niej zamknął wszystkie swoje marzenia, że kocha po raz pierwszy i ostatni...

Żar pieśni wschodnich, złączony z melancholią północnej przyrody, owiewał te oświadczyny płomienne i porywające. W akordach burzliwych, peł-

nych naprzemian: to gruchania gołębiego, to jęczenia wichrów stepowych, malowała się ta namiętność niezwalczona i jedyna, w której skupiają się wszystkie władze serca i duszy...

A w zakończeniu oświadczyn zabrzmiał krzyk — krzyk potężny, krzyk wielkiej, bezbrzeżnej rozpaczy, po którym nastąpiła zaraz głucha, martwa cisza . .

To kochanek dowiedział się — przeczuł raczej — że bóstwo ofiary nie przyjęło!

Grająca odjęła ręce od klawiszy i przez długą chwilę siedziała, jakby w odrętwieniu.

Tak, to było wyznanie miłosne....

Wyznanie takie słyszała i ona — ale jakże inne, jakże niepodobne do tego!

Mężczyzna, który je wypowiedział, był piękny i wytworny, miał rysy twarzy delikatne a wyraziste, lecz wyraz jego ust był szyderczy, a w oczach błyszczała nadzwyczajna duma. Oświadczył jej miłość wśród tańca, przy dźwiękach jakiejś polki roztrzepanej a niedorzecznej, pomiędzy dwiema figurami mazura — oświadczył zaś głosem czułym, słówkami przez zęby cedzonemi, i — co najdziwniejsza — po francuzku.

Jednak ona mężczyznę tego pokochała. Pokochała dla tego pewnie, że był piękny i że jej serce swe ofiarowywał; pewniej zaś jeszcze dla tego,

że sama była młodą i czuła wielką potrzebę kochania.

Po owym wieczorze, już prawie wcale nie było pomiędzy niemi mowy o miłości. Sprawę małżeństwa omawiali rodzice jej i jego, omawiania zaś te były nudne, męczące i pospolite. Po wymianie pierścionków zaręczynowych, on wyjechał zaraz za granicę, a ona aż do dnia ślubu siedziała u rodziców zamknięta, marzyła o nieobecnym i płakała.

Nie! nie zjawiła się jej miłość w pełnym blasku swej potęgi. Przyszła raczej, jako mara blada, z fałszywym na suchotniczej twarzy umizgiem...

Kobieta westchnęła i przewróciła kartę zeszytu.

— Numer drugi — rzekła do siebie głosem, znacznie od poprzedniego uroczystszym — «Marsz weselny...»

Teraz z pod palców jej wypłynęła pieśń, pełna światowej radości i światowego wdzięku. Słychać w niej było chrzęst jedwabnych, modnie skrajanych sukien, szelest wielkich wachlarzy z piór strusich i szum długiego trenu panny młodej, która ciągnęła go za sobą, niby postrzelony gołąb skrzydło obwisłe. Drużbowie szeptali z druchnami, goście weselni śmieli się, a orkiestra stroiła instrumenta do hucznego mazura...

Nagle, akord minorowy, zgoła niespodziany i jakby z pod ziemi wytrysły, zmącił tę całą weso-

łość. Organ, zamiast *Veni Creator*, zagrał *Requiem;* druchny stanęły jak wryte, drużbom śmiech zastygł na ustach, biesiadnicy pobledli, a panna młoda spazmatycznym wybuchnęła płaczem. .

Ktoś obcy, ktoś straszny, ktoś, kogo nikt tu nie pożądał, wszedł do komnaty godowej i w otwartych na ścieżaj drzwiach stanął — jak posąg bólu i nienawiści. A pod spojrzeniem tego przybysza, kwiaty powiędły na wieńcach, świece zagasły w świecznikach, a białe suknie kobiet zmieniły się w strój żałobny.

Oblubienica daremnie wzywała oblubieńca: zniknął on kędyś bez śladu. Na wołanie jej tylko niebo odpowiedziało — gromem. Od gromu zatrzęsło się sklepienie komnaty i zwaliło na głowę ucztujących. A zaraz potem przyleciał huragan, porwał tę całą zgraję i rzucił w ciemność bezdenną.

I zakończyło się wszystko jękiem — długim, bolesnym jękiem, z jakim uchodzi dusza zranionego w serce człowieka. . .

Kobieta przestała grać, i, sięgnąwszy po chusteczkę, otarła nią czoło z zimnego potu.

— Cóż za straszna muzyka!—rzekła do siebie — i cóż za talent potężny! Kto-by go mógł był odgadnąć w tym Stańce, bladym, nieśmiałym i do płaczu tak łatwym!

I uderzyła ją myśl dziwna: ten marsz osobliwy

opowiadał poniekąd dzieje własnego jej wesela. I ona miała gody swe przerwane gromem niespodzianej katastrofy, i ją płacz spazmatyczny wśród sali balowej pochwycił, i jej oczy widziały bledniejących od przerażenia biesiadników, i ona wreszcie w tej strasznej chwili napróżno oblubieńca swego wzywała...

Właśnie rozpoczynać się miały tańce, gdy mąż jej i ojciec opuścili grono weselne. A ledwie zabawili chwilę krótką w jednej z komnat oddalonych, rozległ się krzyk straszny i wołania rozpaczliwe o pomoc. Zaraz też wbiegła służba z głośnem biadaniem i wieścią, że «jaśnie panu serce pękło...» Uczta weselna zamieniła się w stypę pogrzebową, a białą suknię panny młodej zastąpić musiała żałoba osieroconej córki.

W kilka lat dopiero dowiedziała się od męża prawdy ohydnej: ojca jej zabił targ o sumę posagową.

— Kto człowiekowi temu dał moc czytania w zakrytej księdze przyszłości? — szepnęła ze zdziwieniem niezmiernem, do którego i przestrach się mieszał.

I z gorączkowym niepokojem powróciła do dziwnego zeszytu.

Numer trzeci nosił tytuł: «Elegia.»

Nie było tu już ani jęków rozpacznych, ani łez nawet. Zastępowała to wszystko ponura, bezna-

dziejna melancholia. Melancholia taka panować musi na planetach, którym słońce przestało już dostarczać światła i ciepła. Stygną one zwolna i lodowacieją, a wraz z uchodzącą żywotnością uchodzi z nich ta nawet odrobina energii, jakiej potrzeba do ujawnienia bólu swego—krzykiem...

Te akordy suche, prawie bezdźwięczne i pełne grozy niewymownej, usypiały i odrętwiały serce, jak zimno usypia i odrętwia kostniejącego na mrozie człowieka. Wiał z nich chłód otwartego grobu.

Kobieta wzdrygnęła się. Takiego to właśnie stanu obawiała się zawsze i takiego to stanu była dziś blizką. Czuła jak straszny mróz ducha kłuje ją milionami bolesnych igiełek, jak ogarnia ją nieprzezwyciężone zemdlenie, jak traci władzę bronienia się, skarżenia, protestowania...

Aby stoczyć się aż w taką głębię nieszczęścią, trzeba być zupełnym i wszechstronnym bankrutem. Dopiero po stracie wszystkich złudzeń i wygaśnięciu ostatniej nadziei, idzie się pod nóż losu bez oporu i bez skargi.

I ona już się od życia nie spodziewa niczego. Wszakże widziała wszystkie bożyszcza swoje albo rozbite, albo w błoto rzucone. Jej szczęście małżeńskie trwało krótko jak sen, i jak sen ręką ująć się nie dało. Mężczyzna, który jej miłość zaprzysiągł, zabił najpierw jej ojca, a potem ją samą zdra-

dził i porzucił. Był to człowiek nie tylko ze zrujnowanym majątkiem, ale z sercem i charakterem w ruinie. We dwa lata po ślubie nie miała już w nim męża, lecz wroga. Rozdzieleni, nienawidzący się, zamiast biletów miłosnych, posyłali sobie pozwy i wyroki. On włóczył się po obczyźnie z awanturnicą jakąś i trwonił majątek żony i dziecka. Ona siedziała w swej pustelni wiejskiej, wychowując syna, modląc się, płacząc, narkotyzując się muzyką i broniąc przed niedostatkiem. Wreszcie telegram z Monaco przyniósł jej wiadomość, że jest wdową,—po samobójcy. . .

Pozostał jej syn. Jakież to było miłe i roztropne chłopię! Zcałowywał łzy z jej oczów i z najgłębszego upadku ducha umiał ją drobną swą rączkę podźwigać. We dworze, melancholią nasiąkłym, chował się na podziw zdrowo i rozkosznie. Miał już lat dziesięć, gdy dnia jednego konie uniosły bryczkę, w której siedział, i. . .

I przyniesiono go matce martwego.

A potem przyszły te trudne, powszednie, poniżające ducha walki o dach nad głową, o kawał ziemi, która żywiła, o własność, którą ktoś wydzierał; walki, które, nawet w razie zwycięztwa, pozostawiają takie uczucia, jakby ktoś zbłoconą stopą na ducha naszego nastąpił. . .

Kobieta ścisnęła obiema dłońmi skronie i jęknęła głucho:

— Za mną piekło, przedemną — próżnia. Jakaż siła trzyma mię tu jeszcze?

Uśmiechnęła się gorzko i odpowiedziała sobie:

— Tej sile na imię: bezsilność.

Weszła Rózia.

— A to, proszę jaśnie pani, Maciej pyta wedle jazdy jutrzejszej. Czy ma konie nakarmić owsem na drogę, czy nie?

— Powiedz Maciejowi, żeby był gotów na ósmą rano. A łóżko moje posłałaś?

— Posłałam.

Przeszła do sypialni krokiem chwiejnym i o sprzęty się wspierając, tak ją wrażenia ostatnich godzin złamały.

Ale choć rozebrała się i położyła do łóżka, spać nie mogła.

Dręczył ją niepokój o wynik sprawy sądowej, na którą do Warszawy spieszyła; trzymały ją w podnieceniu echa pięknych, a tak smutnych utworów Stańki.

I sam Stańko w dziwnem przetworzeniu oczom jej się jawił. Wyglądał niby bohater ballady romantycznej, z twarzą szatańsko piękną, z oczyma fosforycznie błyszczącemi, z wyrazem ust bolesnym a dumnym. . .

— Takim musiał być zawsze—myślała—a śmiesznym wydawał się tylko oczom niedojrzałego podrostka.

I wpatrywała się rozszerzonemi źrenicami w ciemność, z której wychylać się on zdawał ze skargą i wyrzutem.

— Ależ ja byłam ślepą!—szepnęła nagle, drgnąwszy.—Ten człowiek był wielkim artystą, miał duszę jasnowidzącą, serce w bólu zahartowane i . .

Przymknęła oczy i dodała z pewną wstydliwością:

— I kochał mnie do szaleństwa!

W tejże chwili uczuła, że serce jej przepełnia się. Na sekundę jedną zamęt jakiś porwał i przyćmił jej myśli, a zarazem potem z oczów polały się łzy gorące.

Sprawiło jej to ulgę wielką, w ślad za którą przyszedł kojący wszystko sen.

Przed zaśnięciem samem zrobiła jedno silne postanowienie.

Zaraz za przybyciem do Warszawy, zajmie się odszukaniem Stańki. Jeśli go znajdzie przy życiu, ukorzy się przed nim, dłoń do niego wyciągnie i ofiaruje mu miłość siostrzaną. A gdyby go już nie było między żyjącymi, grób jego ubierze kwiatami, mszę zakupi i do modlitw codziennych dołączy jeszcze jedno «wieczne odpocznienie.»

II.

— Pan Stańko?

— Tutaj.

— Mogę z nim się zobaczyć?

— Niech pani pozwoli do saloniku. Zaraz męża poproszę.

I salonik i kobieta, która doń Julię wprowadziła i wszystko w tym domu tchnęło pospolitością. Znać tu było pewien dostatek, oraz wielkie zamiłowanie porządku i czystości, brakło jednak tego, co jest klejnotem szlacheckim ducha: dobrego smaku.

Zaledwie Julia usiadła, przez uchylone drzwi znów wsunęła głowę tłusta i rumiana pani domu.

— Przepraszam—rzekła głosem nadmiernie uprzejmym—jak mam mężowi powiedzieć?

— Niech pani powie, że... że przyszła dawna jego uczenica.

Drzwi się zamknęły.

Z obocznego pokoju dochodził hałas uczącej się, bawiącej i dokazującej dziatwy. A musiało tam być sporo drobiazgu, bo słychać było i głosy starszych już dzieci i spieszczone szeplenienie kilkolatka i płacz zupełnie małego dziecka, któremu piastunka monotonnie przyśpiewywała.

Salonik, prócz fortepianu i szafki z nutami — co wreszcie i u najpospolitszego mieszczucha znaleść nie trudno — nie posiadał nic zgoła, co-by wskazy-

wało mieszkanie artysty. Na ścianach wisiały oleodruki i spłowiałe grupy fotograficzne, okna zastawione były gęsto doniczkami z lakiem, pelargonią, i innem pospolitem kwieciem.

Za to posadzka froterowana i w różnych kierunkach chodnikami płóciennymi pokryta, miała szklany prawie połysk: klamki mosiężne u drzwi, antaby u okien i szruby u pieca błyszczały jak złoto; firanki, nakrochmalone i jak blacha sztywne, raziły oślepiającą białością; na sprzętach wreszcie, na fortepianie i na obrazkach nie było ani jednego pyłka kurzawy.

Julia wchodziła do tego domu z sercem gwałtownie bijącem. Teraz, siedząc na miękkim fotelu i wodząc oczyma po wszystkich pospolitościach, jakie ją otaczały, uspokoiła się zupełnie; ale to tak zupełnie, że gdy zaleciał ją zapach prostego mydła, zdała sobie odrazu sprawę z tego, że u państwa Stańków odbywać się musi — pranie. I pomyślała nawet, że w rodzinie tak bardzo licznej, musi to być czynność kłopotliwa i kosztowna.

Wszystko w ogóle wydawało jej się teraz naturalnem. Zrozumieć nie mogła swych poprzednich wzruszeń, obaw i nadziei. Na szczęście, pozbyła się już ich w zupełności. Co prawda, śmiesznem było-by, aby ją wzruszało spotkanie z dawnym

«metrem», osobistością zwyczajną, powszednią, z wielu względów—nawet komiczną.

Co się zaś tyczy owych kompozyj... to niewątpliwie padła ofiarą jakiejś pomyłki. Wprawdzie nie domyśla się jakiej, o istnieniu jej wszakże nie wątpi.

Kto wie także, czy za cenę dedykacyi nie chciano zdobyć celów zgoła praktycznych. Była wówczas córką bogatych rodziców, jedynaczką, hojnie za wszystko płacącą... Matce jej zwrócono wprawdzie 25 rubli,—ale czy zwróconoby dwieście?..

Wszystko to przyprowadzało jej duszę i nerwy do zupełnej równowagi. W głębi serca czuła jakby trochę żalu za poprzedniem wzruszeniem (jak dziwna jest ludzka natura!); nie mogła jednak przekładać pomyłki, choćby nawet przyjemnej, nad jasną i czystą prawdę.

Gdy tak całkowicie uspokojona, brała ze stołu album z fotografiami, dały się słyszeć męzkie kroki.. Ten prosty i spodziewany fakt tak ją przeraził, że upuściła album na dywan i uczuła, że jej serce przestaje bić w piersiach, a twarz pokrywa się śmiertelną bladością...

Wszedł Stańko.

W jednej sekundzie, nie podnosząc wcale oczów, obejrzała go od stóp do głowy.

Był to człowiek młody jeszcze, dość otyły, o

twarzy poważnej, a obejściu się prostem i swobodnem.

Skłonił się w milczeniu i bystrem spojrzeniem objął twarz kobiety. Ona podniosła się z fotelu i również milczała, powtarzając w myśli naprzemiany: «co ja mu powiem?» i «jaką on ma twarz szlachetną!..»

Przez długą chwilę przypatrywali się sobie wzajemnie—wreszcie Stańko zaczął:

— Czy mam zaszczyt...

Zbudziło ją to, i siląc się na ton spokojny, rzekła:

— Moje nazwisko dzisiejsze nic-by panu nie powiedziało. Wolę przedstawić się dawniejszem. Jestem Julia Laskowska.

Stańko nie poruszył się z miejsca i rzekł poważnie:

— Domyśliłem się tego.

Poprosił, żeby usiadła i sam naprzeciw niej miejsce zajął.

— Tyle lat... zaczęła Julia, w ziemię patrząc, i zamilkła.

— Zgaduję bez trudności powód przybycia pani — odezwał się Stańko, głosem swobodnym. Ma pani córeczkę na pensyi i chce pani, żebym ją uczył muzyki...

— Nie, nie zgadłeś pan—zaprzyczyła kobieta.

Stańko milczał.

— Zamiast tworzyć przypuszczenia — podjęła — powiedz mi pan lepiej: jak ci się powodzi, czyś z losu swego zadowolony, czy...

I znów urwała, nie mogąc zapanować nad myślami, które jej mówiły: «Nie, on cię nigdy nie kochał; byłaś mu tylko podnietą do artystycznej twórczości; przypisał ci utwory swoje przez kaprys, i dziś już o przypisaniu tem nie pamięta...»

— Dziękuję pani—odpowiedział Stańko. Wiedzie mi się niezgorzej. Żona moja jest zawołaną gospodynią, dzieciaki chowają mi się zdrowo, na chlebie powszednim nam nie zbywa—czegóż chcieć więcej? Myślę zresztą — dokończył z lekkim uśmiechem — że na świecie są i nieszczęśliwsi odemnie...

— O tak!—potwierdziła kobieta. Ja nawet znam takich.

Znów zapanowało milczenie.

Julia miała nieustannie na pamięci owe utwory, które jej tak niespodzianie wielki talent Stańki objawiły. Czekała niecierpliwie, kiedy rozmowa na ten przedmiot zejdzie. Ona poruszać go pierwsza nie śmiała, przez wstydliwość jakąś i obawę, z których sprawy zdać sobie nie mogła. On znowu zdawał się zupełnie o tej rzeczy nie wiedzieć...

Dręczyła też Julię obawa, że Stańko zechce może przedstawić jej żonę swoją i chwalić się dziećmi. Pokusie tej ulega zwykle każdy filister, a przecież

niejedno wskazywało, że i ten «metr», każący dziś sobie płacić sute honorarya za lekcye, do filistrów należy.

Ale ani tamto lękliwe wyczekiwanie, ani ta obawa niespokojna nie spełniały się.

Stańko nie spostrzegał, czy też udawał, że nie spostrzega niezwykłej sytuacyi, w jakiej się względem siebie znajdowali. Po krótkiem milczeniu, ze swobodą (która mogła świadczyć równie dobrze o wielkiej znajomości życia, jak i o zupełnej jego nieznajomości) rozpoczął rozmowę ogólnikową o rozrywkach warszawskich, o teatrze, o muzyce...

Na wzmiankę o muzyce, Julia zadrżała. Zawiodły ją jednak nadzieje. Stańko mówił o świeżych operach, występach śpiewaczek i koncertach znakomitych mistrzów ze stanowiska nie artysty, lecz — pospolitego nauczyciela muzyki.

W ogóle był powściągliwy w słowach, nad niczem się nie unosił, a sądy jego nie przekraczały miary krytycznej przeciętnego dyletanta.

W Julii obudziła się kobieta światowa. Przywołała na usta uśmiech etykietalny, przybrała twarz w maskę sztucznego ożywienia i odpowiadała paplaniną na paplaninę, pospolitościami na pospolitości...

Jednocześnie czuła, że w sercu jej zbiera się burza. «Gdybyż przynajmniej — myślała — zapytał o przeszłość, o znaczenie sukni żałobnej, o przy-

czynę smutku, który wyziera z jej oczów, uśmiechu, ze wszystkich rysów jej twarzy! Gdybyż przynajmniej mogła wypowiedzieć mu ile przebolała, przez jakie piekło przeszła, w jakich otchłaniach rozpaczy przez lata całe żyła!»

Ale on tych pragnień zupełnie zdawał się nie domyślać. Był wciąż jednakowo swobodny, uprzejmy i—pospolity.

Julii przebiegła przez głowę myśl nagła:

— W tym człowieku wszystko zamarło!...

Jednocześnie z tą myślą uśmiechnęła się najsłodziej jak mogła i wstała, aby się pożegnać.

Nie zatrzymywał jej i z grzecznością obojętną zapytał: jak długo jeszcze zabawi w Warszawie?

— Około tygodnia — odrzekła, i dodała, sama nie wiedząc dla czego to czyni:

— Stoję w hotelu Europejskim...

Powiedziawszy to, uczuła zaraz, że popełniła wielką niestosowność — i pokryła się silnym rumieńcem. Na szczęście, w przedpokoju było ciemno, i wyprowadzający ją Stańko rumieńca tego dojrzeć nie mógł.

Wieczorem, powróciwszy po całodziennej bieganinie do pustego pokoju hotelowego, jęła powtarzać sobie z wielką stanowczością w głosie:

— Ależ ten Stańko jest mi zupełnie, zupełnie, zupełnie obojętny!

Powtarzając zaś to, płakała jak dziecko.

III.

Nazajutrz, w godzinach południowych nie wychodziła z hotelu.

Mówiła do siebie, że nie czeka na nikogo; właściwie jednak czekała na Stańkę.

Ale zamiast Stańki przyszedł list od niego.

W liście były słowa następujące:

«Szanowna pani! Przed trzynastu laty zabiłaś pani we mnie talent i sprawiłaś, żêm z artysty został wyrobnikiem. Odebrawszy mi szczęście, nie odbieraj spokoju, i nie wyrywaj z pod ruiny ostatniego oparcia, które ją broni od rozsypania się w gruzy. Błagam panią o to w imieniu swych dzieci. *J. S.*»

Julia odczytała ten list z suchemi oczyma, i z suchemi oczyma spaliła go przy świecy.

— Spełniło się — rzekła głucho. Los odebrał mi dobrodziejstwo płaczu. Odtąd życie moje upodobni się już całkowicie do jego proroczej «Elegii...»

KRYPTOGAMY.

I.

— Co za ludzie! co za ludzie! — powtarzał w gniewnem rozdrażnieniu Wojnicz, przemierzając szerokimi krokami pokój gościnny. W deskach tej podłogi mieści się więcej czucia, niż w tych tępych, zmysłami tylko żyjących osobnikach! Istne platońskie «dwunogi bezpióre!...»

Wojnicz nie miał wogóle zbyt pochlebnego o rodzaju ludzkim wyobrażenia. Czyniło go to nawet poniekąd mizantropem. Ale mizantropia jego polegała nie na uciekaniu przed ludźmi, lecz na milczącem i obojętnie uprzejmem pogardzaniu nimi.

Nawykły od wczesnej młodości do krytycyzmu, krytykował zarówno innych jak siebie. Rozpatrywał skrupulatnie własne postępki i postępków tych sprężyny, śledził najmniej uświadamiające się popędy instynktów, poddawał się nawet próbom ryzykownym, wykonywając na sobie eksperymenta psychologiczne.

— Byłoby śmieszną pychą—myślał—stawiać siebie po nad innych. Przyroda odlewa wszystkich wedle tegoż samego «typu», skądże więc przypuszczenie, że dla mnie jednego oddzielną przygotowała formę!...

Wynik samobadania przedstawiał się tak:

— Każdy z ludzi nosi w sobie zwierzyniec. Ale w jednych wilki, lisy i małpy bezkarnie broją, kąsając i drapiąc, inni zaś trzymają czworonogi te za mocną kratą. Ci inni stanowią lepszą część społeczeństwa,—która jednak w stosunku do całości tworzy warstwę tak cienką, jak warstwa śmietanki na mleku. Otóż, co do mnie, staram się należeć do tej właśnie maleńkiej, ale wyborowej cząsteczki. I w mojem wewnętrznem *ja* rozlegają się wycia, piski i szczekania— kłom wszakże i pazurom nie pozwalam nigdy wysuwać się za kratę.

Surowy dla siebie, nieubłagany był dla innych. Rzadko komu udało się dostać od niego dobry znaczek; większość przepadała na egzaminie krytycznym z kretesem. Prowadził on rodzaj statystyki dobrych i złych, a wyprowadziwszy z niej średnio-proporcyonalną, twierdził, że «za niska jest ona moralnie, aby warto było dla niej czynić ród ludzki nieśmiertelnym...»

Rodzina Dębskich, wśród której od kilku dni przebywał, nie mogła go była z tego pesymizmu

beznadziejnego wyleczyć. Już to samo, że rodzina ta mieszkała na wsi, on zaś z miasta przybywał, stawiało pomiędzy nimi niewidzialną, a trudną do usunięcia, zaporę. Wojnicz był dzieckiem cywilizacyi zachodniej, która dziś po wielkich miastach niepodzielnie panuje; Dębscy należeli do typowych przedstawicieli polskiej, od wieków na roli osiadłej, szlachty. O zupełną harmonię pomiędzy nim a tamtymi było trudno.

Do właściwości Wojnicza należało i to jeszcze, że w ludziach cenił najwyżej uczciwość. Po niej dopiero dawał miejsce inteligencyi, która znów o tyle tylko miała dlań wartość, o ile była samodzielna. Ludzi, nadzianych erudycyą książkową, a łączących z nią charakter lichy, stawiał niżej od zupełnych prostaków.

Najwięcej znaczyli u niego ludzie zdolni kochać i poświęcać się. Właściwie nawet takich tylko za ludzi prawdziwych uważał. Raz wysławiali przed nim cnoty głośnego filantropa, który ufundował pewną instytucyą dobroczynną.

— Dzieło jego jest wielkie — rzekł Wojnicz — ale on sam jest mały.

— Dlaczego?—spytano.

— Dla tego, że znam go i wiem, że nie zdolny jest nad cudzem nieszczęściem—zapłakać.

Wogólności, podług Wojnicza, nie rozum daje

człowiekowi znamię boskości i od zwierząt go wyróżnia, lecz serce.

Tę to miarę przystosował on do rodziny Dębskich i przyszedł do przekonania, że składa się ona z «bezpiórych dwunogów».

Jak zawsze przy podobnych odkryciach tak i teraz rozdrażniony był i smutny. Choć twierdził stanowczo, że średnia wartość człowieczeństwa nie daje mu prawa do nieśmiertelności, rad-by był jednak bardzo, gdyby kiedykolwiek fakta twierdzeniu temu zaprzeczyły. Porównywał nieustannie cyfrę spotykanych ludzi z cyfrą niby-ludzi, i martwił się widząc stałą przewyżkę po stronie ostatnich.

Co się tyczy rodziny Dębskich tworzyły ją trzy osoby: owdowiały ojciec, syn dorosły i stara ciotka, siostra Dębskiego.

Ideałem ojca była owczarnia, syna — stajnia, ciotki—spiżarnia. Gdy się zeszli, jedno mówiło o wełnie, trykach i maciorach; drugie o pół-krwi, szpacie i zołzach, trzecie, o wędzonej kiełbasie, suszonym groszku i marynowanych rydzach.

Wojnicz, z konieczności słuchający tercetu tego, milczał, tłumiąc ziewanie i irytacyą. Męka jego trwała trzy dni; trwać zaś miała jeszcze drugie tyle, dopóki ukończone nie zostaną interesa.

Nie przywiodło go bowiem pod gontowy dach Dębskich nic innego jak interesa. Interesa te były

powikłane, brały początek jeszcze za życia nieboszczyka ojca i musiano je załatwiać na gruncie.

Wojnicz interesów nie lubił — dla tego głównie, że w nich niskie popędy człowieka najbardziej na jaw wychodzą. Lisy, psy i wilki, przyczajone cicho w innych okolicznościach życia, tu wyszczerzają zęby z bezczelną szczerością.

Ale i przy interesach, nie jednakowo się dzieje. Ludzie lepsi nawet i przy nich umieją trzymać zwierzęcość swą na smyczy. Jedni robią to przez zamiłowanie cnoty, inni przez miłość piękna. Wydzieranie bliźniemu rubla nie jest rzeczą ani szlachetną ani estetyczną.

Dębski do ludzi tych nie należał.

Pod rubasznemi formami człowieka prostodusznego krył się w nim przebiegły chciwiec. Nie byłby on zdolny do ograbienia bliźniego i wyrządzenia mu jawnej krzywdy, ale żaden na świecie wzgląd— nawet honor i współczucie— nie skłoniłyby go do ustąpienia na pół kroku ze zdobytej i obwarowanej prawem pozycyi.

«Przyjaźń przyjaźnią, interes interesem...» «Kochajmy się, jak bracia, liczmy się, jak żydzi...» to były jego ulubione i obowiązujące maksymy. Powtarzał je z uśmiechem dobrodusznym na okrągłych, połyskujących, dwom dobrze wypieczonym bułkom podobnych, policzkach— najczęściej za sto-

łem, przy butelce. Zwykle też mięsista jego dłoń sięgała zaraz po wino i napełniała nim po same brzegi kieliszek «interesanta».

Młody Dębski, ile razy nie mówił o koniach, wpadał w zupełną, duchową odrętwiałość. Wojnicz, zbliżony wiekiem bardziej do syna, niż do ojca, próbował go z niej kilkakrotnie wytrzeźwić, lecz to mu się nie udawało.

Młodzieńca nie zajmował zupełnie świat, w którym są stajnie tylko dla pegazów i gryfów. Zagadnął Wojnicza raz o totalizatora, kiedyindziej o cugowce warszawskich finansistów, a nie otrzymawszy odpowiedzi dość kompetentnej, już więcej do rozmowy nie wracał.

— Panu u nas się nudzi... — rzekł raz, przyłapawszy gościa na głośnem ziewnięciu:— Niech pan jedzie ze mną do Skaryszewa. Ząbawimy się paradnie!

— I cóż w tym Skaryszewie znajdziemy?

— Jakto co? Paradny jarmark na konie!

Wogóle wszystko, co miało związek ze stajnią, wydawało się młodemu Dębskiemu paradnem. Dla Wojnicza jednak on sam był najparadniejszy.

Stara ciotka poczytywała za obowiązek gościnności wykładać Wojniczowi teoryą domowego bielenia płótna, konserwowania jaj i przyrządzania półgęsków. W związku z tem, rozwodziła się szeroko

o ekonomicznem znaczeniu gospodarstwa domowego, które «babskiem» nazywała.

Gość, nie żądając tego, pouczany był o cenie wszelkiej rzeczy gospodarskiej i sposobach najkorzystniejszego jej zbywania.

W każdem opowiadaniu główne miejsce zajmowały: pieniądz, handel, zysk...

Wojnicz nie mógł odnaleźć w tej kobiecie nic kobiecego.

A jednak nie powinna była być ona prostaczką. Należała do zamożnej rodziny obywatelskiej, kończyła pensyą w Warszawie, była niegdyś młodą i, jak się zdaje, piękną... W rozmowach, jakie wiedli, stara panna nie potrąciła nigdy, słowem jednem, o to, co dla ogółu kobiet, najstarszych nawet, ulubiony przedmiot stanowi: o miłość, poezyą, ideały.

Dla tej suchej, zapracowanej, swędem kuchennym nawskroś przejętej kobiety, świat wrażeń serdecznych zdawał się zgoła nie istnieć.

Uprzytomniał sobie to wszystko Wojnicz, chodząc po pokoju gościnnym, dokąd schronił się przed denerwującemi nudami otoczenia. Liczył godziny dzielące go od powrotu do Warszawy i w rozpacz wpadał na myśl, że jest ich jeszcze kilkadziesiąt...

II.

Było już po północy, gdy śpiącego od dwóch godzin Wojnicza zbudził — śpiew.

W pierwszej chwili zdawało mu się, że przeniesiony został na inną planetę, gdzie przyroda, doskonalsza od naszej, stworzyła śpiewające kwiaty, drzewa i kamienie. Wytrzeźwiawszy, poznał bez trudności, że znajduje się jeszcze na ziemi: śpiewowi towarzyszył fortepian.

Ale i to odkrycie nie rozwiało czaru. Śpiew, choć ziemski, był piękny. Piękność jego podnosił urok cichej, błyszczącej gwiazdami i pełnej zapachów, nocy, a także kilkodniowy głód wrażeń, zwiększający rozkosz ich odczuwania.

Dwa głosy męzkie śpiewały pieśń znajomą, choć rzadko słyszaną, która brzmiała przez pół jak modlitwa, przez pół jak hymn. Nic w niej zresztą nie było kunsztownego, nic coby przypominało teatr lub salę koncertową.

Dwór otoczony był dokoła gęstym ogrodem. Po za szaniec drzew tony nie wybiegały, ale odbite odeń płynęły w górę ku gwiazdom i Bogu. Była w tym śpiewie lękliwość pewna, jakby śpiewający obawiali się, aby pieśń po za ogród nie wyszła, i do niepowołanych uszu nie wpadła.

Wojnicz, wsparłszy się na ręku, słuchał. Tony

pieśni do głębi go przejmowały. W sercu jego coś tajało, a coś znowu budziło się i wołało o życie. Był blizki łez.

Gdy pieśń ucichła, zdawało stę, że noc, dotąd głucha, pełna jest szeptów i szmerów. Szmery takie wydawać musi ruń wiosenna, gdy po ciepłym deszczu skorupę ziemi przebija. Liście poruszały się na drzewach, słychać było szum i łopot ptasich skzydeł. Wreszcie i to przycichło i noc, ciepła, gwiazdzista, zapachów pełna, znów niepodzielnie zapanowała nad ziemią.

Wojnicz przetarł oczy. Był że to sen? W chórze rozpoznał głosy Dębskich; czy podobna, żeby te automaty śpiewać, i to jeszcze śpiewać z uczuciem takiem potrafiły? Zaprawdę dziwnie to wszystko na senne marzenie zakrawało.

Nadstawiał uszu, czy jeszcze śpiewu nie dosłyszy — ale głęboka cisza panowała dokoła. Wiatru najlżejszego nie było; liść nawet na drzewie nie zaszeleściał.

Nazajutrz, spotkał się z domownikami przy drugiem śniadaniu. Choć to była godzina wczesna, stary szlachcic zajadał kiełbasę z kapustą i piwo z dużej szklanicy popijał. Syn w butach ze sztylpami kończył z pośpiechem kawę, wyglądając przez okno na osiodłanego wierzchowca. Stara panna

wydawała gospodyni zlecenia, dotyczące drobiu i trzody.

— Tak, to z pewnością był sen... — pomyślał Wojnicz, siadając pomiędzy dwojgiem tych ludzi o pospolitych, bezdusznych twarzach.

— Jakże się spało? — spytał Dębski, ocierając serwetką wąsy, sosem od kiełbasy powalane.

— Dziękuję, dobrze.

Szlachcic hałaśliwie się zaśmiał:

— Jestem szelma podły, jeżeli warszawianin nie politykuje! Przysiągłbym, że mu nasze ryki spać nie dawały.

— Jakie ryki? — rzekł Wojnicz. Słyszałem bardzo piękny śpiew...

Za boki porwał się tamten.

— Ha, ha, ha! A to komplement niespodziewany! Dobrodziej nazywasz to śpiewem? Ha, ha, ha! Wojnicz spojrzał w zakłopotaniu po obecnych, nie wiedząc, co o tem sądzić. Ale nikt nań nie zważał. Młodzian patrzył w okno, uderzając harapem po sztylpach; stara ciotka upominała sługę: — Osypkę sparzyć ukropem... obierzyn wczorajszych dodać...

— Cóż wełna? — zagadnął syn, od okna się odwracając.

Ojciec spoważniał.

— Powiadam ci, chłopcze, rarytna! Biała jak cu-

kier, a miękka, że kiep jedwab'. Szelma podły jestem, jeżeli nie zakasujemy ordynata!

— Owczarnią nie sztuka, ale gdyby tak — stajnią!

Zaświstał przez zęby i wykręcił się napowrót do okna.

— Tak, tak, dobrodzieju — mówił szlachcic do gościa. Ryczeliśmy jak woły na pastwisku. Jedna Kasia coś nie coś na nutach się rozumie, ale ja i Kubuś ani w ząb. Szelma podły jestem, jeżeli moje barany nie muzykalniejsze odemnie!

— Jednakże...

— No, no, już daj pokój z polityką. Ryczeliśmy jak osły — mówię to o sobie i Kubusiu. A wiesz, zkąd się ryczenie nasze wzięło? Miałem jak świt machać na drugi folwark, gdzie tryki myją. Noc teraz krótka, więc myślę: przesiedzę. Siostra otworzyła klepadłó, brzdąka... Dalej-że więc ryczeć, Wybrało się coś najłatwiejszego. Chciałem wypróbować Kubusia...

Nalał sobie dwie szklanice piwa i duszkiem wypił.

— Szelma podły jestem — zawołał, od stołu wstając — jeżeli my sobie nie urządzimy dziś lepszego terceciku z rejentem, po spisaniu aktu! Tykociner mówił, że sprowadził od zięcia z Galicyi rarytnego tokaju...

Reszta dnia zeszła na rachunkach. Stary Dębski okazał się w nich kutym na cztery nogi.

III.

— Skoro to nie był sen, jak sobie zjawisko wytłómaczyć? W śpiewie było wyraźne, niewątpliwe uczucie. Znam się na głosach ludzkich i wiem, które wychodzą z gardła, a które z serca. Te należały najniezawodniej do serdecznych. Ale cóż ludzie ci mają wspólnego z serdecznością? Pospolite, wszystkożerne dwunogi!...

Wojnicz męczył się nad rozwiązaniem zagadki, i w zniecierpliwieniu ścinał laską kwiaty, rosnące przy drodze. Codzienna jego przechadzka po lesie przedłużała się tego dnia po za zwykłą miarę. Miał przed sobą problemat dla innych błahy i obojętny, ale który jego nadczułą uwagę mizantropa draźnił i podniecał.

— Stary Dębski żyje wyłącznie żołądkiem, młody namiętnością do koni, a panna Katarzyna to zwykła pszczoła robocza, której pracowitości nie można nawet brać za cnotę, bo jest — instynktem. Gdzie tu miejsce na serce i na serdeczność? A jednak ten śpiew... ten dziwny śpiew, który mnie do głębi wzruszył?...

Machnął laską — ale już kwiatu na ofiarę nie znalazł.

Była to wilgotna nizina; rosły tu tylko grzyby i paprocie. Rozejrzał się dokoła: nigdzie barwnej korony, nad którąby ulatywały chrząszcze i motyle. Wszędzie zieleń jednostajna, surowa, gdzieniegdzie rdzawymi tonami liści nadwiędłych poplamiona.

— Istnieje wegetacya bez kwiatu; czemuż-by nie mogli istnieć ludzie bez serca? Plan przyrody i w świecie dusz się powtarza...

Schylił się, rozgarnął gęsty pióropusz paproci.

— Tak piękne formy, a tak zimne! Drobny, w trawę wciśniony fijołek, który wonnym kwiatkiem ludziom się zwiastuje, jakąż wyższość ma nad niemi! Co światu po jałowych istnieniach: Nawet nie staną się podścieliskiem dla innych doskonalszych bytów!...

Z giewem jął ścinać wybujałe liście, które nakształt piór z rozbitego szyszaka, ulatywały na prawo i lewo.

Wiele z nich padało stroną odwrotną, ujawniając jakby podszewkę pokrytą szeregami drobnych, brunatnych brodawek.

Brodawki te dojrzał, i w czoło się uderzył...

— Kwiaty!... Prawdziwe, niezaprzeczone kwiaty!... Com wpierw powiedział, było oszczerstwem... Roślin jałowych niema; są tylko — jałowi ludzie!

Wziął jeden liść do ręki; przez chwilę uważnie mu się przyglądał.

— Otóż to ów kwiat paproci, którego tłum szuka w noc świętojańską, wśród dziwów i strachów. Nie jest on wspaniały, ani nawet piękny, ale honor rośliny ocala. A jak misternie przyroda go zamaskowała! jak go dowcipnie ukryła! Długich lat trzeba było, zanim go ludzie odnaleźli...

Postąpił kilka kroków i znów zatrzymał się, myślą nową tknięty.

— Są kryptogamy pośród roślin; czyżby miały być także i wśród ludzi?...

IV.

— Ależ skwar! Chodź pan do mnie, panie Wojnicz. Mam paradny kąt do drzemki. Okno na północ; muchy ani na lekarstwo.

Młody Dębski wychodził właśnie ze stajni, gdzie własnoręcznie wierzchowca swego rozsiodłał, do żłobu przywiązał i owsa mu podsypał.

Wojnicz, przyglądając mu się w pełnem świetle słońca, zrobił szczególne ważne spostrzeżenie. Długi nos, cofnięte czoło, i duże zęby w wystającej szczęce czyniły go podobnym do konia.

— Predestynacya... — pomyślał.

Szlachcic tymczasem, nadając zaproszeniu swemu

formę energiczniejszą, ujął gościa pod ramię i w stronę dworu pociągnął.

Zachwalony pokój znajdował się na pięterku. Mimo dachu gontowego, było tu chłodno, dzięki wielkiej koronie drzewa, nakrywającej jakby parasolem tę część domostwa.

Gdy się wdrapali po spadzistych schodach, Kubuś przystąpił na palcach do drzwi zamkniętych i ucho do nich przyłożył.

Wewnątrz słychać było ciche, żałośne jęczenie.

— Biedactwo! — szepnął. Jak to ją ta maść pali!

Weszli. Pokój przesiąkły był wyziewami skór juchtowych i stajni. Na ścianach wisiały siodła, uzdy, szpicruty, fotogramy koni i psów. W głębi była alkowa, firanką zieloną zakryta. Stamtąd właśnie dobywało się tajemnicze jęczenie.

Kubuś podsunął gościowi krzesło i zaraz poszedł za firankę. Wojnicz sięgnął ciekawie po książkę otwartą, leżącą na stole. Miała tytuł «Służba frontowa.» Rozsypany pomiędzy kartkami tytoń i liczne plamy od stearyny świadczyły, że ją często i pilnie odczytywano.

Prócz tej książki leżały tam jeszcze w nieładzie broszury weterynaryjne, oraz porządnie oprawione dzieło Czapskiego o «Koniu.» Wielki kałamarz żelazny w kształcie podkowy był wewnątrz suchy.

W obsadce mającej formę pejczy tkwiła zardzewiała i ułamana stalówka.

— Panie Wojnicz, zobacz-no pan!

Firanka odsunęła się, i Wojnicz ujrzał: najpierw łóżko żelazne, derką prostą nakryte, następnie położony obok łóżka materac, a wreszcie na materacu — psa.

Kubuś klęczał na ziemi, owiązując psu łapę, pies zaś lizał go po rękach i wpatrywał się weń tym wzrokiem, jakim tylko wdzięczne psy patrzeć umieją.

— Co zą łajdaki! — mówił szlachcic.— Ponieważ pies pogryziony, cisnęli go w rów jak ścierwo. I byłyby go napewno dokończyły wilki albo lisy, gdybym był nie jechał tamtędy. Pomyśl pan co za podłość. Taki paradny, rasowy wyżeł!

— Gdyby był mniej paradny, pewnie-byś się pan nim nie zajął... — wtrącił Wojnicz ironicznie.

— Mylisz się pan. I kundla bym podniósł. Na wiosnę wykurowałem psa owczarskiego, co miał z przeproszeniem parchy. A i to wyżlisko, choć rasowe, na nic się już nie zdało. Bestya lis czy borsuk łapy mu pogryzł i mordę poszarpał; w pole nie pójdzie. Wezmę go na łaskawy chleb, jak tamtych. Mam pięciu takich darmoziadów; z szóstym będzie do pary. Co pan chcesz, taka już pasya!...

Po skończonym opatrunku, pies dostał łyk mik-

stury jakiejś i, oparłszy mordę na łapach, cicho zasnął.

— A teraz — rzekł Kubuś, wskazując gościowi kanapkę z wałkiem i skórzaną poduszką — chrapnij pan sobie. Ja zajdę do kowala; nowy fason podków mu pokażę. Sąsiad jeden przywiózł je wczoraj z Warszawy. Paradne!

Obejrzał się po pokoju.

— Chciałbyś pan pewnie co przeczytać? Ale ja tam nie literat — o książki u mnie trudno...

— Owszem... — odparł Wojnicz, wskazując tom otwarty na stole.

— A! «Służba frontowa». Paradna książka, ale pana nie zajmie. Co ja się nieraz nad nią narozmyślam, nadumam! Nie chwaląc się, i ze mnie jeździec dobry. Potrafię i tak i tak. Wstydu-bym im nie przyniósł... Ech!

Podsunął gościowi pudełko z papierosami i wyszedł.

Wojnicz długo nie mógł zasnąć, rozmyślając nad tem, co widział i słyszał.

V.

Uf! Ciężki to był dzień dla Wojnicza!...

Od chwili, gdy po drugiem śniadaniu (kiełbasa z kapustą występowała na niem obowiązkowo) za-

siadł na trzęsącym kabryolecie obok Dębskiego, stary szlachcic nie odstępował go na jedną chwilę do samego wieczora.

Trudno wypowiedzieć, ile Wojnicz przez te kilkanaście godzin wycierpiał. Towarzystwo «wszystkożernego dwunoga» było mu chwilami tak ciężkiem, że chciał rzucić go i uciekać, wyrzekając się nawet należnych sobie pieniędzy.

Wiedział, że pomiędzy ludźmi zachodzą często znaczne, fizyologiczne i psychiczne, różnice; nie przypuszczał, żeby sięgały one aż tak daleko...

On, uduchowniony, eteryczny, żyjący samemi wrażeniami i samą negacyą, widział najzupełniejsze zaprzeczenie siebie w tym zmateryalizowanym, zadowolonym opasie o grubych zmysłach i pospolitych instynktach.

Kontrast był tak wielki, że wyradzała się zeń fizyczna prawie niechęć. Wojniczowi każdy uścisk ręki Dębskiego— ba, samo otarcie się o jego drelichową, świeżo upraną i mydłem zalatującą marynarkę—były niemiłe. Cóż dopiero rozmowa z nim, wysłuchiwanie jego wykrzykiwanych hałaśliwie dowcipów, i znoszenie poniewierki własnych, tak krańcowo odmiennych, przekonań i ideałów!

Wojnicz przypomniał sobie, jak go kiedyś rozśmieszała hipoteza czyjaś, umieszczająca duszę czło-

wieka w żołądku. Owego dnia patrzył na żywe wcielenie tej hipotezy i— płakać mu się chciało.

Uspokoił się cokolwiek wówczas dopiero, gdy przytłumiwszy w sobie uczucia subjektywne, począł przyglądać się Dębskiemu oczami—badacza.

— Mam przed sobą — myślał — ciekawy okaz. Istota myśląca żołądkiem, a organów czucia i uczucia całkowicie pozbawiona. Okaz wyjątkowo doskonały; grzechem byłoby nie wystudyować go należycie...

Studya rozpoczął w kancelaryi rejenta.

Szlachcic rozwinął tam przedewszystkiem zadziwiającą znajomość przepisów notaryalnych. Znał formę każdego aktu; wiedział co, gdzie, jak i kiedy ma być wpisane i podpisane. Gadał jak prostak, ale rozumiał się na rzeczy jak stary wyga.

Wojnicz po raz pierwszy spotykał się z takim pedantyzmem i z taką chciwością. Pieniędzmi nie gardził, a nawet je szanował, wszelkie jednak nabożeństwo przy sprawach pieniężnych było dlań niepojęte. Więc, choć zwykle nieopatrzny, powiedział sobie:

— Miejmy się na ostrożności. Temu prostakowi podszytemu chciwcem ufać nie można.

Po długich ceregielach, pojawiła się wreszcie na stole gotówka. Dębski, zanim ją oddał Wojniczowi, po kilka razy każdy banknot brał w palce i oglą-

dał. A miał przytem zafrasowaną minę, jakby razem z pieniędzmi duszę oddawał...

Gdy interes ukończyli, Wojnicz wziął rejenta na stronę.

— Ten Dębski—szepnął poufnie—jest albo wielkim biedakiem, albo wielkim kutwą...

Rejent uśmiechnął się.

— Nie zgadłeś pan. Człowiek to zamożny i uczynny.

— A jego postępowanie ze mną?

— Jest takie, że go panu szczerze mogę powinszować.

Po wyjściu od rejenta, męka Wojnicza nie skończyła się. Na programie był jeszcze Tykociner i jego tokaj «rarytny».

Dębski pozbył się miny frasobliwej. Kazał rejentowi ująć się pod jedno ramię, Wojniczowi pod drugie, i tak ich poprowadził do «handelku».

— Orżnąłem warszawiaka — mówił, głośno się śmiejąc — muszę mu teraz za to fundę sprawić!

I była funda. Zasiedli do niej w samo południe, wstali na krótko przed zachodem. Dzięki piątkowi, znalazły się przy winie i ryby po żydowsku i ciasto królewskie i kugiel. Dębski jadł, pił i gadał; rejent tylko pił; Wojniczowi nie było ani do picia, ani do jedzenia, ani do gadania. Cedził wino po kropli i — studyował.

Wynik studyów nie przyniósł nic nowego. Stwierdził tylko dawną opinię:

— Dusza w żołądku...

Zachodziło słońce, gdy trzęsący kabryolet odwoził Wojnicza i Dębskiego do domu. Przejeżdżali przez okolicę płaską, na której gdzieniegdzie sterczały małe wzgórki, niby brodawki. Szlachcic, lekko rozmarzony pokazywał wzgórki te towarzyszowi i mówił:

— Szelma jestem podły, jeżeli tam niema skarbów...

— Przebrzydły chciwiec!... — myślał Wojnicz. — Na jedną chwilę nie pozbywa się myśli o pieniądzach.

Na wielkiej, nieuprawnej przestrzeni, gęsto kamieniami polnymi pokrytej, ujrzeli chłopa, który zdaleka znaki im dawał. Chłop stał na wzgórzu, pośród rozrzuconych głazów, z drągiem żelaznym w ręku. Nieopodal widać było wóz kamieniami wyładowany i wyrostka przy nim.

Dębski zatrzymał konie i z bryczki zeskoczył.

— Znalazłeś? — huknął pełną piersią.

— Znalazłem! — odkrzyknął człowiek na wzgórzu.

Stary szlachcic pobiegł pędem w stronę chłopa.

Po kilku chwilach Wojnicz ujrzał rzecz dziwną: Dębski wracał noga za nogą, niosąc w obu rękach

duży pękaty garnek, gliną oblepiony. Garnek ten przyciskał do piersi z takiem nabożeństwem, jakby to była monstrancya. Za Dębskim postępował ostrożnie chłop, niosąc takiż sam garnek i mając w twarzy takąż samą solenność.

Siedli obydwa na bryczkę, garnków swych z rąk nie wypuszczając.

Szlachcic jowjalności pozbył się; poważny był i milczący.

— Skarb? — spytał ciekawie Wojnicz.

— Skarb, dobrodzieju. Rzadki, drogocenny skarb: łzawnice...

— A! — zawołał zadziwiony Wojnicz.

Powodem jego zadziwienia były nie tyle słowa towarzysza, co głos, jakim je wypowiedziano. W głosie tym była rzecz nadzwyczajna, nieprzewidziana i nieoczekiwana: wzruszenie.

— Skutek trunków rarytnych... — pomyślał złośliwie.

Do domu dojechali w milczeniu.

Urny z nadzwyczajną ostrożnością przeniesione zostały do pokoju samego pana. Znajdował się on za tak zwaną «kancelaryą», na załatwianie interesów przeznaczoną. Wojnicz nigdy jeszcze w pokoju tym nie był, a i domowników rzadko tam wpuszczano.

Po wieczerzy, spożytej z takim apetytem, jakby

Tykociner, jego ryby i jego ciasta na świecie nie istniały, Dębski otarł wąsy i rzekł do Wojnicza:

— Pytałeś, warszawiaku, o skarby. Chodź, to ci je pokażę. Kasiu, każ zanieść lampę do «kapliczki».

W «kapliczce» Wojnicz znalazł ze zdziwieniem jakby małe muzeum.

Mnóstwo tam było wszelkiego rodzaju wykopalisk i innych zabytków. Toporki krzemienne, urny, bronzowe i szklane naszyjniki, zbroje, koszulki druciane, numizmaty i t. p. napełniały oszklone szafy z białego, sosnowego drzewa.

Pod jedną ze ścian, na drewnianym koniu siedział manekin w pełnem uzbrojeniu, w szyszaku z zapuszczoną przyłbicą, z wielkiemi u ramion skrzydłami.

Dębski postawił urny na stole i przyglądał im się długo w milczeniu. O gościu prawie zapomniał. A i Wojnicz milczał, dziwnemi uczuciami przejęty.

W izbie panowała cisza. Swierszcze tylko po kątach cykały, i szumiał dąb wiekowy za oknem.

Nagle Wojnicz ujrzał rzecz niepodobną do wiary...

Stary szlachcic, napatrzywszy się swym urnom do syta, pochylił się nad jedną i nabożnie ją pocałował. Potem zaś dłonie po oczach przesunął, jak człowiek, który ociera nieznacznie — łzę.

— Co to znaczy? — pomyślał warszawiak. — Czyżby wpływ Tykocinera aż tu sięgał?...

Przy pokazywaniu zbiorów Dębski stąpał na palcach i mówił głosem przyciszonym. Nie dowcipkował, nie klął, śmiechem prostackim nie wybuchał. Zdawało się, że swą skórę codzienną za progiem «kapliczki» zostawił.

Prócz specyalnych objaśnień Wojnicz słyszał co chwila uwagi dodatkowe.

Przy bałwanku kamiennym, otłuczonym i szpetnym Dębski rzekł:

Brzydki!—a jednak nie brak dziś takich, co brzydszym się kłaniają!

Łzawnice rozrzewniły go. Rozpowiadał szeroko: zkąd i przez kogo każda została dobyta. Opisywał urządzenie cmentarzy pogańskich, mówił o obrządkach pogrzebowych, unosił się (on: «dwunóg wszystkożerny»!) nad poetycznością starych legend i starych pieśni...

Trudno było Wojniczowi poznać w tym rozczulonym, deklamującym starcu rubachę, który dotąd tylko tłuste dykteryjki przy kieliszku rozpowiadać umiał. Zdawało mu się, że patrzy na jakieś cudowne odczarowanie centaura czy wilkołaka...

Gdy opuszczali «kapliczkę», nie mógł wstrzymać się od powiedzenia:

— A to mi pan niespodziankę sprawił! Ani mi przez głowę nie przeszło, że mam do czynienia z tak znakomitym archeologiem...

Dębski roześmiał się głośno (byli już za progiem) i rzekł:

— Szelma podły jestem, jeżeli warszawiak ze mnie nie pokpiwa! Prawda, że się na starych rzeczach coś nie coś znam, ale taki ja archeolog jak i dobrodziej.

I, spoważniawszy, dodał:

— Nie, dobrodzieju! Ja tych skorup i tych blach nie traktuję jak archeolog. Ja dla nich... to jest w nich... to jest, jakby to powiedzieć?... Ech!

Skończył takim samym wykrzyknikiem i takiem samem machnięciem ręki, jak syn...

VI.

Nazajutrz Wojnicz miał wyjechać.

W nocy po zapakowaniu rzeczy, przechadzał się swoim zwyczajem po pokoju, paląc papierosa i rozmyślając. Doznane w ciągu dnia wrażenia przetrawiał, porządkował i krytycznie rozpatrywał.

Rachunek ostatnich dwóch dni dziwnie był zawikłany. Dawniejsze obliczenia z gruntu zmieniał i wywracał. Straty okazywały się w nim zyskami, ilości ujemne ilościami dodatniemi.

Wojnicz palił papierosa po papierosie, wyrzucając niedopałki przez okno. Od chwili do chwili stawał i słuch wytężał. Czekał, czy utajona w automatach dusza znów mu się nie objawi przez śpiew...

Na dole brzękło otwierane okno. Drgnął i nadstawił ucha.

W ciszy nocnej zabrzmiał nosowo głos panny Katarzyny:

— Wichrowatemu zielska nie dawać: wziąć go na same kartofle! Maciorze podściołkę poprawić. Jagna, jak świt, niech koszule ze sznura zdejmie i na wałku przeciągnie. A Maciej ma skoczyć do Chaima po cielęcinę i cynadry!

Zatrzasnął z gniewem okno.

— Można domacać się uczucia—mruknął—w koniu i wole, ale nigdy—w gęsi!...

VII.

Razem z Wojniczem jechał do Warszawy i rządca Dębskich.

Bryczkę, odwożącą ich na kolej, przeciążały mniejsze i większe pakunki. Były tam i tłomoki i zawinięcia sznurkami umocowane i worki. Jechali, jak na jarmark, albo z jarmarku.

Rządca był człowiek niespokojny, prędki i ga-

datliwy. Na siedzeniu kręcił się, podskakiwał, miał przytem zwyczaj ramionami podrzucać i spluwać.

— Cóż, kontent pan? — zaczepił obcesowo towarzysza, ledwie z miejsca ruszyli.

— Z czego? — spytał zdziwiony Wojnicz.

— Z czegóżby? z interesu...

Wojnicz odmruknął coś, nierad z obcymi o sprawach swych rozmawiać.

Tamten niezrażony ciągnął:

— Bo to interes, z przeproszeniem całkiem był głupi. Mówił mi pisarz od rejenta, że nie dałby za niego i rubla. Kto inny zatachlowałby i pan-by wyszedł z kwitkiem. Ale nasz stary... phi!...

Są różne «phi», to jednak wyrażało — uwielbienie.

— Co to pan wieziesz w tych tłomokach i workach?— zagadnął Wojnicz, rozmowę na inny przedmiot sprowadzając.

Rządca ramionami podrzucił.

— Różne różności, panie. Jest tam i pościel i bielizna czysta, i pierze, i sery, i wędliny. Bóg wie, czego tam niema! A czy pan wie, od kogo to wszystko?

Wojnicz ruchem głowy zaprzeczył.

— Od panny Katarzyny. A czy pan wie dla kogo?

Nowe zaprzeczenie.

— Dla — akademika.

O akademiku Wojnicz słyszał po raz pierwszy.

— Krewny pewnie? — bąknął.

Rządca wykręcił się i podskoczył...

— Jaki tam krewny... Wychowaniec!

— To panna Katarzyna ma wychowańca?

— Phi!... Od ilu już lat!

— I to dla niego to wszystko?

Rządca uderzył dłonią po kieszeni.

— I pięćdziesiąt rubli gotówką, panie!

Wojnicz zamyślił się. Tamten, raz jeszcze podrzuciwszy się na siedzeniu, ciągnął:

— Za te szynki, sery, konfitury itd. zbierze się drugie pięćdziesiąt, to będzie razem sto. Bodaj to być gagatkiem starej panny! A jaka to łebska pannica! jak ona to wszystko wykalkulowała! Brata na grosz jeden nie uskubnie, ale ma własne, babskie gospodarstwo. Co zarobi na ogrodzie, na kurach, na kaczkach, gęsiach, to idzie dla wychowańca. Ale najwięcej to ma z trzody. Onegdaj sprzedała do miasteczka dwa wieprze jak hamany...

— Cóż to za akademik?

— Phi!... to cała historya.

Wojnicz uszu nadstawił.

Tamten odchrząknął, splunął, i, nieproszony zabrał się do gadania.

— Panna Katarzyna, wiadomo, nie zawsze była stara. Podobno nawet i nie zawsze brzydka. Trudno temu uwierzyć, a jednakże tak było. I musiało tak być, boć inaczej nie zakochałby się w niej jakiś (niech z Bogiem spoczywa) sowizdrzał. Tylko że podobno ona bardziej kochała jego, niż on ją. Jak było, tak było, dosyć że się - sobą zaręczyli. Pierścionki już były i wyprawa była — ba! nawet gości na wesele sprosili. Tymczasem co się robi? Panicz jak pojechał do Warszawy po meble, poznał jedną wdówkę bogatą. A trzeba panu wiedzieć, że panna Katarzyna bogata nie była. Więc jak zaczął liczyć, kalkulować, tak skończyło się na tem, że się z wdówką ożenił. No, i panna Katarzyna została na koszu...

— Ale zkądże się wziął akademik?

Rządca podskoczył tak gwałtownie, że mało z bryczki nie spadł.

— Jakto skąd? Przecie to rodzony syn tamtego odmieńca i wdowy onej.

— Dlaczegoż wychowuje go panna Katarzyna?

— A któż go ma wychowywać, kiedy rodzice pomarli?

— Przecie wdowa była bogata?

— To i cóż. Puścił on jej bogactwo, że nawet pochować go za co nie było...

Wjechali w las. Słońca tu było mało. Na gruncie wilgotnym rosły gęsto paprocie, chwiejąc zielonymi piórupuszami.

— Kryptogamy!...—szepnął do siebie Wojnicz.— I tu i tam kryptogamy!...

NIEWDZIĘCZNA.

— Nie! nie warto być na tym świecie człowiekiem szlachetnym!

Zdanie takie wygłosił mężczyzna niemłody, w którym to przedewszystkiem uderzało, że zamiast «szlachetnym» wymawiał «ślahetnym». Mężczyzna ten siedział na żółtym, jesionowym fotelu, przed żółtem, jesionowem biurkiem, w pokoju, którego ściany wyklejone były tapetą koloru żółtego o rysunku naśladującym jesion. Twarz mężczyzny była również żółtawa i pokreskowana drobniutkiemi zmarszczkami, jak skórka na pieczonem jabłku; co się zaś tyczy wachlarzowatej, ciemno-blond brody, zbyt ona była ciemna i zbyt blond, aby nie odgadywało się, że pod zwierzchnią jej powłoką kryje się włos, jeżeli nie biały, to—żółty.

— Nie warto!...—powtórzył raz jeszcze—i wstał, aby piszczącemu w klatce kanarkowi nalać świeżej wody do kubka. W tym pokoju bowiem, będącym kantorem fabryki, wisiała klatka z kanarkiem i stały na oknie kwiatki w doniczkach. Prócz tego, na zewnętrznej stronie drzwi naklejony tam był obra-

zek Matki Boskiej Częstochowskiej, na szafce zaś jesionowej, stojącej za fotelem, klęczały dwa gipsowe aniołki, wyciągające błogosławiące dłonie nad głową gospodarza.

Istna to była idylla, zniewalająca do uwagi:

— Poczciwa jakaś dusza tu mieszka — nabożna i serdeczna...

— Otóż, com chciał mówić—ciągnął mężczyzna z brodą, wracając na fotel — czy znałeś pan nieboszczyka Ślaskiego?

— Trochę...—odrzekł gość, kręcąc się niespokojnie na stołku, niezbyt widocznie rad wynurzeniom gospodarza.

— Krótko powiem: Ślaski był moim najlepszym i najszczerszym przyjacielem. Razem zaczęliśmy «praktykę» i razem ją skończyliśmy. Było między nami zawsze tak: co moje—to twoje, co twoje—to moje. Jak pan wiesz, było mi z początku ciężko. Ślaski zaś dostał po ojcu gotówkę. Ile razy potrzeba przycisnęła, szło się do Ślasia, jak w dym... Dawał, zawsze dawał, na prosty kwitek dawał — nawet bez procentu, jak Boga kocham! Raz powiada: na co między nami kwitki?... weź, kiedy daję, a jak będziesz miał, to oddasz... Ale ja na to nie pozwoliłem; u mnie porządek to grunt. Na każdziuteńki grosz, com pożyczył, wystawiałem Ślaskiemu rewers formalny.

— I oddałeś pan wszystko? — wtrącił gość obojętnie.

— Czyż potrzeba o to pytać?... Chwała Bogu, znasz mnie pan i znają mnie ludzie. Spłaciłem co do kopiejki wszystkie rewersy, jakie mi przedstawiono. Tylko, że dużo ich zaginęło...

— I na cóż to się Ślaskiemu zmarło?

— Licho wie. Ze zgryzot podobno. Bo wiodło mu się nie tęgo; można nawet powiedzieć, że mu się wcale nie wiodło. Co wziął po ojcu, stracił; potem musiał pożyczać na wysokie, na bardzo wysokie procenta. Przyszły lata ciężkie, fabryka nie szła i zjadły go procenta lichwiarskie... Szkoda człowieczyska! Poczciwy był z kościami, najzacniejszy, najszlachetniejszy, najmilszy—ale...

— Miał jakąś wadę?

— I to wielką. Brakowało mu tego...

Mówiący stuknął palcem w koniec swego organu powonienia. Miał zaś organ ten pysznie rozwinięty. Grzbietowa jego linia przedstawiała powierzchnię falującą, jak morze wzburzone. Na pagórku najwyższym siedziały dumnie binokle, na niższych, niczem nie zajętych, porastały drobne, rzadkie włoski. Kończył się zaś on wydłużeniem zaostrzonem i giętkiem, dzięki któremu zdawał się chwytliwym, jak trąba słonia.

— Do interesu, widzisz pan — objaśniał — ko-

nieczne są dwie rzeczy: honor (wyraz ten wymówił przez *ch*) i. . . nos.

Wybuchnął głośnym, krzykliwym śmiechem, rad własnemu dowcipowi; potem ciągnął spokojniej:

— Ślaski (niech z Bogiem spoczywa!) nie miał do niczego nosa. Nigdy nie wiedział, zkąd wiatr wieje. Inni mieli mało roboty, a dużo zarabiali, on roboty miał dużo i tracił. Albo to jego ożenienie?... Słyszałeś pan o niem?. . .

— Nie, nie słyszałem.

— Każdy z nas, jeżeli się żeni, to po to, żeby sobie los poprawić. Małżeństwo, wiadomo, nie romans. I Ślaski mógł był zrobić partyę przyzwoitą. Chłop był niczego, przytem fabrykant, z firmą wyrobioną i nie bez grosza. Ale on postąpił sobie jak waryat. . . Zadurzył się w jakiejś pannicy ubogiej i, pomimo perswazyi przyjaciół, wziął ją za żonę. Panna nie miała ani szeląga. Słyszysz pan: a—ni—sze—lą—ga. . .

Głową pokiwał, niby z politowaniem, niby z trwogą.

— Nawet nie wiem, czy jej dano wyprawę przyzwoitą!. . .—jęknął głosem zupełnie złamanym.

— Zapewne była przystojna?—wtrącił gość, myśląc o czem innem.

— Przystojna, pan mówisz? Powiedz pan śliczna! Piękność, panie, całą gębą! Ananas, mówię panu,

nie kobieta. Wysoka, wspaniała, włos czarny, oko czarne, usta jak wiśnie i ciemny meszek nad ustami. Przytem, panie, co za kształty!... Ja się znam na tem... Suknia każda leżała na niej jak oblepiona: nigdzie fałdki najmniejszej. Ciało białe, pulchne, gładkie... Kobieta, panie, jak klusek... «Przerastała» jak to mówią...

W tem miejscu opowiadania, na żółtą twarz brodacza wystąpił rumieniec. Małe oczki zaiskrzyły mu się jak u kota, a drgający koniec nosa zdawał się skręcać i rozkręcać, nakształt trąby słonia, po łup wyciągniętej...

— Ja się znam na tem!—powtórzył raz jeszcze, i zaśmiał się swym głośnym, wybuchliwym, do spazmów podobnym śmiechem.

— Więc ów Ślaski?...—zagadnął gość, któremu śpieszno było do końca.

— Owemu Ślaskiemu, proszę pana, powiedziałem raz tak: «Słuchaj, chłopie, żebyś ty miał taki nos do interesów, jak do kobiet, jużbyś był dotąd właścicielem czteropiętrowej kamienicy i folwarku!»... Ale to inna kategorya, a tamto inna. Ślasio miał żonkę rarytną, fabryka jednak szła mu kulawo. Przytem dostał jakiegoś defektu w wątrobie, czy w sercu, Bóg raczy wiedzieć... Sechł, panie, w oczach, jak wiór... Dłużnicy płacić nie chcieli, a wierzyciele położyli areszt na maszynach. Nie

widywaliśmy się w ostatnich czasach wcale, wszystkiem mi jednak ludzie donosili. Nareszcie zlicytowano go i fabryka stanęła.

— I to już koniec?

— Co znowu! To właściwie początek dopiero. Jednego dnia chłopiec jakiś obdarty przynosi mi ćwiartkę papieru złożoną we czworo i zabazgraną ołówkiem. Czytam: «Kochany Antku! Jestem w szpitalu. Niewiele mi się już należy. Zaklinam cię na naszą przyjaźń dawną, nie odmów mej prośbie i przybądź zaraz. Bóg ci to wynagrodzi.» Podpisano: Ślaski. Jak mnie pan znasz, miękkie mam serce; więc bez namysłu: kapelusz na głowę, kij w rękę i jazda do szpitala. Mój Ślaski leży jak nędzarz i ręce do mnie wyciąga, jak do świętego. Żona obok, z chustką przy oczach, śliczna jak zawsze, choć bledsza trochę i szczuplejsza. Litość mnie zdjęła. «Ślaski!—mówię—pewnie jesteś w potrzebie. Jeśli się który z tamtych rewersów znalazł, gotów jestem zaraz zapłacić...» «Gdzietam! — odpowiada niewyraźnie—wszystkie przepadły. Ale nie o to już teraz chodzi. Dni moje policzone. Dziś, jutro, umrę i żonę zostawię sierotą. Nie mam nikogo z bliskich, aby mu opiekę nad nią powierzyć. Przytem interesa moje zawikłane. Trzeba upominać się, dochodzić, procesować. Czyż ona biedaczka da sobie z tem radę!...» Przy tych słowach żonę przyciąga

i całuje w czoło. Ona cmokcze go po rękach, i oboje płaczą. Mnie samemu na płacz się zbierało, ale myślę sobie: «Do czego to zamierza?» Tymczasem Ślaski uspokoił się. Siada raptem na łóżku i głosem jak z ambony mówi do mnie: «Antosiu! przyjacielu! na siedm ran Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa zaklinam ciebie: stań się opiekunem żony mojej i nie daj jej zmarnieć między ludźmi! Z tamtego świata błogosławić ci będę! Nagrodę ci u Boga uproszę!» Powiedziawszy to na pościel pada, bez siły. Patrzę: oczy zamknął, twarz blada jak płótno, prawie nie oddycha... Myślałem, że już po nim. Ale ocknął się po chwili. Z pod poduszki papiery jakieś wyciąga i oddaje mi, nic nie mówiąc. Wziąłem papiery i chciałem odejść. Dał mi znak, aby się zbliżyć. Przystąpiłem, a on mi szepcze do ucha: «Przysięgnij...» Cóż miałem robić. Przysiągłem.

W tem miejscu twarz mówiącego wyciągnęła się i zafrasowała. Wspomnienie nie musiało być przyjemne.

— No, i rozumie się, przysięgi pan dotrzymałeś?—zapytał gość.

— Święcie. Ślaski tej samej nocy umarł. Zająłem się przedewszystkiem pogrzebem, na który gotówka się znalazła. Potem wziąłem się do rozpatrzenia pa-

pierów. W głowie mi się od nich zakręciło. Jak żyję, nie widziałem takiego nieładu w interesach. Kilka procesów rozpoczętych, a niepopieranych, weksle podstępnych, ukrywających fundusze bankrutów, rachunki kupców, prolongowane dla zyskania na czasie i t. p. Odrazu zmiarkowałem, że się da z tego coś wycisnąć, ale praca czekała okrutna. Pan wiesz, jacy to ludzie skorzy do płacenia starych długów. Ujadać się, po sądach włóczyć, komorników posyłać, średnia to przyjemność, ale cóż, przysięga to nie zabawka. Czego to zresztą człowiek nie zrobi dla przyjaźni!

— A cóż wdowa?

— Z początku nic, tylko płakała i płakała. Ja pytam: «nie pamięta pani, jaki termin tej sprawy?» albo: «jacy byli świadkowie przy zawieraniu tamtej umowy?», a ona: «Nic nie pamiętam, nic nie chcę, dajcie mi pokój, umrzeć pozwólcie!...» Już mi się w końcu te lamenta sprzykrzyły. Raz mówię do niej: «Co pani zamierza robić? czy ma pani pojęcie o stanie interesów nieboszczyka?» Oprzytomniło ją to trochę. «Wiem—odpowiada—że z dawnych należności da się coś nie coś odebrać. Jeśli mi pan pomoże do odzyskania choćby niewielkiej sumki, już go osobą swoją trudzić nie będę. Mało mi potrzeba, a pracy się nie lękam. Byle tylko ręce o co zaczepić...», «I pani dasz sobie radę bez męskiej

opieki?...» «Najzupełniej». Harda—myślę sobie—i «frajerka». Trochę mnie to ostudziło, ale przyjaźń rzecz święta i wszystko się dla niej zniesie. Zamieszkała moja Ślaska u dalekich krewnych i żyła przez kilka miesięcy jak nędzarka. Z miasta robotę jakąś brała, ale co to znaczy. Niewiele też robiła, bo dzień w dzień na cmentarzu, dzień w dzień w kościele. Kilka razy dałem jej do zrozumienia, że mogę zaliczyć coś na rachunek spodziewanych wpływów. Nawet nie odpowiedziała...

— Jakiż był rezultat procesów?

— Panie! buty przy nich zdarłem, nogi zerwałem, gardło przekrzyczałem, nabawiłem się początków suchot i żółtaczki! Alem po półrocznem harowaniu, postawił na swojem. Stąd i zowąd, zebrało się dla wdowy kilkaset rubli. Nie zaniosłem jej jednak gotówki. Kiedy ma być opieka—powiedziałem sobie — niechże będzie opieka. Na Starem Mieście był do odstąpienia sklepik wiktuałów, a przy sklepiku pokój z kuchenką. Targowałem się jak żyd o jedno i o drugie, wreszcie sklepik kupiłem i pokój wynająłem. Idę do Ślaskiej i mówię o tem, aż tu moja wielka księżna odyma się i sceny robi. «A po co to! a na co to! a to wcale niepotrzebne! a jabym sobie sama dała radę!»—i tak dalej, i tak dalej. Już mi się zaczęło zbierać na gniew. Wspomniałem jednak na przysięgę i milczałem.

Uspokoiła się też powoli i pani Ślaska na Stare Miasto się przeniosła.

— Wszystko się zatem szczęśliwie zakończyło— rzekł gość z westchnieniem ulgi, sięgając po kapelusz.

— Ale! — wskrzyknął gospodarz z goryczą. Posłuchaj no pan tylko. Ślaska się przeniosła i dobrze na tem wyszła. Na własnych śmieciach i na lepszym wikcie odgryzła się i wydobrzała. Mniej już teraz było płaczu i modlitwy. Nabrała też wkrótce kobieta tuszy i rumieńca. Mówię panu, że zrobiła się śliczniejsza jeszcze, niż dawniej. Rozumie się, żem opiekę święcie wypełniał, choć ona mówiła, że to zbyteczne. Babskie ceregiele, rozumie pan. Ona tak mówi, a ja dzień w dzień jestem na Starem Mieście, rachunki przeglądam, daję rady, uczę... Zaniedbałem nawet trochę dom i moja baba kilka razy głowę mi zmyła. Ale czego człowiek nie poświęci dla przyjaźni! Widząc Ślaską porządnie odzianą i sytą, mówię nieraz: «A co, dobrze mieć opiekuna i przyjaciela?...» Ona na to ani słowa. Więc ja znowu: «Bezemnie, możebyś już pani do tej pory zmarniała!...» Milczy, tylko się czerwieni i czarnemi oczami błyska jak cyganka. Gryzła mnie ta jej obojętność,— bo przecie każdy człowiek za swe dobro chciałby zapłaty...

Słowo «zapłata» rozdrażniło mówiącego. Porwał

się z fotelu i stanął na środku pokoju, z nosem drgającym, z brodą rozwichrzoną...

— Ach gadzina! — syknął głosem ironii pełnym i nienawiści. — Zapłaciła mi ona za moją szlachetność, zapłaciła!

I jął biegać po pokoju jak furyat, za brodę się szarpiąc i zębami zgrzytając.

— Co się stało?—spytał gość zaniepokojony.

Zatrzymał się, ręce skrzyżował i pochylając się naprzód zaczął głosem, od wzruszenia zachrypniętym.

— Wyobraź pan sobie...

Urwał, jakby mu słowa w gardle uwięzły.

— Cóż takiego?—podjął gość.

— Wyobraź pan sobie... w kilka miesięcy potem... dowiedziałem się, że...

— Że co?

— Że ta nędzarka, która odemnie tyle łaski doznała...

— Wiem już o tem—ale co?...

— Ta żona mego najlepszego przyjaciela...

— Mówże pan prędzej.

— Ta kobieta, dla której zaniedbywałem własną żonę, własne dzieci i własną fabrykę...

Zatrzymał się dla nabrania tchu, i dokończył z wściekłością.

— Dowiedziałem się, że ta nędznica — romansuje... z innym!

Upadł ciężko na fotel, a przez zaciśnięte zęby wybiegły mu raz jeszcze słowa:

— Nie! nie warto być na tym świecie człowiekiem «ślahetnym!»...

OBOWIĄZEK.

Na wszystkie pytania, uwagi, pochwały i ubolewania, Mirska miała jedną odpowiedź:

— Obowiązek...

Wychowano ją w bezgranicznem poszanowaniu dwóch rzeczy nietykalnych: religii i honoru. Nie uchybiła też nigdy w życiu ani jednej, ani drugiej.

Małżeństwo jej było tak zwaną «złą partyą». Wyszła za człowieka niezamożnego, zachwianego w interesach, który większą część posagu obrócił na spłacenie osobistych długów. Doświadczyła kłopotów, zaznała niedostatku, z poza kwiatów młodości zbyt rychło wychyliło się do niej szpetne oblicze życia nieszczęśliwego — mimo to czuła się w małżeństwie szczęśliwą.

Te kilka lat, które przeżyła z Mirskim w małym, skąpo opłacającym się, ale pięknym, jak obrazek, folwarczku, zbiegły jej, jak sen rozkoszny. Budziła ją z tego snu rzeczywistość, nigdy jednak całkowicie zbudzić nie mogła.

Dziwiono się temu, dziwiła się zwłaszcza rodzina, widząca w małżeństwie jej powód do wszystkiego,

byle nie do uciechy—tymczasem nic w tem wszystkiem dziwnego nie było. Mirska kochała męża — oto wytłómaczenie zagadki.

Kochała męża dla dwóch ważnych powodów: najpierw, że to był pierwszy mężczyzna, który jej słowo «kocham» powiedział, następnie, że w miłość jego uwierzyła. Dla kobiet dobrych wystarcza być kochanemi, aby pokochać. Wystarcza, rozumie się, raz jeden w życiu, czyli: raz jeden na całe życie.

Mirski żonę ubóstwiał. Był dla niej owym kochankiem romantycznym, o jakim, krócej lub dłużej, marzą wszystkie panny na wydaniu. To też z tą samą gotowością, z jaką poświęciła dla niego posag swój, klejnoty, zamiłowanie w dobrobycie i całą materyalną stronę istnienia, oddałaby mu też, gdyby zażądał, i—życie.

W Górce, odłużonej, zasekwestrowanej i często atakami wierzycieli niepokojonej, było jej dobrze, jak w niebie. Prócz miłości znalazła tam przyjaźń, miała więc dwa skarby najcenniejsze, jakie na tym świecie spotkać można. Przyjaciółka, choć wiekowo latami starsza, umiała jednak tak dobrze dostroić się do niej, że w myślach i uczuciach tworzyły jedność.

Traf zdarzył, że mąż i przyjaciółka bliźniacze imiona nosili. Jemu było Karol, jej Karolina. Do

jednego i do drugiego Mirska mawiała «Karolciu.» Zespolili się oni w jej sercu, gdzie mieli dwa miejsca, różne, ale bliskie siebie.

Karolina pojawiła się w Górce w rok po ożenieniu się Mirskiego. Przybyła z mężem, znacznie starszym od siebie, schorowanym i niedołężnym. Małżeństwo nabyło od Mirskich kawałek gruntu z domem i ogrodem i przetworzyło zacisze to na rodzaj willi spokojnej i wygodnej. Stary mąż, profesor-emeryt, wygrzewał się na słońcu i pokasłując, czytał klasyków; młoda żona hodowała kwiaty, grywała na fortepianie i od czasu do czasu biegła do Mirskiej na pogadankę serdeczną.

Ogrody ich dotykały do siebie, ale ze sobą się nie łączyły. Aby dostać się od dworku do dworku trzeba było robić spory kawał drogi, przebywać część piasczystego gościńca i długą aleję topolową.

Mirska występowała kilkakrotnie z projektem, aby wybić przejście w murze, przedzielającym dwa ogrody. Projektowi temu oparli się stanowczo i Mirski i Karolina.

— Robię to w interesie swego staruszka — mówiła ostatnia. — Przy tak łatwej komunikacyi, częściej, niż dotąd, bywałby samotny.

— A ja — kończył z uśmiechem Mirski — mam na uwadze interes własny. Furtką w murze uciekała-by odemnie żona...

Pozostało więc wszystko po dawnemu.

Tymczasem na Górkę spadła niespodziana katastrofa: Mirski dostał pomieszania zmysłów.

Nie przyszło to odrazu; nie wybuchło jako atak furyi, ale objawiło się stopniowem, powolnem i w początkach nawet niedostrzegalnem tępieniem władz umysłowych. Mirska najpóźniej to spostrzegła, i to wówczas dopiero, gdy lekarz, w innej sprawie wezwany, oczy jej otworzył...

Skamieniała na chwilę, ale potem zaraz wróciła jej moc, jaką miłość daje.

— Czy jest nadzieja wyleczenia?—zapytała.

— Pewności niema; nadzieja zawsze być może.

— Co robić?

— Zawieźć chorego do Warszawy i zasięgnąć rady specyalistów.

Zgromadziła, ile mogła, pieniędzy i pojechała.

Zaczęły się odtąd dla niej dni ciężkie.

Zamknięta z chorym mężem w dwóch ciasnych, biednych pokoikach, przez długie miesiące wiodła żywot siostry miłosierdzia i męczennicy. Górka, zwłaszcza dozoru gospodarczego pozbawiona, dawała nader szczupłe dochody, kuracya zaś kosztowała drogo i ciągnęła się bez końca.

Najłatwiej było umieścić chorego w szpitalu pod cudzą opieką, a samej wieść życie spokojne, Mirska jednak mówić sobie o tem nie dawała.

Namawiający (w pierwszym rzędzie ich stała matka) za każdym razem słyszeli z ust jej jedno stanowcze słowo:

— Obowiązek...

Słowo to zresztą było tylko pokrywką innego, którego wstydliwość kobieca wymówić jej nie pozwalała, a które brzmiało:

— Miłość...

Jest to słowo cudowne, z którego wysnuć się daje wszystko: i religia, i honor, i ofiarność, i bohaterstwo.

Mirska w samej rzeczy bohaterką się stała. Upór odsunął od niej rodzinę, smutek odstręczył znajomych; pozostała sama, jak zwykle bywa w nieszczęściu. Jedna Karolina nie zawiodła jej, ale pomoc przyjaciółki ograniczyła się na pisaniu listów,— które zresztą z każdym miesiącem stawały się rzadsze i krótsze.

A tu trzeba było nieustannie pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy! Mirska sprzedała na pniu zboże, zaciągnęła pożyczkę na przyszłoroczne plony, pozbyła się najpiękniejszych sztuk inwentarza — opasała się laokonowymi wężami długów i zobowiązań. Potem przyszła kolej na sprzęty drogocenniejsze: na fortepian, duże zwierciadła z salonu, piękną lampę wiszącą i t. d. Z klejnotów pozostała już jej tylko

ślubna obrączka, a i tę przygotowana była lada dzień zanieść do lombardu...

Za to Karolciowi na niczem nie zbywało. Trzech najlepszych lekarzy miało go w ciągłej opiece; prowadził kuracyą hydropatyczną, elektryczną, a nawet magnetyczną, stół miał zawsze wykwintny, pijał drogie wina i codziennie w wynajętym powozie wyjeżdżał na kilka godzin za miasto.

— Ja go tak kocham!..—mawiała do siebie wieczorami, układając się do spoczynku na twardym, trawą wyściełanym materacu (najlepszą pościel oddała mężowi). — Ofiara dla niego nic mię nie kosztuje—owszem, przyjemność mi sprawia!..

Brała w ręce fotogram męża i wpatrywała się weń rozkochanemi oczyma.

— Jaki piękny! Jaki pociągający!.. A jednak, choć tyle kobiet dobijało się o niego, on do mnie tylko, do mnie jednej należał. Przeniósł mię nad wszystkie, choć ani piękna byłam, ani pociągająca... Jak nie kochać go! nie ubóstwiać.

Przymykała oczy, w umyśle jej budziły się wspomnienia.

Widziała go u stóp swych, w ogrodzie, z twarzą światłem księżycowem oblaną, z wzrokiem, wyrażającym bezgraniczną miłość i bezgraniczne oddanie się.

To znów wśród świateł i dźwięków, z królową

balu u ramienia, wspaniały i przez wszystkie pożądany, przesuwał się mimo jej krzesła i szybkim ruchem pochyliwszy się szeptał: «Tyś tylko moja! ty jedna!..»

I jeszcze zjawiał się przed nią smutny i pokorny i ręce jej całował, błagając o przebaczenie, a ona ręce wydzierała i nadstawiała usta, mówiąc, że bez pokuty grzechu nie odpuści.

Od widziadeł tych blada jej twarz stawała się jasną, jakby padła na nią łuna światła dalekiego. Ale nagle dwa strumienie łez gorących a cichych wyrywały się jej z oczu i osuwały się na pościel z modlitwą na ustach.

Modlącą się sen chwytał w swoje objęcia i uspokajał.

Mówią, że nie ma choroby straszniejszej nad obłąkanie. Należałoby dodać: dla osób otaczających chorego. On sam—z wyjątkiem wypadków, w których obłęd łączy się z cierpieniem fizycznem — czyliż cierpi naprawdę?

Cierpienie jest uczuciem subjektywnem. Nie istnieje wcale tam, gdzie do świadomości cierpiącego nie doszło. A właśnie Mirski, dotknięty jedną z najsmutniejszych form obłąkania, bo wzrastającą otępiałością, świadomości tej nie miał.

Nie cierpiał on też, a nawet był, na swój sposób, szczęśliwy.

Kiedy, ubrany przez żonę przy pomocy służącego, z wyrazem fizycznego zadowolenia w gładko ogolonej twarzy, paląc dobre cygaro i bawiąc się złotym łańcuszkiem od zegarka, siedział w fotelu i z powagą coś rozpowiadał — nikt z pewnością nie wziąłby go za obłąkańca. Nawet ten, ktoby mowy jego słuchał, mógł był przez czas pewien pozostawać w niepewności. Przemawiał zdaniami, powiązanemi logicznie, a choć od czasu do czasu zdarzało mu się nie nazwać jakiej rzeczy właściwem imieniem, wyglądało to na *lapsus linguae*, który każdemu może się przytrafić.

Dopiero po niejakim czasie, w logice zdań coś się psuło, środek opowiadania nie zgadzał się z początkiem i opowiadający, zboczywszy od przedmiotu, wjeżdżał nieznacznie na takie manowce, że myśl człowieka normalnego już mu tam towarzyszyć nie mogła...

Poza tem nic w Mirskim nie zdradzało choroby. Apetyt miał doskonały, sypiał długo i spokojnie, utył — a na ustach i całej twarzy osiadł mu wyraz zadowolenia, jakiego dawniej nigdy tam nie bywało.

Stosunek jego do żony zmienił się o tyle, że zamiast czułego kochanka, miała ona w nim teraz dobrego przyjaciela, stawającego się też chwilami posłusznem i potulnem dzieckiem.

Towarzystwo żony było dla chorego najmilsze. Z jej tylko rąk przyjmował lekarstwo, do niej zwracał się z żądaniem posiłku i w gniew wpadał, ile razy przez czas dłuższy pozostawiła go samego. Musiała też ona wysłuchiwać nieustannie jego długich, nie kończących się opowiadań, w których nabrał scenicznego upodobania. Dawniej małomówny, teraz zamęczał siebie i innych gadatliwością. Gawędy jego można było nazwać «fantazyami na tematy znane». Punktem wyjścia do nich były osoby i zdarzenia rzeczywiste, które jednak następnie chory mózg dziwacznie przetwarzał. Było to jakby odbicie rzeczywistości, oglądane w jarmarcznych «zwierciadłach śmiechu».

Raz naprzykład Mirska zastała męża pokładającego się od śmiechu.

— Pamiętasz—mówi—Kazia?.. Kaziulisa?..

— Brzostowskiego?

— Tak, tak—Borzęckiego.

Westchnęła.

— Pamiętam Kazia Brzostowskiego. Był starszym drużbą twoim.

Mirski zniżył głos.

— Czy wiesz, co mu się stało?

— Cóż takiego?

— Powiadam ci: pękać od śmiechu. Profesor

łaciny, ten, co to mu się zawsze z pomiędzy palców sypie tabaka na uczniowskie kajety...

— Ależ Karolciu! Skądże tu się wziął profesor łaciny?..

— Jakto zkąd! Przecie wiesz, żeśmy z Kaziulisem chodzili razem do szkół—w Peszcie.

— Chyba w Płocku.

— Upewniam cię, że w Peszcie. Otóż profesor mówi do Kazia — ale to już było później... już nie nosiliśmy mundurów z kołnierzami czerwonymi... Pamiętasz te kołnierze?

— Nie, nie pamiętam. I cóż profesor powiedział do Kazia?

— Profesor mówi: czas przeszły *bam*, *bas*, *bat*, a Kazio: czas przeszły *bo*, *bis*, *bit*, Więc profesor— ten z watą w uszach, co to go zawsze zęby bolą— idzie na palcach do ławki, rękę powoli wyciąga, i — jak rozczapierzy palce, jak złapie Kaziulisa za włosy, jak pociągnie...

Zamilkł na chwilę—oczy dziko mu zabłysły...

— I cóż się stało? — spytała Mirska, starając się wzrokiem uspokoić męża.

— Urwał! jak Boga kocham urwał!..

— Co urwał?

— Głowę!

Opowiadanie, śmiechem rozpoczęte, skończyło

się drżeniem nerwowem i wyraźnymi objawami przestrachu.

Dopiero pieszczotliwe słowa i magnetyczny wzrok Mirskiej spokój choremu przywróciły.

Innym razem przechadzali się oboje po pustym parku Willanowskim. Mirski palił cygaro, wydymał policzki, uśmiechał się, białą kamizelkę na brzuchu wystającym obciągał—słowem: miał paroksyzm wysokiego zadowolenia z siebie i ze świata.

Spojrzenie jego padło na jeden z posągów.

Zatrzymał się, cygaro z ust wyjął.

— Takie same figury—rzekł wyniośle—mieliśmy w Wólce.

— W Górce—poprawiła Mirska.

— No, tam gdzie mieszkałem z żoną — i z Karolcią.

Młasnął językiem, powieki zamrużył...

— Śliczne były figury! I figura Karolci też była śliczna!

Mirską wspomnienie Górki rozrzewniło.

— Pamiętasz, mój drogi — z wilgotnemi oczyma rzekła—jak nam tam było dobrze?

— Wyśmienicie! — potwierdził. — A jedną figurę kazałem pod mur przenieść...

— Bo się wywracała.

— Ha, ha, ha! I ty temu wierzysz?

Mirska nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Zresztą wszystkie jej myśli były teraz w Górce i błądziły po cienistych alejach ogrodu, gdzie każda rzecz — nie wyłączając i owych posągów scenicznych, próchniejących, przez domorosłego snycerza niezdarnie wykonanych — posiadała dla niej urok niewypowiedziany.

— I ty temu wierzysz?—powtórzył Mirski, przybierając wyraz twarzy, tryumfująco przebiegły. — Figurę przeniosłem, bo mi to było potrzebne. Drzewo zdrowe jak orzech — prawdziwy heban. Nadpróchniała tylko trochę—lampa.

— Lampa?—zadziwiła się mimowoli Mirska.

— To, co figura trzymała nad głową.

— A! róg obfitości.

— Nie wiedziałem, że obfitość ma rogi. Ale to nic nie szkodzi. Z obfitością tą było bardzo dobrze i mnie i Karolci. O! bo Karolcia to znakomita figlarka!..

Zamilkł, i w końce butów wpatrzony, szedł przez czas jakiś w zamyśleniu, uśmiechając się sam do siebie. Zapomniał o cygarze, które mu z palców wypadło, i o towarzyszce, której ręka wysunęła się z pod ramienia.

— Usiądziemy?—rzekła Mirska, budząc się z zadumy.

Bez oporu dał się pociągnąć na ławkę. A zaledwie pod plecami uczuł oparcie, zamyślenie jego

przeszło w senność. Przymrużył oczy, i z bezwzględnością właściwą chorym, wsparł się na ramieniu żony.

Język wszakże jego nie mógł pozostawać długo w spoczynku. Napół zdrzemnięty, mówił:

— Tak, tak... doskonale było... wyśmienicie.. Wieczorem, moja żona czyta książkę, albo gra na fortepianie, a staruszek śpi sobie pod pierzyną... Ja wychodzę do ogrodu na cygaro. Śpiewają żabki, na niebie pali się świeca i jeden mały ptaszek, do kotka podobny, pogwizduje. Na podwieczorek jadłem takie czerwone, słodkie, ze śmietaną... Jest bardzo dobrze, doskonale, wyśmienicie... Idę pod mur, czapkę zdejmuję i proszę figury, żeby się usunęła. Figura jest bardzo grzeczna i wykręca się bokiem. A za figurą widać otwór i przejście do drugiego ogrodu. A w tym ogrodzie śliczna, ciemna altanka, a w tej altance śliczna, tłuściutka Karolcia..

Mirska ze smutną obojętnością słuchała bredzenia zasypiającego męża. Choć ją ramię bolało, nie usuwała go, odganiając jednocześnie wachlarzem muchy i komary. Od chwili do chwili pochylała się nad mężem, i usta jej w przelotnym pocałunku muskały odkryte jego czoło.

On, coraz bardziej pokonywany sennością, już nie mówił, ale mruczał i szeptał. Raz jeszcze oczy na chwilę rozemknął i usta rozchylił.

— W lampie... listy... — mruknął niewyraźnie. I zasnął.

Mijały tygodnie i miesiące, żadnej nie przynosząc zmiany. Nie dostrzegła jej przynajmniej Mirska. Mąż wyglądał dobrze, i z wyjątkiem spokojnego bredzenia, niczem choroby nie zdradzał. Opinia lekarzy brzmiała dwuznacznie, wymijająco, ale już sam ten brak stanowczości dla uspokojenia Mirskiej wystarczał. Lękała się ona jednego tylko: aby jej nie powiedziano kiedykolwiek: «bez ratunku stracony!..»

Tymczasem choroba robiła swoje. Ku końcowi lata, Mirski zaczął tracić zwolna apetyt i mizernieć. Po stanie podniecenia przychodził stan reakcyi. Organizm rozprzęgał się i słabnął. Jednocześnie pojawiła się u chorego obca mu dotąd mania; zbierał w domu niedopałki papierosów i patyczki od zapałek, na przechadzce zaś suche liście i kamyki i napychał tem wszystkiem kieszenie. Tracił też coraz bardziej pamięć wypadków, dat i nazwisk.

W ostatnich dniach września trzeba było po nowy zapas pieniędzy jechać na wieś. Główny dostarczyciel niechętnie już udzielał pożyczek, proponując natomiast nabycie Górki na własność. Mirska odrzuciła propozycyą z gniewnem rozdrażnieniem. «Górka jest dla mnie rzeczą świętą — odpisała mu — a nie sprzedaje się świętości».

Wolała sprzedać prawa do reszty schedy po rodzicach...

Jesień była ciepła, cicha, pogodna. W powietrzu pachniały owoce i srebrzyła się pajęczyna. Serce wzbierało uczuciami nieokreślonemi; melancholia łączyła się w nich z ukojeniem i rezygnacyą.

Chory został pod opieką swej starej krewnej, Mirska, pełna przejmującej ale bezbolesnej melancholii, z chusteczką przy oczach wtuliła się w kącik wagonu, który miał ją na kilka dni oddalić od Warszawy.

Ledwie przestąpiła próg Górkowskiego dworu, chwyciły ją zaraz mackami głowonoga powszednie sprawy i kłopoty. Całe dwa dni zajęte miała sprawdzaniem rachunków, prowadzeniem układów, sprzeczkami, zabiegami... Ledwie trzeciego dnia pod wieczór mogła była kilka chwil sobie samej i myślom swoim poświęcić.

Skorzystała z nich, aby przywitać się ze swym ukochanym, pełnym wspomnień i pamiątek, ogrodem.

Poszła tam sama. Pomiędzy osobami, napełniającemi pokoje dworskie, nie było ani jednej, z którą-by uczuciami swemi dzielić się chciała i mogła. Pustką też stała dla niej i willa sąsiednia. Karolcia i mąż jej od miesiąca już bawili u krewnych.

Ogród, niby kadzielnica olbrzymia, owionął wcho-

dzącą krzepkimi zapachami jesieni. Przywiędła rezeda, późne, oblatujące już róże, gwoździki, nakształt szkarłatnych plamek, rozrzucone wśród żółkniejącej zieleni, a dalej nieco: suszący się koper, rozłożone na słomianych matach owoce i pęki ziół aromatycznych, uderzyły ją falami tak mocnej woni, że aż się zachwiała.

Przeszła do połowy ogrodu i padła na ławkę, a łzy, które od czasu przybycia czuła pod powiekami, pociekły jej po twarzy.

Płacz ulżył jej. Otarła oczy i poczęła spokojniej rozglądać się dokoła.

Jak tu jej wszystko było drogie! Jak tu każda rzecz mówiła jej o nim! Nawet w śpiewie ptaka, który jej na wysokiej gałęzi akacyi, tuż nad głową płaczącej, pogwizdywał monotonnie, odnajdywała nutę znajomą i jakieś smutne a miłe przypomnienie...

— Kocham go i kochać nie przestanę... — szeptała, całując zerwaną różę tak namiętnie, jakby to były usta ukochanego. Świat mi go cały nie zastąpi. Był moim pierwszym, pozostanie — jedynym!...

Wstała i poczęła obchodzić ogród, witając czule każde drzewo, każdy krzaczek, każdą grzędkę kwiatów i warzywa. Nawet szeroko-płaska twarz słonecznika wydała się jej tak piękną, że ją uśmiechem uprzejmym obdarzyła. Wszakże Karol upewniał ją

kiedyś, że ten kwiat, hołdujący światłu, nie za słon cem, lecz za nią rozkochane oczy obraca.

Znalazła się wreszcie na samym końcu ogrodu przy murze, dzielącym dwie posiadłości. Mur to był stary, plamami wilgoci umozaikowany, a na wierzchu dachówką zczerniałą pokryty. Krzaki, nie podcinane na wiosnę, rozrosły się bujnie i od spodu niemal go zasłaniały. Pod dachówkami jaskółki miały gniazda i z ćwierkaniem piskliwem nieustannie dokoła krążyły.

Prawie w połowie długości muru stała figura.

Było to ciężkie, grubo wyrzezane z drzewa wyobrażenie jakiejś postaci alegorycznej, w wieńcu na głowie, z rogiem obfitości na ramieniu. Mogła to być równie dobrze Flora, jak Fortuna lub Wiosna.

Nakształt nierównych posągów kościelnych, przeznaczanych do ołtarza lub na stalle, rzeźba ta z jednej tylko strony była wykończona, z drugiej było surowe, zlekka tylko wygładzone drewno. Przyparto figurę do samego muru.

Przez długą chwilę Mirska stała w zadumie przed tym murem i przed tą dziwną, pozieleniałą od starości rzeźbą. Przypomniała sobie, jak w rok po ślubie Karol usunąć ją kazał z przed altany, którą szpeciła. I w tem nawet okazał się on czułym i uprzedzająco grzecznym małżonkiem, Karolina bo-

wiem zaraz po sprowadzeniu się do Górki oświadczyła, że ją ten ponury posąg przestrasza.

Miejsce jego zajęła następnie piękna Nimfa kamienna, w której Mirski upatrywał podobieństwo z żoną.

— Zawsze był dobry!— westchnęła— zawsze kochający i serdeczny! Jakże-bym ja dla niego inną być mogła.

Już miała odchodzić, gdy przyszło jej na pamięć, co chory Karol mówił kiedyś o tej figurze, pod mur wyrzuconej...

Wzruszyła ramionami.

— Biedak! — szepnęła.— Jakież nieprawdopodobieństwa chory mózg jego wytwarzał..

Nie odchodziła jednak. Wzrok jej, najpierw z roztargnieniem, następnie z ciekawością, badał dwuznaczną rzeźbę, która miała pozór smutny i zagadkowy.

Po kilku chwilach badania, wydało się jej, że pomiędzy posągiem a murem dostrzega szparę, jakiej wpierw nie było. Wyglądało to tak, jakby kto odsunął nieco posąg od muru.

— Przywidzenie! — rzekła.

Potem wzrók jej padł na trzymany przez figurę róg obfitości.

— Uroiło się biedakowi — pomyślała— niemożli-

wość. Najwyższy mężczyzna do tego rogu ręką nie dosięgnie.

I jakby dla potwierdzenia myśli swej, podeszła do posągu, z ręką w górę wyciągnioną. W istocie szczyt figury przynajmniej o półtora łokcia po nad rękę wystawał.

Ucieszyło ją to.

Ale w tejże chwili, przy samym murze, wśród gęstych i bujnych chwastów, dojrzała wielki kamień. Wstąpiła nań i końce palców znalazły się na wysokości rogu. Zagłębiła je zaraz w jego wnętrzu, które było wydrążone, czy może tylko wypróchniałe.

Otwór zakryty był cegłą. Usunęła ją i namacała palcami papiery. Po wydobyciu, okazały się one paczką listów. Charakter pisma poznała odrazu: była to ręka jej przyjaciółki Karolci.

Schowała listy do kieszeni i zeszła z kamienia. Brwi, wysoko podniesione nadawały jej twarzy wyraz zdziwienia, połączonego z przestrachem.

Zbliżyła się do szpary, wsunęła rękę i pochwyciwszy za brzeg posągu, silnie pociągnęła.

Figura wykręciła się bokiem, odsłaniając przejście do sąsiedniego ogrodu. O kilka kroków stamtąd stała altana, a dalej, w perspektywie długiej alei, widać było dwór z pozamykanemi okiennicami.

Mirska zdrętwiała. Przez długi czas i ona i po-

sąg jednakowo byli nieruchomi. Potem osunęła się na kamień i przy słabem świetle zorzy zachodniej, przedzierającem się przez gęstwinę, odczytała, jeden po drugim, wszystkie listy, związane wstążeczką różową.

Listy te odkryły jej cały szereg prawd, z których każda była pchnięciem noża w samo serce.

Po pierwsze: zdradzał ją mąż, i to zdradzał w sposób bezczelny, bo niemal pod dachem własnego domu.

Po drugie: zdradzała ją przyjaciółka.

Po trzecie: stosunek ten sięgał początkiem swym kawalerskich czasów Zygmunta, którego małżeństwo było w nim tylko małoznacznym epizodem.

Po czwarte: większa część posagu Mirskiej poszła na stroje i klejnoty dla rywalki, a także na wydanie jej za mąż za dobrodusznego emeryta, który z równą naiwnością uwierzył w jej nieistniejący posag, jak i w nieobecną cnotę.

Kupno kolonii było aktem fikcyjnym, dopełnionym pozornie dla uśpienia czujności zdradzanego męża i oszukiwanej żony.

Noc już zapadła oddawna, gdy Mirska dowlokła się z powrotem do dworu. Znękana była, jak po przebyciu ciężkiej choroby. Na pytania służby nie odpowiadała. Usiadła w swoim pokoju na krześle

przy łóżku i siedziała nieruchomo, w jeden punkt wpatrzona.

Dopiero po pewnym czasie spostrzegła, że na stoliku nocnym, tuż przy niej, leży list. Wzięła go obojętnie do ręki i otworzyła. List miał pieczątkę warszawską; przywieziono go przed wieczorem z poczty. W liście krewna męża pisała:

«Karolowi pogorszyło się. Obecność twoja, kochana kuzynko, jest niezbędna. Przyspiesz, o ile możesz, przyjazd, bo chociaż chory ma staranną opiekę, to mu jednak żony, tak zwłaszcza dobrej, jaką ty jesteś, nie zastąpi».

Odłożyła list na stronę i zapadła w poprzednią nieruchomość.

Nazajutrz, około południa, gdy po nocy, na krześle spędzonej, snem letargicznym niemal zasnęła, zbudzono ją. Konny wysłaniec biura telegraficznego przywiózł depeszę. Brzmiała ona:

«Z Karolem bardzo źle. Przyjeżdżaj natychmiast».

Przeczytała, pokwitowała z odbioru i napowrót zasnęła.

Spała do wieczora, spała noc całą. Naturze dopomógł proszek morfinowy, w kieliszku wina wypity.

Trzeciego dnia przed wieczorem znów list. Zakończenie tego listu jak wąż syczało...

«Nie odgaduję — pisała krewna — co jest przyczy-

ną tak całkowitej zmiany w postępowaniu, a niewątpliwie i w uczuciach kochanej kuzynki. Łatwe to zresztą do zrozumienia, że dla pewnego rodzaju kobiet mąż chory i zniedołężniały jest ciężarem niepożądanym i niemiłym, zwłaszcza, gdy spotkało się w życiu coś milszego i pożądańszego... Jednakże ludzie, liczący się z opinią świata (a kochana kuzynka zdajesz się do nich należeć) nie mogą i nie powinni zapominać, że do umierającego męża powołuje żonę — obowiązek.

Dopiero ostatnie słowo wyrwało Mirską z apatyi.

— Obowiązek? — powtórzyła, wytężając myśli i dłonią cisnąc bijące szybko serce.

Bladość śmiertelna, a potem rumieniec palący po twarzy jej przebiegły.

Wstała i mnąc papier w ręku, z najwyższą ironią wykrzyknęła:

— Obowiązek? Ha, ha, ha! I czemże jest obowiązek — bez miłości?..

Czy kochała?...

Amour, fléau du monde, exécrable folie,
Toi, qu'un lien si frêle à la volupté lie,
Quand par tant d'autres noeuds tu tiens
[à la douleur!..
A. de Musset.

Przychodziła o jednej godzinie, spokojna, zimna, prawie surowa.

Siadała w rogu niskiej otomany, nie zdejmując kapelusza, nie wypuszczając z rąk parasolki, i utkwiwszy wzrok w przeciwległą ścianę, milczała.

On drżał... Niepokój oczekiwania zabarwił mu twarz gorączkowemi plamami. Oczy miał rozpłomienione, serce bijące nierówno, usta suche. W dłoniach i końcach palców czuł nieprzyjemne palenie.

Zbliżał się do niej, odbierał parasolkę, ściągał ostrożnie rękawiczki i zaczynał od całowania drobnych, chłodnych palców, one w jego silnej, nerwowej dłoni gięły się, jak wiotkie gałązki wierzbiny.

Potem oswobadzał ją z lekkiej zarzutki i przypijał usta do białej, krągłej szyi, w której pod war-

gami czuł rytmiczne uderzenia pulsów. Pocałunki jego zostawiały ślady różowe na delikatnym naskórku i wichrzyły złoty meszek, ocieniający kark jej i kładący na nim ciepłe, żółtawe tony.

Ona była wciąż spokojna i chłodna; nie patrzyła nań i milczała.

Z kolei, pocałunki spadały na twarz jej, atłasową w dotknięciu, na policzki jędrne, gładkie i śliskie, na brwi aksamitne, na oczy, co przymykały się i otwierały, powodując nagłe wybuchy cieniów i światła, na usta wreszcie, pachnące zawsze poziomkami, świeże, pełne, różowe.

Nagle, odpychał ją od siebie ruchem szorstkim.

— Idź sobie!... — szeptał głucho. — Nie chcę ciebie! Ty mnie ani trochę nie kochasz!...

Ona zwracała na niego oczy fiołkowe, których spojrzenie pytało: dlaczego?

— Alboż mnie choć raz pocałowałaś?

W odpowiedzi, wargi jej dotykały zlekka jego policzków płonących.

— Jak ty całujesz zimno, nieszczerze...

Całowała go powtórnie, silniej przyciskając wargi do twarzy.

— Kto kocha, całuje w usta...

Zbliżała usta do jego ust, muskając je pocałunkiem przelotnym.

Nie obejmiesz mnie nigdy za szyję; do piersi się nie przytulisz...

Zarzucała mu dokoła szyi ramiona i na pierś głowę kładła.

On zatapiał badawcze spojrzenie w jej jasnych źrenicach i prosił namiętnie:

— Powiedz: «kocham cię...»

— Po co?

— Abym przestał wątpić...

— Czemuż wątpisz?

— Nigdy nie słyszałem od ciebie tego słowa, najcudniejszego ze wszystkich.

— Co ci po niem?

— Powiedz!

— Nie męcz mnie...

On wówczas wybuchał.

— A więc tak jest, nieinaczej! Nie kochałaś mnie i nie kochasz! Byłem ci zawsze obojętny, obcy, może nienawistny!...

Milczała, zimna wciąż i spokojna, w przeciwległą ścianę wpatrzona.

Oswobadzał się z jej objęć i poczynał biegać szybko po pokoju, włosy rozrzucając na głowie i palce do krwi gryząc.

— Pocom ja cię poznał? Pocom ja tobą życie swoje zagrodził? Pocom ja ci duszę oddał w niewolę? Czyż mało jest kobiet równie pięknych,

piękniejszych jeszcze od ciebie? Nie jednej serce zdobyłbym, gdybym ją tak jak ciebie pokochał. Mogłem być szczęśliwy, mogłem pozyskać wzajemność, mogłem doświadczać rozkoszy najwyższej, bo podzielanej. Przy sercu czułbym serce, nie kamień; ściskałbym ciało płomieniem krwi rozgrzane, a nie posąg chłodny i bezduszny. Tymczasem własnym ogniem przepalać się muszę i własnym szałem upajać. Miłość, która jest miodem życia, zmienia się dla mnie w piołun i truciznę.

— Czego ty chcesz odemnie? — szeptała z wymówką, niecierpliwą i bolesną.

— Rzuciłaś na mnie urok. W oczach twoich tkwi czar, co mnie opętał. Byłbym szczęśliwy, gdybym miał siłę więzy te zerwać. Jakież moje życie? W zamian za najwyższą ekstazę serca i zmysłów, odbieram jałmużnę chłodnych pocałunków i pieszczot wymuszonych. Ale dość tego! Zanadtom dumny, aby rolę żebraka odgrywać. Przyjdzie chwila, w której nie schylę się po twoją miłość, choćbyś mi ją sama pod stopy rzucała...

— Nie męcz mnie!... prosiła głosem, boleściwszym jeszcze.

Stawał w miejscu — oczy ich spotykały się — głos jego poczynał mięknąć i w żałość kobiecą przechodzić.

— Nigdym od ciebie nie usłyszał słowa, świad-

cząacego o uczuciu. Nigdy sama, z własnego popędu nie otworzyłaś mi swych objęć, ust nie podałaś, uśmiechem czułym nie pozdrowiłaś. Zamknięta jesteś w sobie, zimna i nieczuła. Oczy twoje, to niebo bez chmurki, które drażni jednostajnym błękitem. Serce twoje, to kwiat, w pąku zwarzony. Ciało twoje to bawidełko dla oczu. Jesteś niedostępna wzruszeniu i zabijająca innych własnym spokojem. Nie dzielisz roskoszy, jaką dajesz; nie wiesz o cierpieniu, jakie sprawiasz. Przechodzisz przez życie niezrozumiała i innych nie rozumiejąca...

— Nie potrafię być inną... — szeptała z pochyloną głową i wzrokiem w ziemię utkwionym.

Po tem wyznaniu zapanowywało milczenie.

Tymczasem mrok gęstniał i sylwetki sprzętów poczynały zlewać się w jedną czarną masę. W ciemności tylko twarz jej wykreślała się bladą plamą. A jak przed nocą kwiaty najmocniejszy wyziewają zapach, tak od niej biła coraz silniej woń jakichś perfum odurzających, zmieszana z zapachem młodego, zdrowego ciała.

I nagle on przypadał do jej kolan, oplatał ją uściskiem namiętnym i poczynał całować, całować, całować...

— Nie wierz mi... — szeptał w przestankach. — Byłem szalony... Ciebie jedną kocham... Ciebie jedną kochać będę zawsze... Jesteś najpiękniejsza, naj-

milsza, najsłodsza... Bez ciebie żyćbym nie mógł— i nie chciał...

Ona milczała i oddech jej był spokojny, co zaś wyrażały oczy, dojrzeć nie pozwalała ciemność. Ramiona jej opasywały mu szyję, pod sercem jednak jego, bijącem gwałtownie, jej serce uderzało rytmicznem, prawie normalnem tętnem.

Tymczasem chwile mijały i mijało wraz z niemi upojenie. Ramiona ściskały coraz słabiej, pocałnnki stawały się mniej płomienne. Przysięgi ustępowały miejsca szeptom cichym i nieokreślonym...

Ciemność wieczora, tak pełną życia i treści, rozpraszała lampa. W martwem, zielonawo-żółtem jej świetle, tem boleśniej raziła pustka, panująca teraz w mieszkaniu. Jej bowiem już nie było. Znikała jak widzenie i tylko zwiędły kwiat na podłodze, szpilka z włosów wypadła i trochę fiołkowej woni w powietrzu, świadczyły, że tu czas jakiś gościła.

On przez długą chwilę siedział, milcząc i dumając; potem rozpaczliwym ruchem ręki zatapiał palce we włosach i wykrzykiwał głosem stłumionym:

— Nie!... Ona mnie nie kocha... Nie kocha... nie kocha!...

I zakrywał obiema rękami twarz, a wskróś palców, kurczowo zaciśnionych, ciekły mu łzy gorące...

Powtarzało się to co wieczór, już od dni wielu. Szał roskoszny, a potem bolesne z rozpaczą graniczące przebudzenie. Chwila wiary słodkiej, a po niej długa, szarpiąca serce niepewność... Następowało to po sobie jedną zawsze koleją i w jednakowy sposób wstrząsało jego nerwami i całą wewnętrzną istotą.

Rozdrażniony, znękany i omdlewający, zapadał w apatyą, podczas której bezwiedny prawie ruch myśli poddawał mu pragnienie, wyrażające się w słowach:

— O! gdyby już więcej nie przyszła!... Gdyby raz już się to skończyło!...

A nazajutrz, gdy się zbliżała umówiona godzina, drżał, płonął i od zmysłów odchodził, opanowany gorączką niepokoju i tęsknoty... Oczami chciał posuwać wskazówki na zegarze. Liczył w myśli sekundy i wybiegał co chwila do sieni, bo mu się zdało, że słyszy na schodach stukanie bucików i szelest sukienki...

Odkąd się poznali, zawsze była jednakowa: posłuszna jego porywom, oddająca mu się bezpodzielnie, z ustami gotowemi do pocałunku i oczyma mówiącemi: «tak» ile razy od nich tego zażądano, ale jednocześnie: spokojna, panująca nad sobą, chłodna i małomówna. Z ust jej słowo «kocham» ni-

gdy nie wyszło; oczy jej, z własnej chęci, nigdy go spojrzeniem miłosnem nie objęły.

Jemu ta bierność haremowej roskosznicy i ten chłód niezbudzonej jeszcze Galatei, życie zatruwały. Należał do tych, którym nie wystarcza kochać; potrzebują, aby i ich kochano. Należał i do tych jeszcze, którzy miłość swą poczytują za świętość i którzy nie przeżyliby myśli, że świętość ta w niegodne dostała się ręce.

Nieufność zabijała go. Oddałby był życie, aby ją rozproszyć. Gdyby zdobył pewność, że go nie kochano, możeby się zabił, a może wyleczyłby się z obłędu i spokój odzyskał.

Pewności jednak nie miał.

— Dlaczegoś tak zimna?—pytał często.

— Inną być nie umiem—odpowiadała spokojnie.

— Kochasz ty?

— Na co to pytanie!

— Nie kochasz zatem?

— Nie męcz mnie...

Tak się zaczynały i tak kończyły wszystkie o tym przedmiocie rozmowy.

Aby wyjść za jakąbądź cenę z błędnego koła niepewności, uciekał się do środków rozmaitych.

Gdy widział, że uczucie samo, choć wulkanicznym buchając płomieniem, nie rozgrzewa jej, próbował drogi pośredniej: obsypywał ją podarunka-

mi, kupował klejnoty, kwiatów stosy co rano przysyłał.

Dziękowała grzecznie, z uśmiechem, wyrażającym zadowolenie, ale temperatura jej duszy i ciała nie podnosiła się ani o stopień.

Więc przechodził do drugiej ostateczności. Zamiast pochlebiać — drażnił, zamiast obdarzać — zaniedbywał, zamiast przyciągać miłością — odpychał chłodem udanym. Poprzysięgał sobie wystrzegać się wszystkiego, co tchnie sentymentem i grał rolę człowieka bez serca, bawiącego się kobietą, jak cackiem.

Ona postępowania nie zmieniała i tylko od czasu do czasu, z ukosa na niego patrząc, wzruszała nieznacznie ramionami.

Gdy ten stan sztuczny przeciągał się zbyt długo, mówiła wręcz:

— Gniewasz się na mnie?

— Cóż znowu!

— Wiem, że się gniewasz; ale za co?

Przy tych słowach zwracała nań swe oczy, pogodne, szczere, zimne...

On, pod urokiem tych oczu, mieszał się... Przez długą chwilę nie przychodziła mu na usta żadna odpowiedź. Potem szeptał nieśmiało:

— Czemu powiedzieć nie chcesz: kocham?

— Jeżeli wątpisz, słowa cię nie przekonają.

— Przekonaj czynami.

— Mało ci ich jeszcze!

— O, tak! — wybuchał. — Tobie się zdaje, żeś mnie dostatecznie uszczęśliwiła, pozwalając całować się i pieścić. I cóż z tego, że ciało twe zimne posiadam, gdy dusza jest mi dotąd obca i niedostępna! Na zgubę swoją poznałem cię i pokochałem. Lepiej było pokochać kamień, albo...

Ona wstawała i spokojnym ruchem poczynała naciągać rękawiczki.

— Jeślim ci aż tak nienawistna—mówiła—odejdę...

On milczał, z zaciętemi ustami i szyderskim na nich uśmiechem.

Poprawiała zarzutkę i kapelusz i powoli a cicho, bo dywan kroki jej tłumił, kierowała się ku wyjściu.

Gdy już była u drzwi samych, odwracała się raz jeszcze, mówiąc:

— Schodzę ci z drogi — więc przestań się gniewać. . .

I brała spokojnie za klamkę.

Ale on już był przy niej, płacząc i przepraszając. Na kolana padał, ręce jej i nogi pocałunkami okrywał... Żelaznym uściskiem zatrzymywał odchodzącą na miejscu.

Raz na przechadzce spotkali młodą kobietę w żałobnej sukni, w czarnym, długim welonie.

— Czy ty po mojej śmierci będziesz nosiła żałobę?—zapytał.

— Będę—odrzekła bez namysłu.

On doznał uczucia, jakby mu nóż zimny tuż przy sercu przesunięto. Przyszło mu na pamięć opowiadanie o umierającym ojcu i trzech synach. Najmłodszy, który ojca kochał naprawdę, jedną tylko odpowiedź znalazł na wzmiankę o jego śmierci: wybuchnął płaczem serdecznym...

Ona odgadła widocznie jego myśli, bo pośpieszyła dodać:

— Ale ty nie umrzesz... dlaczegóżbyś miał umierać?

Więcej o tem nie mówili; jemu wszakże osiadło odtąd w sercu jeszcze więcej goryczy...

Jednej nocy bezsennej, gdy po raz tysiączny męczył się nad rozwikłaniem zagadki, zapiekło go coś nagle w mózgu, a potem w piersiach, i zrywając się z posłania, wykrzyknął:

— Kocha innego!

Tej nocy nie spał już wcale, a nazajutrz zaczął ją śledzić.

Przez długi czas śledził nadaremnie. Chodziła tylko do pracy, do krewnych, do kościoła. Poważna zawsze i spokojna, roztaczała dokoła siebie atmosferę poszanowania i nietykalności.

Raz jednak o mało nie padł na miejscu trupem:

w ogrodzie, o zmroku spotkał ją w towarzystwie mężczyzny...

W pierwszej chwili chciał rzucić się na idących... ochłonął jednak i począł ich śledzić, niepostrzeżony.

Szli zdala od siebie... Chwilami jednak mężczyzna przysuwał się do samego ramienia kobiety i coś szeptał poufnie. Za każdem takiem zbliżeniem, jemu krew uderzała do mózgu, a ziemia i niebo ukazywały się w barwie czerwonej.

Wyszli z ogrodu i skierowali się w stronę, gdzie ona mieszkała. Wlókł się za nimi jak lunatyk. Z suchemi ustami, z płomieniem gryzącym w oczach, z sercem, które to rzucało się w piersiach jak szalone, to znów przycichać się zdało, mdleć i zamierać...

Nareszcie ona zatrzymała się przed swoim domem. Mężczyzna wyciągnął rękę, jakby do uścisku, i cofnął ją zaraz. Ona wbiegła szybko w bramę; towarzysz równie szybko oddalił się, silnie postukując laską o chodnik.

Pobiegł za rywalem, gotów na wszystko. Nieznajomy wszedł do jakiegoś ogródka, on za nim. Tamten zdawał się wzburzony; kazał podać sobie koniaku i wychylił kilka kieliszków, jeden po drugim. On usiadł zdala, przyciskając ręką bijące serce i usiłując odzyskać spokój, lub choćby pozór spo-

koju. Nagle tamten odwrócił się, a on poznał w nim—dawnego kolegę...

Nie zdecydował się jeszcze jak ma postąpić, a już kolega stał przy nim, rękę mu kładł na ramieniu i mówił:

— Jak to dobrze, że cię spotykam!... Potrzebny mnie był bardzo ktoś życzliwy... Jestem w takiem usposobieniu, że kąsałbym samego siebie... Garson! jeszcze koniaku!

Wypił, rzucił się na stołek i, nie spostrzegając wzruszenia towarzysza, mówił dalej z porywczością gorączkową.

— To szatan nie kobieta! Przyprawia mnie o szaleństwo, a kiedykolwiek przyprawi o zgubę. Szatan i sfinks zarazem!... Znamy się prawie od dzieci i nikt z pewnością nie ma większego odemnie prawa do jej przyjaźni. Jednak przyjaźni tej nie posiadam, choć mnie o niej nieustannie zapewnia... Dopóki była dziewczynką małą, wieszała mi się na szyi i nazywała bratem; odkąd wyrosła na piękną pannę, odpycha mnie chłodem obojętnym...—«Czyś zapomniała — mówię do niej — żeśmy sobie miłość zaprzysięgli?»—«Nie zapomniałam.» — «Czemuż więc jesteś dla mnie tak zimna?»—Ona milczy... — «Nie chcesz mojej przyjaźni?» — «Chcę.» — «Czemuż nią gardzisz?» — «Nie gardzę.» — «Daj mi rękę na dowód.» — «Masz.» — Och ta ręka! wolałbym ująć ka-

mień ciężki, albo lodu kawał! Wypuszczam ją z dłoni i mówię:—«Dawniej pozwalałaś się całować.»—«Dziś mi nie wolno.» — «Należysz do innego?» — Nic nie odpowiada. . . — «Wyznaj otwarcie: kochasz?» — Milczy... — «Serce twoje wolne?» — Milczy...—«Jestem ci obojętny?»—«Nie.»—«Jestem ci nienawistny?»—«Cóż znowu!»—«Wzięłabyś mnie za męża?» — Spogląda mi w oczy ze smutnym uśmiechem...—«A za kochanka?»—Wzrok spuszcza ku ziemi i znów milczy... Mnie robi się naprzemian zimno i gorąco, doświadczam z kolei rozpaczy i wściekłości... — «Czemże ty jesteś wreszcie?—wybucham.—Masz że ty serce, krew, nerwy?... Jestżeś naprawdę kobietą, czy też syreną lub sfinksem?»—«Nie męcz mnie!»... odpowiada.—Podaje mi końce palców na pożegnanie i odchodzi. Żegnam ją obojętnie — ale gdy już znikła, opanowywa mnie taka za nią tęsknota, że wyłbym z bólu i żałości!...

Zdjął kapelusz i cisnął o stół, a potem jednym łykiem wychylił pół szklanki ponczu, który służący przed nim postawił.

— Przeklęta! — mruknął przez zęby— rozpiję się przez nią, albo powieszę!

Trunek zamglił mu oczy i umysł. Towarzysza zdawał się już nie widzieć. Wpatrywał się mętnym wzrokiem w przestrzeń i milczał. Nagle rzekł, jak-

by w formie ostatecznego wniosku, do którego doszedł po długim namyśle:

— Jedno z dwojga: albo kocha kogoś do szaleństwa, albo też: nikogo kochać niezdolna...

Na tem skończyły się jego wyznania.

Tamten podczas całego monologu doświadczał wzruszeń gwałtownych: to bladł, to czerwieniał, a gdy dowiedział się wreszcie wszystkiego, co mu było potrzebne, opuścił z pośpiechem ogródek i kolegę.

— «Kocha kogoś do szaleństwa» — powtarzał, biegnąc pustą ulicą. Tak, to jasne jak słońce. Ale kogo?—kogo?...

Zaciskał pięści, przykładał je do rozpalonego czoła i zataczał się, potrącając o słupy latarniowe. W głowie miał znowu zamęt, w sercu ból, tęskotę, niepewność...

Noc przepędził prawie bezsennie. Chwilami tylko chwytał go sen, przerywany, męczący, przykry. Jawiali mu się wówczas różni «oni», kochani przez nią «do szaleństwa». Wyciągał ręce przed siebie, chciał ich pochwycić, zdusić... i budził się z okropnym bólem głowy, spiekłemi ustami i ciężko dyszącą piersią.

Nazajutrz, o godzinie, w której zawsze przychodziła—nie przyszła. W pierwszej chwili zaniepokoiło go to nadzwyczajnie. Doświadczać począł zwykłych

mu w takim wypadku objawów: ściśnienie serca, duszności, palenie policzków i dłoni. Nagle jednak, gdy już skazówki daleko od oznaczonego punktu odbiegły, uczuł, że zachodzi w nim reakcya. Ściśnienie serca ustąpiło, począł oddychać swobodnie i głęboko; mózg odzyskał sprężytość, a myśli energię. Ze zdziwieniem, prawie z przestrachem, zauważył, że mu zawód ten, zamiast strapienia, przynosi ulgę, że go zamiast smucić—raduje...

— Piekielny to będzie ból — szepnął do siebie— ale jednorazowy i... ostatni!

Wyciągnął się na otomanie, ręce pod głowę podłożył i jął układać w myśli plan przyszłego życia «bez niej».

Odświeży zaniedbane znajomości, odda się sportowi, pracy, studyom, wyjedzie za granicę... Jak czarowne musi być w tej chwili morze!... Co za roskosz błądzić po piaskach wybrzeża w noc ciepłą, księżycową, przy chrzęście rozdeptywanych muszli, przy gwarze fal, podbiegających pod stopy, przy odgłosie dalekich pieśni żeglarskich, które nadpływają z wiatrem smutne, czułe, żałosne...

A kobiety?

Życia bez kobiety nie rozumiał. Była to u niego potrzeba daleko więcej psychiczna niż zmysłowa, choć pozory wskazywały inaczej. Dla jego natury gwałtownej, nerwowej, wybuchliwej, a zarazem

skłonnej do melancholii i ostatecznego zrozpaczenia, kobiecość była tem, czem lina ratunkowa dla rozbitka. Bez niej, dawnoby już może poszedł na dno...

Czyż to jednak ziemia nie roi się pięknemi kobietami? Prawda, że od dnia, w którym ją poznał, każda wydaje mu się brzydka i pospolita, wie jednak, że to złudzenie chorobliwe, które prędzej lub później ustąpi. Wówczas urządzi się inaczej: zrywając róże, będzie jak najoględniej wystrzegał się cierni; spijając roskosz, nie dobierze się nigdy do mętów jej, które są gorzkie. A przedewszystkiem: nigdy, ale to nigdy—nie zakocha się...

Gdy już powziął to postanowienie, poczęły jawić mu się przed oczyma młode, świeże twarze, o namiętnych oczach i figlarnem uśmiechu. Czarne, piwne i niebieskie źrenice póty mrugały nań kusząco, aż rozchmurzył się, rozgrzał i począł na uśmiechy odpowiadać uśmiechami. Ogarniała go cisza i jakieś miłe rozemdlenie; chwila jeszcze, a zasnąłby...

Nagle drgnął i zerwał się na równe nogi, jakby prądem elektrycznym podrzucony...

— Chora?!... — wykrzyknął; bledniejąc z przerażenia.

Ubrał się pośpiesznie i wybiegł na miasto.

Pomimo, że z rodziną jej poróżniony, wszedł

śmiało na schody, wiodące do jej mieszkania. Gdy zadzwonił, otworzyła mu stara ciotka — śmiertelna jego nieprzyjaciółka. Zadziwił się, że zamiast wściekłości, widzi w jej oczach smutek i przygnębienie. Zadziwił się bardziej jeszcze, gdy go przywitała słowami:

— Dobrze, żeś pan przyszedł...

— Co słychać?—spytał niespokojnie.

— Źle...

— Na Boga! co się stało?

— Atak sercowy...

Za chwilę, klęczał już przy jej łóżku. Była prawie bezprzytomna, oczy miała zamknięte, ręce wyciągnęła nieruchomo wzdłuż ciała. Leżała w cieniu zupełnym, bo i światło w pokoju było przyćmione i firanka u łóżka zapuszczona. Gdy ucałował jej rękę, otworzyła na chwilę oczy, ale je zaraz napowrót zamknęła...

Oprzytomniawszy, ofiarował się z pomocą czuwającym przy chorej. Sprowadził drugiego lekarza, zamówił na dzień następny konsylium, jeździł do apteki, do felczera, po lekarstwa, po lód, po wino... Przez trzy dni i trzy noce znajdował się nieustannie na jej usługach, nie sypiając, nie jedząc, nie przebierając się nawet. Gdy czwartego dnia rano wrócił z miasta, przywitano go dobrą nowiną. Cho-

ra odzyskała zupełną przytomność i rozmawiała z obecnymi, ciekawie dowiadując się o wszystko.

— Czy pytała o mnie?—zagadnął.

Stara ciotka zamyśliła się i odrzekła stanowczo:

— Nie, nie pytała.

Uczuł w piersiach ból, ten ból dobrze sobie znany, po którym następowała zawsze krótsza lub dłuższa prostracya duchowa.

— Ponieważ chorej polepszyło się — rzekł drżącym głosem — odejdę. Wrócę wówczas dopiero, gdy o mnie zapyta.

— Dobrze — odrzekła stara panna — damy panu znać o tem...

Odszedł.

Przywołano go w tydzień dopiero.

Posłaniec nie wspomniał, czy chora pragnie go widzieć; przyniósł jednak wieść wymowniejszą stokroć, że... umiera.

Przybywszy, zdążył już tylko ukochaną swą pożegnać.

Gdy pocałunkami płomiennymi okrywał stygnące jej ręce, serce raz jeszcze bunt podniosło.

— Najdroższa moja!—szeptał—zdejm ty mi ciężar wielki z piersi i powiedz: czyś mnie kochała?

Ona rozemknęła oczy szeroko i poruszyła ustami, chcąc odpowiedzieć, ale nagle kurcz śmiertelny uwięził jej słowa w gardle i oczy pokrył bielmem...

Umarła, nie odpowiedziawszy.

Przy martwem jej ciele klęczał długo, równie blady i nieruchomy jak ona... Okropny, nadludzki ból szarpał mu serce sępimi szponami, ale oczy miał suche i usta milczące.

Takiż sam był, idąc za trumną; takiż sam, gdy po odejściu wszystkich, pozostał sam jeden na cmentarzu.

Często odtąd tam chodził, zatruwając się jadem wspomnień, jak inni morfiną lub alkoholem.

Szklanym wzrokiem wpatrywał się w grób, w którym całe szczęście jego życia spoczęło, nigdy go jednak kwiatem nie przystroił, ani nie zapłakał nad nim łzami serdecznemi, bo mu na to duma nie pozwalała...

KWINTET.

(Z melodyj życiowych).

Zamieszkały na pierwszem piętrze fortepian napełniał hałasem całą kamienicę.

Na facyatach dźwięki jego świergotały niby stado jaskółek, w suterenach huczały jak bąki, w sieniach kłębiły się zbitemi falami jak lawa, a po dziedzińcu rozpływały szeroką płaszczyzną, nakształt wylanych z balij mydlin.

Dźwięki te wstrząsały domem od fundamentów do szczytu, i mury nasiękłe były nimi, jak wilgocią.

Fortepian odznaczał się usposobieniem lekkiem i wesołem. Podrygiwał zawsze w takt polek i walców, albo też śmiał się do rozpuku melodyami Offenbacha i jego braci. A choć nieustanna wesołość bywa dla innych drażniącą, jemu ją przebaczano, tyle miał w sobie młodzieńczej, chwytającej za serce, świeżości.

— Szczęśliwy!— mówiono.— Jeszcze mu się życie uśmiecha! Jeszcze nie doznał bólów ani rozczarowań!..

Na poddaszu tejże kamienicy skromną izdebkę zajmował flet.

Spokojny to był lokator i wielce uczuciowy.

W ciągu dnia nie było go słychać; odzywał się dopiero rankiem wczesnym i o zmroku. Gdy księżyc świecił i ciszy nic nie mąciło, nieraz do północy przeciągał jęki swe i wzdychania.

W takich chwilach zdawało się wszystkim, że ktoś w górze odkręcił kran od zbiornika melancholii, która leje się i leje—grożąc zatopieniem całemu domowi.

Zresztą, melancholia ta słodką była i przyjemną. Pobożnych usposabiała do modlitwy, a czułych do kochania. Wszyscy pod działaniem jej obcierali oczy i nosy i dobrze im się robiło na sercu.

Ale choć wynurzeń fletowych słuchała cała kamienica, widocznem było, że zwracają się one głównie do jednego tylko wybrańca. Wybrańcem tym był—fortepian.

Kto się zna na mowie instrumentów, ten w głosie fletu słyszał najwyraźniej miłosne zaklęcia, wysyłane pod adresem pustaka, mieszkającego na pierwszem piętrze.

— Gwiazdo moich marzeń! brylancie mego serca! najśliczniejszy i najdroższy fortepianie!—śpiewał flet głosem słowiczym. Ty jeden mógłbyś ukoić tęsknotę, która mnie zabija; ty jeden posiadasz wła-

dzę nad mojem sercem i nad memi myślami. Kocham cię, najmilszy instrumencie, i umrę, jeżeli miłości twej nie pozyskam. Przy blasku słońca marzę o tobie i w nocach bezsennych mam cię nieustannie przed oczyma. Omdlewam z niemocy i usycham, jak trawa podcięta, przepalając się uczuciem niepodzielanem. Kochaj mnie, fortepianie, jeśli nie chcesz mieć śmierci mojej na sumieniu!..

A fortepian w odpowiedzi śmiał się, chichotał i swawolił—i nigdy nuta serdeczna na strunach jego nie zadzwięczała.

Tymczasem otwierało się okno na facyatce i przyłączał się do chóru najszlachetniejszy z instrumentów: głos ludzki.

Był to sopran, kryształowo czysty, drżący uczuciem nieświadomem jeszcze siebie, a głębokiem.

Sopran odświeżał duszną atmosferę kamienicy, jakby rosą niebiańską. W rosie tej kąpały się wróble, zlatujące z rynien, i źdźbła trawy, która zdołała wyrosnąć pomiędzy kamieniami dziedzińca; kąpały się w niej także serca ludzkie, bardziej od ptaków i traw, rosy takiej potrzebujące.

Sopran śpiewał pieśni nabożne, oraz niewinne strofy sielankowe, w których była mowa o pasterzach, wstążeczkach różowych i gołąbkach. Był on wcieleniem dziewiczego wdzięku i dziewiczej poezyi.

Ale choć był wcieleniem dziewiczej niewinności, nie trudno było odgadnąć, że ta sama nić, która wiąże flet z fortepianem, mota węzeł pomiędzy sopranem a fletem...

Nieinaczej! Strumienie melodyi z sopranowej facyatki, kierowały się zawsze w stronę fletowego poddasza. Gdy zastały okienko zamknięte, pukały doń — a pukały tak nieśmiało i wstydliwie, jak Zosia Horeszkówna do śpiącego na sianie Tadeusza...

I zdawało się, że sopran z fletem utworzą rychło zgodną parę. Tak były podobne do siebie! Tyle wspólnych rysów odnajdywało się w jednym i drugim!

Ale stało się przeciwnie.

Flet tak był zajęty fortepianem, że lękliwych pukań soprana wcale nie zauważył.

Dla pieśni sopranowych okienko poddasza było zawsze zamknięte — odbijały się one od niego ze smutnem westchnieniem i biegły wyżej po nad dach kamienicy, do gwiazd złotych i do tego, który mieszka nad gwiazdami...

Trójgłos ten, złożony z zapustnej wesołości fortepianu, namiętnych skarg fletu i idealnego wzdychania sopranu, dość długo ożywiał bezduszne mury kamienicy, nigdy nie mogąc spłynąć w akord harmonijny.

Dźwięki goniły jedne za drugimi i dogonić się wzajem nie mogły. Każdy pochodził z innego świata, każdy pożądał czego innego, i zdawało się, że jakiś chochlik przekorny odgradza je od siebie nieprzebytemi zaporami.

Jednego dnia wprowadza się na drugie piętro tejże samej kamienicy trąbka chromatyczna.

Była to jedna z najdzielniejszych i najbardziej dziarskich trąbek, jakie kiedykolwiek wygrywały tony i półtony. Każde jej zadęcie świadczyło o temperamencie sangwinistycznym, o krwi bogatej i o zmysłach zdrowych. *Tempo di marcia* było jej rytmem zwyczajnym.

Trąbka zajęła mieszkanie tuż po nad siedzibą fortepianu, i zaraz pierwszego dnia ostrym i rozgłośnym pasażem obwieściła kamienicy swoją obecność.

Fortepian umilkł, zdziwiony i gniewny. Milczenie jego zdawało się mówić:

— A to co za śmiałek? Chce chyba, żeby go za bramę wyprowadzono!..

I zaraz potem rozpoczęły się na nowo przerwane rulady śmiechu i skoki operetkowe—co wszystko brzmiało tym razem w tonie ironicznym i drwiącym.

Ale trąbka nie ustąpiła z miejsca.

Śmiechem odpowiedziała na śmiech, ironią na ironię, drwinami na drwiny.

Przez kilka dni kamienica doświadczała niemałej uciechy, przysłuchując się kłótni tych dwojga zapaśników, równych sobie werwą i uporem.

Wreszcie fortepian uczuł zmęczenie.

Powstrzymał wybuchy szyderskiego śmiechu i spokojniejszym tonem zapytał trąbkę?

— Coś za jedna? i czego chcesz odemnie?

Trąbka, nie zmieniając głosu, odrzekła:

— Jestem zapaśnikiem silniejszym od ciebie i żądam, abyś mi się poddał!

— Ho, ho—nic z tego! — zaśmiał się swawolnie fortepian. Nie tacy jak ty chcieli wziąć nademną górę—i odejść musieli z kwitkiem.

— Ale ja nie odejdę.

— Odejdziesz!

— Nie odejdę.

— Zkądże ta pewność siebie?

— Ztąd, żem już raz dostrzegł jak zachwiałeś się i byłeś bliski zawołania: *pardon!*

— Była to słabość przemijająca...

— Która jednak dowodzi, że mam przewagę nad tobą.

— Chciałżebyś jej nadużyć?

— Tak.

— Ależ to barbarzyństwo!

— Nie, to tylko miłość.

— Tak dzika?

— Tak namiętna!

— Lękam się jej...

— Dodaj: i pożądam...

W odpowiedzi fortepian zaczął się śmiać tak szalenie, jak nigdy jeszcze. Był to prawdziwy fajerwerk pustej wesołości. Gdy fajerwerk ten wypalił się wreszcie i zagasł, wybiegły pod adresem trąbki następujące słowa:

— Jesteś, moja trąbko, instrumentem niesłychanie zarozumiałym. Wiedz jednak, że zarozumiałością nic ze mną nie zrobisz!

— Zobaczymy.

— Zobaczymy!

Okna zasunęły się; rozmowa ucichła.

Nazajutrz, kamienica miała niespodziankę: trąbka chromatyczna zalecać się poczęła do sopranu. A były to zalecanki nie byle jakie. Ile tylko namiętności zmieścić może pierś męzka, zdrowa i silna, tyle jej drżało w metalicznych tonach rozkochanego instrumentu.

Histeryczki, słuchając, dostawały spazmów, mężowie kazali żonom uszy watą zatykać; nawet wróblice na dachu zataczały się jak pijane, podsuwając samcom rozchylone dziobki...

Ale dla idealnego sopranu język namiętności był

niezrozumiałym. Zadziwił go i przestraszył. Na facyatce, przed miłością aż tak płomienną, nie tylko zamknięto okno, ale jeszcze zapuszczono roletę i drzwi zaryglowano.

Trąbka jednak grzmiała dalej.

— Co to będzie? co to będzie?.. szeptały echa, przyczajone w zagłębieniach murów.

Ku wieczorowi trąbka zamilkła, a zaraz potem przemówił—fortepian.

Jak dziwne jednak było to przemówienie! Można było sądzić, że inna dusza wstąpiła w pierś instrumentu. Nie śmiał się on teraz, ani szalał, ani drwił. Jakaś cicha, korna prośba, jakieś tłumione łkania, jakieś szepty rzewne a namiętne, płynęły ze strun i na skrzydełkach słowiczych podlatywały ku drugiemu piętru.

Trąbka, usłyszawszy je, zagrzmiała raz jeszcze—krótko a rozgłośnie.

Był to okrzyk zwycięztwa.

Z poddasza odpowiedział flet—jękiem.

Odtąd przez czas długi, trąbka z fortepianem wygrywały najcudniejsze duety. Wygrywały je dniami i nocami, o złotych rankach i o zmierzchach srebrnych. W kamienicy nic słychać nie było prócz tych duetów miłosnych.

Ludzie ludziom, ptaki ptakom, drzewa drzewom powtarzały z zachwytem i zazdrością:

— Jakże się kocha dwoje tych instrumentów! I jakże dobrana to para!

Strona żeńska dodawała jeszcze:

— Ci to z pewnością nigdy się kochać nie przestaną!

A po stronie męzkiej słychać było pomruki.

— Hm, hm... he, he... ho, ho...

Jednego rana słońce świeciło mniej złociście, niż zwykle. Powiał chłodny wiatr, potargał pierze ptakom, otrząsnął liście z drzew i zmieszał melodyę głosów muzycznych i ludzkich.

Tego rana, trąbka zagrała *solo* «Marsz wojenny» i—opuściła kamienicę.

Na pierwszym piętrze zaległa cisza grobowa.

Ze smutnem zdziwieniem, wróble wychylały łebki z pod dachówek, a podwórzowe akacye wstrząsały przerzedzonemi koronami, czekając daremnie na śmiech fortepianu, do którego przywykły.

Fortepian milczał, jak zaklęty.

Milczał także flet, jakby obezwładniony boleścią, i tylko sopran modlił się po dawnemu i tęsknił po dawnemu.

* *
*

Upłynęło kilka miesięcy, pełnych męczącego niepokoju.

Nareszcie fortepian przemówił. Przemówił głosem

nie swoim — pożyczonym, zda się od kogoś najnieszczęśliwszego z nieszczęśliwych.

Ze strun jego wypłynęła teraz «Kołysanka.» A była to kołysanka tak smutna, i rozpłakana, jakby nią usypiano do snu wiecznego...

Zaraz potem, przebudził się z letargu i flet. Przebudził się — choć lepiej było-by dlań, gdyby zapadł był w głuszę wieczystą.

Biedny instrument dostał obłędu!

Serce ściskało się, słuchając jego melodyj splątanych, wybuchów chorobliwego szału i zgrzytliwych dysonansów. Rozpoczynał on nieustannie jakiś romans sentymentalny, ale go nigdy nie kończył. Po kilku taktach spokojnych i słodkich, tony wpadały nagle w furyę, śmiały się, klęły, przedrzeźniały fortepianową kołysankę i kończyły najstraszliwszym zamętem przykrych dla uszu rozdźwięków.

Kamienica pełna była teraz smutku i melancholii. Ludzie chodzili osowiali, ptaki siedziały nieruchomo, najeżywszy pióra, a drzewa, zrzuciwszy ostatek liści, skrzypiały ponuro konarami, nagimi jak kości szkieletu.

Boleść fortepianu budziła we wszystkich sercach współczucie. Ocierano łzy, słysząc pieśń monotonną, którą nieustannie, od rana do późnej nocy, z uporem maniaka powtarzał.

Ale fletowi urągano.

— Patrzcie go! — mówiono, szydząc. Zachciało mu się duetów z fortepianem! Także! Sliczna byłaby para, nie ma co mówić! Palisandrowy fortepian z pierwszego piętra i bukszpanowa piszczałka ze strychu!

A niecierpliwsi dorzucali z pasyą:

— Trzeba tego kpa odesłać do szpitala! Czyż podobna, żeby porządnych ludzi bzikami swymi niepokoił? Póki był osłem zwyczajnym, było jeszcze pół-biedy; ale dziś został już osłem dardanelskim! królem osłów! osłem nad osłami!..

Nad nieszczęśliwym litował się tylko sopran — pomimo, że jego miłością wzgardził niegdyś flet, szałem innej namiętności opanowany. Ale idealiści zawsze są gotowi do przebaczenia uraz i do dzielenia się sercem nawet z wrogami...

Z tkliwością siostrzaną wyśpiewywał sopran biednemu szaleńcowi słowa pociechy i uspokojenia. Czynił mu dar bezinteresowny ze swej przyjaźni, doradzał modlitwę, odsyłał do Boga...

Niestety, nic to nie pomagało.

Flet był już zupełną ruiną, z której cud tylko mógł poprzednią, harmonijną całość odtworzyć. A na cuda dziś już zapóźno.

Sopran, mimo największych wysiłków, nie roz-

praszał melancholii swego przyjaciela; natomiast sam, bezwiednie, melancholią tą nasiąkał.

I stało się wkrótce, że do dwóch zrozpaczonych przybył trzeci — najtkliwszy ze wszystkich i najmniej własnej winy na sumieniu mający.

Kamienica tonęła teraz w oceanie czarnej melancholii — a wszystko, co w niej żyło, zwracało się do nieba z westchnieniem:

— Czyż żadna siła klątwy tej z nas nie zdejmie?..

Los zesłał tę siłę.

Zjawiła się ona pod postacią innej lokatorki, która z hałasem wielkim wniosła się do mieszkania na parterze, zajmowanego przez jadalnię publiczną.

Była to okazała, przysadzista, pewna siebie i pomiatająca wszystkimi—szafa grająca.

Od dnia, w którym zagrzmiała ona swą piersią potężną, wszystkie inne głosy w kamienicy zamilkły.

Tak jeden ryk osła zdolny jest zagłuszyć jęki całego stada słowików...

LEGENDA O MIŁOŚCI.

Kiedy Bóg stworzył duszę ludzką, osadził ją na ziemi, wśród cudów młodej i rozkwitającej przyrody.

Dusza upodobała sobie nowe siedlisko i z ciekawym zachwytem rozglądała się po wszystkiem, co żyło i poruszało się dokoła.

Rozmarzał ją przyjemnie szum wód i lasów; bawiły skoki i gonitwy zwierząt; zachwycał widok błękitów niebieskich, na których nocami zapalały się gwiazd miliony.

Czuła się wyższą nad wszystko, czem wypełniony był obszar ziemi i horyzontu, a uczucie to stawało się dla niej dumą i rozkoszą.

I cieszył się Bóg, że ta iskierka nieśmiertelności, pomiędzy zjawiska śmiertelne rzucona, ożywia je sobą i opromienia.

I że stanowi nić złotą, zespalającą drobny atom ziemi z nieskończonością wszechświata.

I że świadczy stworzeniom o Stwórcy; temu, co przemija, o tem, co trwa wiecznie.

Ale o cichym zmroku dnia jednego nadpłynęła do Boga z ziemskich nizin skarga żałosna...

Skarżył się człowiek, który, ku gwiazdom ręce wyciągnąwszy, wołał, wzdychając:

«Dałeś mi, Panie, duszę, która służyć mi miała aż do dnia śmierci i rozłączenia się mego z ziemią— tymczasem dusza ta zatęskniła za swą ojczyzną niebiańską i porzucać mnie chce wprzód, zanim się dni moje wypełniły...

«Wszystko, co ziemskie, spowszedniało jej i zbrzydło i skrzydła swe anielskie rozwija, aby odlecieć tam, zkąd się już na ziemię nie wraca.

«Jeżeli życie moje ma być tęsknotą tylko i wzdychaniem do śmierci, pocóż mnie Panie stworzyłeś?...»

Więc Bóg ulitował się nad człowiekiem i rzekł, aby go pocieszyć:

«Wiem, że dusza twoja jest ptakiem, któremu z klatki cielesnej pilno na swobodę—ale i tego ptaka zniewolić można do cierpliwości i wytrwania...

«W sobie i dokoła siebie masz mnóstwo skarbów kosztownych; wybierz coś z nich i ukochaj, a miłość stanie się łańcuchem złotym, który duszę twą przykuje do ziemi...»

*

Więc uciszył człowiek westchnienia i jął rozmyślać nad słowami Stwórcy.

Badawczem okiem rozejrzał się po tem, co miał do-

koła siebie i po tem, co miał w sobie, szacując jedne skarby i drugie, wedle ich rzeczywistej wartości.

I może to było wynikiem samolubnej pychy, a może świadectwem tkwiącej w nim iskry nieśmiertelnej, ale wszystkie cuda uśmiechniętej wiosennem weselem przyrody wydały mu się bladymi i biednymi wobec skarbów, jakie widział w piersi i pod czaszką swoją.

Więc prąd miłosny rozgrzał go i olśnił; i człowiek ukochał—samego siebie.

Była to miłość bez wybuchów, paląca się w ukryciu, wśród glinianych ścian ziemskiej powłoki, nakształt kagańca, który umarłym stawiają.

Nikt się przy ognisku tej miłości nie ogrzał; nikomu też nie stała się ona gwiazdą, życiowe mroki rozpraszającą.

Człowiek kochał tylko samego siebie; więc czułym był jedynie na własną rozkosz i na własne cierpienie; rozkosz zaś i cierpienie innych nie miały dlań żadnego znaczenia.

Samego siebie uczynił bożyszczem i samemu sobie kłaniał się bałwochwalczo.

I cieszyło go przez czas jakiś to własne ubóstwienie i nie uczuwał w sobie dawniejszych miotań duszy, podobnych do szaleństwa ptaka, który klatkę swą rozbija, pragnąc ulecieć.

Ale szczęście to i ten spokój długo nie trwały.

Przyszła choroba... i dotknięciem jednem powaliła zaufanego w swej sile człowieka na łoże boleści.

A potem przyszła troska i nakształt czerwia, toczącego drzewo, jęła toczyć wszystkie myśli jego i wszystkie jego uczucia.

I zwątpił człowiek o samym sobie, i samemu sobie obrzydł.

I kiedy przyszedł zmrok i uciszył głosy wszystkiego stworzenia, usłyszał Bóg na swym tronie ponowną skargę z nizin ziemskich płynącą.

I ponownie skarżył się człowiek, ku gwiazdom ręce wyciągnąwszy, i wołał, wzdychając:

«Kazałeś mi, Panie, kochać, więc kochałem; kazałeś związać duszę łańcuchem miłości, więc łańcuch ten ukułem.

«Ale za pierwszem targnięciem losu, ogniwa łańcucha pękły, i dusza moja, gwałtowniej niż przedtem, wyrywa się ku górze, i porzucić mnie pragnie.

«Czyliż po to istnieję na ziemi, żeby mi ziemia z pod stóp się usuwała?...»

A Bóg z tronu swego odpowiedział:

«Kochaj, człowieku! gdyż tylko w miłości szczęście twoje i spokojność twoja.

«Kochaj—a gdy ci miłość własna nie wystarcza, daj mocniejsze skrzydła uczuciom swym, i sięgaj niemi dalej i wyżej...»

*

I posłuchał człowiek głosu Stwórcy.

Z łaknącem miłości sercem wysłał gońce spojrzeń swych po ziemi i szukać im kazał, coby godnem było ukochania.

A właśnie zakwitała wiosna i ziemia odziana była w weselne szaty, jako oblubienica.

W górach i w dolinach grały potoki, niby srebrne struny, do zgodnego naciągnione akordu.

Prócz skał nagich i piasków jałowych, nie było jednej piędzi ziemi, któraby nie płonęła barwami kwiatów i nie tchnęła wonią nakształt kadzielnicy.

Nawet na wodach stojących kołysały się białe i żółte lilie i kwitła różowo trzcina, która pod oddechem wiatru zdawała się poruszać i iść naprzód, niby hufiec, niosący górą oszczepy.

Po gałęziach goniły się rozkochane ptaki; słychać było miłosne nawoływania słowika, oraz słodkie jęki gołębi, bielszych od białej kory brzóz, na których przysiadały.

Motyl ścigał motyla; jeleń upędzał się za łanią; po nad błękitnemi wodami rzek i stawów migotały srebrzystą łuską wyskakujące po nad falę rybki.

Groty wiosennego słońca przebiły nawet grubą skórę niedźwiedzia, słonia i nosorożca, i ciężkie te zwierzęta nabierały obcej sobie zwinności, stając wraz z innemi do wesołych i płochych zalotów.

A gdy już oczy człowieka nacieszyły się cudami

dorocznego zmartwychwstania przyrody, olśnił je widok piękniejszy, niż one wszystkie.

Rozpromieniona całym majestatem cielesnej i duchowej piękności, stanęła przed nim niewiasta.

Przy blasku jej ciała zgasły blaski najpiękniejszych kwiatów; przy gibkości jej członków ciężkimi się zdały ruchy gazeli; przy połysku włosów złocistych, przyćmiła się jasność słonecznego promienia.

Kwietnej łąki zapach miały jej usta; gwiazdzistego nieba tajemniczość wyzierała z jej oczów; posłaniem z róż i lilii wydawały się młodziutkie jej piersi.

Więc człowiek obie ręce wyciągnął ku temu zjawisku i z ust jego wyrwał się krzyk namiętny: «kocham!...»

A krzykowi ust przytwierdziła w tejże chwili i dusza, która, anielskie skrzydła zwinąwszy, przypadła do wdzięków niewieścich, jak motyl rozkochany do róży.

I wydało się tej duszy, iż nieskończoność, której szukała dotąd nad gwiazdami, znajduje się tuż przed nią, zaklęta w jedwab' złocistych włosów, róże warg miodowych, lazur błękitnych źrenic i gładkiego ciała aksamit.

Upływały dnie i miesiące; upływały lata całe, a Bóg nie słyszał skargi z ziemskich nizin płynącej.

Tymczasem jednak wypełniać się poczynało wiekuiste prawo przyrody i przepych barw i blasków wiosennych gasł, płowiał i szarzał, przechodząc w nagość i brzydotę, jesiennemu konaniu właściwe.

Kwiaty okwitły; ptaki osowiały i pokryły się w gniazdach; powietrze, zasnute mgłą brudną, straciło blask i przezroczystość.

Przyszła też jesień i na towarzyszkę człowieka; przyćmiła jej oczy, zwiała z lic barwę, pozbawiła ją wdzięku i słodyczy.

I z przestrachem poznał człowiek, że bożyszcze, na ołtarzu ducha jego stojące, kruszy się w proch i upada, gliną będąc ziemską, nie zaś płomieniem piękna nieśmiertelnego.

Więc załamał po raz trzeci ręce, a potem ku gwiazdom je wyciągnął i zawołał z żałością niezmierną:

«Stwórco! zlituj się nad stworzeniem swojem!...

«Dałeś mu duszę lotną, która jest jako ognik błędny, napróżno czepiający się kształtów śmiertelnych...

«Miłość własna duszy tej nie wystarczyła; nie dała też jej uspokojenia miłość niewiasty.

«Rozwinęła ona napowrót swe skrzydła anielskie i ulecieć chce tam, zkąd się już na ziemię nie wraca...

«Okres mego istnienia na ziemi jeszcze się nie wypełnił—cóż więc pocznę z duszą wyrywającą się do odlotu?...»

A Stwórca odpowiedział człowiekowi słowami poprzedniemi:

«Kochaj, gdyż w miłości tylko szczęście twoje i spokojność twoja.

«Kochaj... a gdy ci miłość własna i miłość niewiasty wystarczyć nie mogą, sięgaj uczuciem dalej i wyżej...»

*

Zapachniała kwiatami nowa wiosna i nowe lato kłosem zaszumiało.

Pień każdego drzewa okoliły młode latorośle; z zeszłorocznych gniazd wyfrunęły świeżo wyklute ptaki, a łania chodziła po lesie otoczona dziatwą, do piersi jej się cisnącą.

Człowiek rozejrzał się po najbliższem otoczeniu i ujrzał się ojcem rodziny.

Dziatwa, w której odnajdywał krew krwi swojej i myśl swojej myśli, stworzyła nowe ogniwo, zespalające go z łańcuchem stworzeń i z ziemią, i zapewniające mu byt dłuższy nad jedno pokolenie.

Uczuł się oplątanym wypustkami własnej istoty, których zerwanie przypadkowe byłoby najwyższą boleścią, umyślne zaś—szaleństwem.

Zrozumiał, że szczęściem jest nietylko przyjmowanie rozkoszy, ale także obdarzanie nią innych; i że tyleż jest radości w korzystaniu z praw, jak w wypełnianiu obowiązków.

Oddał się cały rodzinie swej i uczuł, że o ilu członków powiększyła się ona, tyle też razy pomnożyło się jego własne istnienie.

I nie tęskniła już dusza jego do zaświatów, mając na ziemi cel, który ją z nią tysiącem węzłów niewidzialnych miłośnie zespalał.

A węzły te zdawały się z każdym rokiem silniej zaciskać, zapowiadając jakoby trwałość nieśmiertelną.

Nieśmiertelność jednak daleką jest od związków, w równym stopniu ze krwi i z ducha płynących...

Przekonał się o tem człowiek z chwilą, gdy dziatwa jego, dojrzawszy, wybiegła poza okrąg rodzinny, nakształt ptastwa, któremu skrzydła dość już do lotu stwardniały.

Tęsknota z nową siłą odrodziła się w osamotnionej jego duszy i porównywając istnienie swoje z istnieniem innych stworzeń, spostrzegł, iż niczem się nie różni od drzewa, które cieniem swym nakrywa latorośle, z nasion jego wykwitłe.

A wówczas poczucie nieśmiertelności natchnęło duszę jego przekonaniem, iż do wyższych, niżeli pień drzewa stworzoną została celów i choć nie bez żalu za ziemią i tem co na niej zostawia, rozwinęła jednak dusza ta skrzydła anielskie i bić poczęła niemi o ściany swej klatki cielesnej.

Więc człowiek raz jeszcze poskarżył się Bogu

skargą żałosną i raz też jeszcze Bóg odpowiedział mu z wyżyn niebiańskich:

«Kochaj — bo tylko w miłości szczęście twoje i spokojność twoja...»

*

Doskonaląc się w cierpieniu, nabierając doświadczenia w zawodach, krzepiąc się w walce z przeciwnościami, serce ludzkie dojrzało, nabrawszy świetności i mocy diamentu.

Człowiek, natchnieniem bożem wiedziony, wznosił się po szczeblach pośrednich coraz wyżej, aż dosięgnął wreszcie szczytów, z których wszystkie ziemskie zjawiska i całokształt życia ziemskiego mógł jednem ogarniać spojrzeniem.

Przejrzał on wówczas tajniki bytu doczesnego z końca w koniec i myśl nieśmiertelna w śmiertelnych kształtach zamknięta, stała się dlań czytelną, jak napis na głazie z wiekowej pleśni otarty.

I pojął, że wszystko, co żyje na ziemi, myśli tej jest posłusznem i że wola ziemskiego tworu mniejszą jest, niźli wola drobnej słomki unoszonej wiatrem, nie dokąd-by pragnęła, lecz dokąd jej przeznaczono.

I dostrzegł, że na przestrzeni pomiędzy jednym biegunem a drugim nie ma nic takiego, coby z pewnej wysokości wydawać się mogło mniejszem lub większem, lichszem lub wspanialszem, biedniejszem lub szczęśliwszem.

Próżno też szukał materyalnych lub duchowych zapór, któreby dzieliły ziemię, stanowiąc istotną przeszkodę w zbliżeniu się jednych tworów z drugimi. Żaden bowiem ze szczytów górskich nie jest tak wysokim, ani żadna z morskich głębin tak przepaścistą, żeby przelecieć ich nie mogły z łatwością: myśl ludzka i ludzkie serce.

Początek też i koniec wszelkiego stworzenia jeden jest; i tak samo rodzi się i umiera człowiek z białą, jak z czarną, lub czerwoną twarzą.

Nie okazało się nigdzie, aby jedni mieli uszy do słyszenia, a drudzy do patrzenia, i żeby jednym wyrastały ręce z ramion, drugim zaś z lędźwi; wszyscy owszem stworzeni są wedle jednego i tegoż samego wzoru, wskazanego przez przyrodę.

Rozpalone żelazo wygryza takąż samą ranę na ciele górala, jak pomorzanina; widok zaś wschodzącego słońca równie cieszy mieszkańca cienistej puszczy, jak odkrytego wiatrom stepu.

Kolebka wszędzie pozdrawiana jest z radością, mogiła zaś ze smutkiem i nie ma na ziemi ani jednej istoty, którąby chwilami nie wpadała w zadumę, obwiana tchnieniem nieskończoności.

Więc ktoby chciał odgradzać jedną szmatę ziemi od drugiej i pomiędzy gromadami ludzkiemi wnosić nieprzebyte zapory, czyni tak samo, jakby grodził płotami powietrze i palcem kreślił na niebie granice.

A ktoby twierdził, że on tylko i okolona kopcami granicznymi jego zagroda stanowią doskonałość i są koroną bytu ziemskiego, sprawia uciechę szatanowi, w głupiem zaś i krzywdzącem świetle wystawia mądrość i dobroć bożą.

Z pychy rodzi się zawiść; gdzie zaś zawiść panuje, tam nie ma miejsca dla miłości.

Co wszystko zrozumiawszy, nieśmiertelna dusza ludzka rozwinęła raz jeszcze anielskie swe skrzydła—nie po to wszakże, aby do nieba ulecieć, lecz aby ogarnąć niemi ziemię całą od bieguna do bieguna.

Wszystko żyjące wydało jej się w równym stopniu godnem ukochania; ukochanie zaś to tak potrzebnem było jednostkom, jak siła zespalająca pojedyńcze atomy skały, która bez niej opierałaby się nie mogła naporowi burz i szturmom czasu.

Po długich walkach i długiem błądzeniu w pomroce zabłysło nareszcie człowiekowi słońce trwałej miłości, będące zarazem słońcem wiekuistej prawdy.

I zrozumiał, że jedynym łańcuchem, który możlotną duszę jego przykuć do ziemi, jest *miłość bliźniego.*

Zbudziwszy zaś w sercu swojem tę miłość, uspokoił się człowiek i czekał cierpliwie końca dni swoich, wedle naznaczenia bożego...

SPIS RZECZY.

Jeden z nowych 1
Gołębie 57
Dobra chwila pani Heleny 83
Szósty 111
Echo 131
Kryptogamy 159
Niewdzięczna 191
Obowiązek 205
Czy kochała?... 229
Kwintet 251
Legenda o miłości 265

DATE DUE			